P 2390-2

U. I. C. C.
APR 24 1978
LIBRARY

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

P. NERUDA: NIECH SIĘ ZBUDZI DRWAL

T. MANN: DOKTOR FAUST

M. DĄBROWSKA: A TERAZ WYPIJMY

T. RÓŻEWICZ: ELEGIA PROWINCJONALNA

RECENZJE POETYCKIE

1949 — STYCZEŃ — ZESZYT

NOTICE

THIS VOLUME IS INCOMPLETE

THE FOLLOWING ISSUES ARE NOT AVAILABLE:

no. 5 1949

Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/tworczosc_1949-01_5_1

TWÓRCZOŚĆ
STYCZEŃ
1949

TREŚĆ ZESZYTU

KULTURA I LITERATURA W OBLICZU ZJEDNOCZENIA PARTII ROBOTNICZYCH
PAŃSTWOWE NAGRODY ARTYSTYCZNE
PABLO NERUDA: NIECH SIĘ ZBUDZI DRWAL
TOMASZ MANN: DOKTOR FAUST
TADEUSZ RÓŻEWICZ: WIERSZE
MARIAN JACHIMOWICZ: WIERSZE
MARIA DĄBROWSKA: A TERAZ WYPIJMY...
SPRAWY I TROSKI: DWA ZJAZDY
SPRAWOZDANIA
NOTY

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

STYCZEŃ 1949

ROK V ZESZYT 1

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ LUDWIK GARDOWSKI

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE
M — 36487

KULTURA I LITERATURA W OBLICZU ZJEDNOCZENIA PARTII ROBOTNICZYCH

IV Zjazd delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich odbyty w Szczecinie w dniach 20—23 stycznia br. uchwalił następującą rezolucję:

Zjazd stwierdza, że kierunek rozwojowy życia całego kraju w ciągu czterech lat ubiegłych i wyraźna perspektywa dalszego rozwoju stwarzają nowe możliwości dla pracy pisarza, jak również nowe obowiązki wobec społeczeństwa.

Nieodwracalne zmiany historyczne, które dokonały się w kraju od czasu ujęcia władzy przez lud polski, reformy gospodarcze i ugruntowanie demokracji ludowej umożliwiły dzieciom robotniczym i chłopskim masom dostęp do oświaty, obudziły aspiracje kulturalne w szerokich masach narodu, dały nowego czytelnika, nowego widza teatralnego i wyzwoliły w masach ludowych pęd do twórczości literackiej i artystycznej. Doniosłe wydarzenia — zjednoczenie polskiej klasy robotniczej i umocnienie sojuszu robotniczo-chłopskiego, pociągnęły za sobą coraz żywszy udział mas ludowych w produkcji i konsumcji dóbr kulturalnych. Równocześnie miniony okres jeszcze bardziej uświadomił wszystkim ludziom dobrej woli, że nowa Polska wraz z przodującą siłą postępu, Związkiem Radzieckim i innymi krajami demokracji ludowej oraz wszystkimi siłami postępu na świecie konsekwentnie broni sprawy pokoju powszechnego. Zjazd delegatów Związku Literatów Polskich solidaryzuje się całkowicie z rezolucją powziętą na Kongresie Intelektualistów i wyraża wolę pisarzy polskich służenia sprawie pokoju, obrony

wolności każdego narodu i jego prawa do swobodnego rozwoju własnej kultury narodowej.

Głębokie zrozumienie praw rządzących rozwojem kulturalnym w przeszłości daje gwarancje właściwego stosunku do spraw kultury w naszych warunkach. Temu przekonaniu daje Polska Ludowa wyraz w uroczystym obchodzie 150-lecia urodzin Adama Mickiewicza. Demokracja ludowa czci w Mickiewiczu poetę, który w okresie wielkiej niedoli narodu zwiastował wolność Polsce i ludom świata. Wraz z nami obchodzą również mickiewiczowską rocznicę narody Związku Radzieckiego, a dla wszystkich wolnych narodów nazwisko poety polskiego stało się symbolem braterstwa ludów.

Perspektywy rozwojowe, które się przed nami otwierają, oddziaływują i oddziaływać będą coraz silniej na postawę pisarzy i zwiążą ich ze współczesnością, z dążeniami i osiągnięciami mas ludowych. Nieodzowny jest świadomy udział pisarzy w dziele budowy socjalizmu w Polsce. Nowe motywy życia, twórczy zapał robotnika i chłopa, przemiany zachodzące w losie i świadomości człowieka pracy, wymagają od literatów gruntownego przemyślenia środków pisarskich, aby mogły najlepiej służyć ludowemu odbiorcy. Tak pojmując swą rolę pisarz przestaje być autorem dla niewielu, a staje się wyrazicielem i wychowawcą szerokich mas narodu. Walny Zjazd wyraża nadzieję, że wysiłek ludu, który buduje jaśniejszą i sprawiedliwszą przyszłość Polski natchnie pisarzy do twórczości, która będzie trwałym wkładem w dzieło odrodzonej Polski.

Nie podobna już dzisiaj przewidzieć form kultury, którą stworzą w nowych warunkach nowi ludzie. Polska Ludowa powinna przywrócić kulturze narodowej, sztuce i literaturze wielkie proporcje, dzięki którym literatura nasza i sztuka miały wielkość poezji Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego i Norwida, wielkość muzyki Szopena. Tego dziedzictwa nie chce i nie może wyrzec się Nowa Polska. Cała podana w przyszłość, będzie czerpała ze źródeł twórczej i postępowej tradycji. Tworzyć można tylko z przyszłości, ale to nie znaczy, by trzeba lub można było odtrącić przeszłość w jej najpiękniejszych, najpełniej humanistycznych zjawiskach.

Przeciwnie, tylko głębokie zrozumienie praw rządzących sprawami kultury i sztuki w przeszłości daje gwarancję właściwego stosunku do spraw kultury w nowych warunkach.

Kultura, nauka, literatura, sztuka nie są wartościami samoistnymi i suwerennymi. Wiedzą o tym najlepiej marksiści. Ale to nie znaczy, by mogły rozwijać się bez należnej im swobody poszukiwań, swobody ścisłości, i swobody wyobraźni. Wiedzą o tym również marksiści. Zjednoczony ruch robotniczy, władza rewolucyjna, gdy chodzi o sprawy kultury, musi oprzeć się na tej wiedzy.

Jeśli prawdą jest, co mówi Georg Lukacs, że „sztuka objawia nędzę życia i ostateczny tryumf zasad ludzkich, że wyraża przenikliwość ludzkiego umysłu i to, co jest typowe w życiu poszczególnej jednostki" — jeśli ta zasada humanistyczna ma być wprowadzona w dzieła, to przed sztuką w Polsce stoi praca ogromna i trudna: przywrócić kulturze i sztuce jej zachwiane lub zmiażdżone proporcje ludzkie. Podjąć to, co w spuściźnie klasycznej jest racjonalne i zarazem sięgające do głębi życia człowieka i epoki. Przywrócić prostotę stylu i powszechność dziełom poezji i prozy.

Trudna droga do tej przemiany jest otwarta teraz, kiedy spełnia się marzenie wielu najlepszych naszych ludzi o Polsce sprawiedliwości społecznej, teraz, gdy namaszczenie historii otrzymała strofa wielkiego pisarza, rzucona po roku 1905:

Kiedyż uniesiem głów
Ponad zbroczone wezgłowie,
Kiedyż na ludu łonie
Spoczniemy w sławy koronie,
Któż nam odpowie?

(„Pisarze i naukowcy o zjednoczeniu partii robotniczych", „Kuźnica", 1948, nr 51; wypowiedź M. Jastruna).

Klasycy marksizmu uczą nas wykorzystywać wszystkie osiągnięcia i zdobycze nauki burżuazyjnej, uczą nas wyłuskiwać z niej nagromadzoną wiedzę, a odrzucać niekonsekwentne, niesłuszne wnioski i wadliwą syntezę.

Musimy zresztą pamiętać o tym, że w najgorszych latach okupacji wielu inteligentów polskich walczyło i ginęło broniąc kultury naszej przed niszczącym butem okupanta. Okupant dobrze wiedział, że kultura jest jedną z podstaw narodu i dlatego chciał ją zniszczyć. Klasa robotnicza dobrze pamięta o tej ofiarnej walce inteligencji.

Jednocześnie zdajemy sobie sprawę z tego, że ta ofiarna praca odbywała się na starych pozycjach burżuazyjnej metody i w oparciu o stare burżuazyjne koncepcje i że większość naszych uczonych trwa na tych pozycjach metodologicznych i dzisiaj.

My marksiści krytycznie ustosunkowujemy się do dorobku naszej nauki burżuazyjnej. Nie odpowiadają nam wnioski i syntetyczne koncepcje tej nauki, gdyż są one rezultatem naginania obiektywnych wyników badania do potrzeb klas panujących w Polsce przed wrześniem oraz ich wyrazicieli pokutujących w Polsce jeszcze dziś.

Są one także wynikiem teoretycznej bezradności, braku metody naukowej nawet u najlepszych postępowych uczonych polskich. Dlatego też nauka polska dziś jest zacofana w porównaniu z rzeczywistością społeczną.

— — — — — — — — — — — —

Zdajemy sobie sprawę z tego, że kadry inteligencji, szczególnie inteligencji twórczej o wysokich kwalifikacjach nie powstaną z dnia na dzień. Składają się na nie długie lata nauki i powstają one dzięki wysiłkom całego narodu. Lenin uczył nas, że nie można stawiać znaku równania między burzuazją a inteligentami, którzy z racji warunków społecznych służyli burżuazyjnemu ustrojowi.

Uczony, pisarz, badacz, to są ludzie ciężkiej, żmudnej, ofiarnej pracy i klasa robotnicza ceni tę ciężką, żmudną pracę. Kadry naukowe z trudem i długo wychowywane, przetrzebione przez okupanta, osłabione fizycznie przez wojnę i obozy niemieckie są cennym kapitałem w naszym państwie, są przedmiotem troski i opieki, która będzie wzrastać z rozwojem naszego dobrobytu.

Dzisiaj inteligencja nasza przeżywa okres przełomowy, stoi przed trudnym egzaminem. Coraz bardziej oczywista staje się prawda, zdawałoby się elementarna, że dziś nic cennego i trwałego nie stworzy ten, kto będzie chciał zamknąć oczy na dzieło dokonywane przez klasę robotniczą, nic nie zdziała ten, kto będzie chciał uciec od nowej rzeczywistości.

(C. Bobińska: „Miejsce inteligencji twórczej", „Odrodzenie", 1948, nr 51—52).

Awans kulturalny proletariatu i nieodstępnie idące z nim w parze podniesienie poziomu kulturalnego wsi — stwarza niebywałe, niespotykane dotąd perspektywy odbioru twórczości artystycznej. W pierwszym roku niepodległości niektórzy sceptycy i besserwisserzy przepowiadali: „maluczko, maluczko a przekonacie się, że nakłady książek i pism wrócą do przedwojennych, to tylko głód potyfusowy okupacji. Czytać będzie tylko inteligencja, ona interesuje się teatrem, kinem, muzeum". I stąd prawicowa, szkodliwa, wroga teoria o tym, że najpierw należy pracować dla „górnych warstw", które później poniosą kulturę w lud. Taka była postawa ludzi kuśtykających na prawą nogę, nie rozumiejących tego, co zaszło w kraju.

A tymczasem po czterech latach nakłady pism codziennych wzrosły czterokrotnie w stosunku do przedwojennych, nakłady tygodników trzydziestokrotnie. Nakład jednego tygodnika kobiecego osiągnął cyfrę miliona trzystu tysięcy, nakłady kilku innych tygodników sięgają pół miliona, trzystu tysięcy, ćwierć miliona. Niektóre tytuły dzieł klasyków literatury polskiej przewyższyły wszystkie dotychczasowe nakłady, „Stara Baśń" Kraszewskiego w jednym tylko wydawnictwie przekroczyła 150 tysięcy, powieści współczesne są wykupywane w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, książki naukowe i podręczniki szkolne w setkach tysięcy egzemplarzy, niektóre dzieła klasyków marksizmu przekraczają pół miliona. Kiedy to w muzeach widziało się tak niezliczone tłumy, jak na wystawie Xawerego Dunikowskiego, kiedyż to w miastach i wsiach widziano tyle tysięcy ludzi na spotkaniach autorów z czytelnikami? Kiedyż to każda sztuka teatralna, każdy film wywoływał tak ożywione dyskusje wśród szerokich rzesz, kiedyż to wieś garnęła się tak do książki i radia, do filmu i gazety? Kiedyż to mieliśmy w Polsce tyle świetlic, tyle amatorskich zespołów artystycznych, tak szybko rosnącą sieć bibliotek? A są to procesy i zjawiska tylko zapoczątkowane, rosnące i wzmagające się.

— — — — — — — — — — — —

Ale wzrost wagi twórczych sil proletariatu, oddziaływanie wtórne wyzwolonych sił ludu i cierpliwa, troskliwa opieka demokracji ludowej spowodowała — i powoduje — coraz szybszą i wyraźniejszą krystalizację artystyczną tych sił, które tworzyć będą kulturę przyszłości. Oczyszczają się deski teatrów i ekrany kin ze szmiry drobnomieszczańskiej; kto obserwuje codzienną twórczość pisa-

rzy i artystów, kto widzi nieraz ciężkie procesy przemian wśród starszego pokolenia i wyrastające młode pokolenie, może z ufnością patrzeć na nadchodzące lata. Pod warunkiem, że nasz front ideologiczny, nasza krytyka literacka nie będzie ospale ulegać nacjonalistycznym, drobnomieszczańskim i snobistycznym kryteriom, zamykając oczy na obce i wrogie objawy, pod warunkiem, że nie będzie ulegać niecierpliwym, nerwowym tendencjom drobnomieszczańskiego blefu lewackiego.

Twórczość literacką i artystyczną należy rozpatrywać stale i wciąż jako proces i jako konkret, mając przed oczyma nie tylko postulowany ideał, ale również i nade wszystko punkt wyjścia i te przemiany, które już zaszły. Tylko w taki sposób i tą drogą można słusznie ocenić kierunek rozwoju. Nigdy nie była i nigdy nie może być probierzem oceny twórczości legitymacja partyjna, która już sama przez się stanowi tak zaszczytne wyróżnienie, że w żadnym wypadku nie może osłaniać potknięć czy też nieudolności twórczej. Dlatego też krytyka marksistowska nie znosi i znosić nie może żadnej linii podziału poza tą, która przechodzi poprzez samą wartość twórczości, jej ideologię.

Kongres Zjednoczenia dając wyraz sile i rozmachowi klasy robotniczej otworzył wielką perspektywę rozwoju Polski i przyśpieszy proces przemian w twórczości artystycznej w całym wachlarzu jej możliwości i kierunków.

Rzecz jasna, z gruntu fałszywe byłoby przypuszczenie, że w tym wielkim okresie budowania pierwszych zrębów socjalizmu — sztuka nasza może od razu wkroczyć w okres realizmu socjalistycznego, że może od razu mechanicznie usunąć wszystkie iluzje klasowe i przesądy, że może z miejsca zlikwidować przeciwstawność między poznaniem a praktyką, że zdolna jest od razu stworzyć typ bohatera pozytywnego, nosiciela wartości epoki socjalizmu. Rzeczą śmieszną byłoby, gdybyśmy w okresie — wielkim i ciężkim — budowania zrębów socjalizmu, w społeczeństwie, w którym jeszcze istnieją antagonizmy klasowe, wysuwali wyłącznie kryteria realizmu socjalistycznego i z punktu widzenia tych kryteriów oceniali sztukę. Przeskakiwanie stopni rozwoju, pomniejszenie i negowanie postępowej roli różnych kierunków artystycznych odzwierciedlających wielopłaszczyznową rzeczywistość i walkę, zamykanie oczu na procesy wyzwalania się literatury i sztuki z obcych nam nieraz, uciążliwych tradycyj i mechaniczne narzucanie postulatów — prowadzić musi do awanturnictwa, do oderwania się od organicznych procesów przemian. Tak samo jak bezkrytyczny liberalizm, brak zasadniczej, konsekwentnej krytyki, kierującej i sterującej procesami tworzenia, snobistyczny kult słowa drukowanego i wielkich nazwisk, pomniejszanie wszystkiego, co jest młode, nowe i świeże — aczkolwiek nieraz artystycznie niedojrzałe, nieopierzone i niepełnowartościowe — prowadzić musi do opóźnienia procesów twórczych, jest prawicowym, oportunistycznym, filisterskim odchyleniem w naszej krytyce literackiej. Nie wolno również zostawiać bez natychmiastowej ideologicznej odpowiedzi rozkładowych prądów empirycznego i naturalistycznego obrazowania ohydy minionej rzeczywistości.

W okresie realizmu przedsocjalistycznego, który obecnie przeżywamy, nie-

uniknione jest równoczesne dojrzewanie szeregu kierunków literackich. Realizm krytyczny, wyzwalający się z naiwności pozytywizmu, odrzucający mieszczański punkt widzenia w krytyce rzeczywistości minionych okresów, wyzwalający się spod naturalistycznych wypaczeń — odgrywa i odgrywać będzie czas długi postępową i twórczą rolę. I dlatego z taką serdecznością, z takim ciepłem witamy drogę rozwojową Poli Gojawiczyńskiej, która łączy prostotę silnego wyrazu artystycznego z bezpośredniością odczucia codziennych trosk ludu, i śmiałą drogę Jerzego Andrzejewskiego, i nawet drogę Wojciecha Żukrowskiego, mimo że jest zawiła i zygzakowata. Dlatego też z taką uwagą i nadzieją czekamy na dalsze utwory Tadeusza Brezy i tylu innych. I wobec tego, że twórczość pisarza rozpatrujemy jako proces, bacznie przyglądamy się utworom Ksawerego Pruszyńskiego, mając w pamięci nie tylko metę, naszą metę artystyczną dla pisarza, jako „inżyniera ludzkich dusz", współbudowniczego nowej Polski, ale również punkt wyjścia, od którego się on odrywa. I na odcinku poezji Gałczyńskiego cieszymy się, obserwując jak treść utworów Gałczyńskiego stopniowo wyzwala się z dekadenckich pozostałości formalnych.

Minął już i mamy za sobą krzyk niektórych malkontentów, że unarodowienie i upowszechnienie kultury oznacza obniżenie poziomu. I dlatego przykładamy bardzo surowe kryteria artystyczne do artystów-partyjników, dlatego znacznie surowiej oceniamy „Fundamenty" Jerzego Pytlakowskiego aniżeli „Trud ziemi nowej" Paukszty, dlatego nasze kryteria wobec licznej i utalentowanej grupy młodych powojennych twórców, którzy są bliżsi może nowego człowieka, nowej Polski, w których twórczości wyrastać i dojrzewać będą elementy socjalizmu realistycznego — są tak często nieubłagane. W twórczości najbliższych nam pisarzy znajdzie może najwcześniej wyraz artystyczny to, co jest najistotniejsze, najwartościowsze i najbardziej wychowawcze: pozytywny typ człowieka wyzwolonego z przesądów klasowych, pełnego dynamiki rewolucyjnej i romantycznej. Albowiem ostateczny cel, meta, ku której idziemy, to realizm socjalistyczny.

(J. Borejsza „Pokongresowa kropka nad i", „Odrodzenie", 1949, nr 1).

Nasza nowa kultura, kultura odrodzonego kraju, kraju, w którym na socjalistycznej bazie gospodarczej powstają przesłanki społeczeństwa nieantagonistycznego, wyrasta w prostej linii z wielkiego dorobku przeszłości, z tego dorobku, który był kolejnym, nieustannym postępem w historii kultury i w historii naszego narodu.

Świadomie przezwyciężając analogie fałszywe z chwilą przeniesienia ich poza określony historycznie czas, nawiązujemy do istoty pozytywnej twórczej treści tych pisarzy, poetów i działaczy kulturalnych, którzy obiektywnie wyrażali protest swojej epoki i historyczny marsz naprzód.

Toteż Lenin, mówiąc o istocie kultury nowej epoki, pisze: „Bez jasnego zrozumienia, że tylko przez ścisłą znajomość kultury, stworzonej przez cały rozwój ludzkości, możemy przetwarzając ten dorobek tworzyć nową kulturę naszej epoki — bez zrozumienia tego nie zdołamy rozwiązać zadania".

„Kultura socjalistyczna — mówił dalej Lenin — nie jest wymysłem ludzi, nazywających siebie specjalistami w tej dziedzinie. Byłoby to absolutną niedorzecznością. Kultura nowej epoki powinna być konsekwentnym rozwinięciem i konsekwentnym przewartościowaniem zasobów wiedzy, które ludzkość stworzyła w warunkach ucisku w społeczeństwie kapitalistycznym i społeczeństwie obszarniczym".

Tym samym klasa robotnicza, wstępując na arenę naszych dziejów i posługując się najbardziej doskonałą metodą naukowego poznania, staje się jedynym prawowiernym dziedzicem postępowej kultury naszych poprzedników, więcej nawet: klasa robotnicza wnosi do tej kultury ożywczą siłę swojej rewolucji, naukowego horyzontu, prawdy obiektywnej, olbrzymiego ładunku emocjonalnej wiary w zwycięstwo człowieka, braterstwo międzynarodowe, solidarność, nowe pojęcie sprawiedliwości społecznej oraz niesłychana świeżość uczuć tych ludzi, którzy po raz pierwszy w historii usuwają wyzysk, usuwają w toku twardej, uporczywej walki klasowej samą istotę społeczeństwa, antagonistycznego.

W ten sposób agonia ustroju kapitalistycznego nie oznacza bynajmniej rozpłynięcia się narodów oraz ich narodowych kultur. Przeciwnie — oznacza wyzwolenie narodów w nowej, nieantagonistycznej postaci, oznacza rozkwit narodów, solidarnych wspólnotą interesów gospodarczych, społecznych i kulturalnych, oznacza rozkwit kultur narodowych o cechach ogólnoludzkich, a więc głęboko humanistycznych, będących tym samym przejawem nowej, internacjonalnej kultury — kultury pełnego człowieka.

W ten sposób historyczne zadania klasy robotniczej — obalenie kapitalizmu oraz zniesienie na tej drodze eksploatacji człowieka przez człowieka — oznacza dalszy etap rozwojowy w historii każdego narodu.

Powstanie kultury nieantagonistycznego społeczeństwa dokonuje się więc nie poprzez zanikanie narodów oraz ich kultur narodowych, a poprzez rozkwit narodów oraz ich kultur narodowych na nowej, wyższej, socjalistycznej podstawie organizacyjnej, ekonomicznej, społecznej i kulturalnej.

Kulturę narodową naszego kraju, kraju budującego się socjalizmu, reprezentują dziś nie nędzni kapitulanci i epigoni emigracyjni, mieniący się ostatnimi obrońcami ginącej jakoby kultury rzymskiej, żyjąc atmosferą rozpadania się wszelkich więzów narodowych, społecznych i etycznych, poza więzami amerykańskiego kapitału i ślepego kultu dla brutalnej przemocy faszyzmu, nie Łobodowscy i Hemary, a pisarze, tkwiący głęboko w twórczym procesie walki i budownictwa naszego kraju, pisarze, którzy życiem swoim są składową częścią własnej ojczyzny i ojczyznę tę słowem artystycznym budują i tworzą. Miłość do kraju naszego pokolenia, pokolenia epoki socjalizmu, mierzymy nie nacjonalistyczną frazeologią i nienawistnym bełkotem agentów imperializmu, lecz ilością zbudowanych fabryk, mostów, kamienic i miast, rozmachem na-

szych osiągnięć kulturalnych i artystycznych oraz szczęściem naszego ludu. I dlatego możemy i musimy twardo i wyraźnie oświadczyć przed całym światem, że kulturę narodową naszego kraju reprezentują pisarze, którzy obradują dziś w naszym polskim mieście — Szczecinie.

I dlatego, tak jak i naród, stwarzający nową treść gospodarczą i społeczną swojego życia, sam się niejako stwarza w nowej materialnej, społecznej i kulturalnej postaci, w której bije zawsze i co dzień gorące serce klasy robotniczej, tak i sztuka naszego kraju, sztuka naszej epoki, wyrastająca z dziedzictwa przeszłości, winna to dziedzictwo w nowej twórczej postaci przewartościować, wzbogacając się nową treścią i nowym życiem naszej walki i naszej prawdy.

(Wiceminister W. Sokorski — fragment przemówienia wygłoszonego na Zjeździe Literatów w Szczecinie).

PAŃSTWOWE NAGRODY ARTYSTYCZNE

Komitet do Spraw Kultury przy Radzie Ministrów na posiedzeniu w dniu 29 grudnia 1948 roku przyznał cztery państwowe nagrody artystyczne za rok 1948. Wysokość nagród wynosi po 500,000 złotych.

Na wniosek jury w składzie: J. Iwaszkiewicz, W. Kubacki, K. Kuryluk, H. E. Michalski i S. Żółkiewski nagrodę literacką za pamiętniki „Stare i nowe" otrzymał

LUCJAN RUDNICKI.

Na wniosek jury w składzie: M. Boruciński, B. Lachert. J. Starzyński i F. Strynkiewicz nagrodę plastyczną za całokształt działalności artystycznej otrzymał

XAWERY DUNIKOWSKI.

Na wniosek jury w składzie: P. Górecki, R. Jasiński, Z. Lissa i Z. Mycielski nagrodę muzyczną za „Symfonię warszawską" otrzymał

BOLESŁAW WOYTOWICZ.

Na wniosek jury w składzie: P. Borowy, J. Kreczmar, H. Stażewski i J. A. Szczepański nagrodę teatralną za całokształt działalności artystycznej otrzymał

LEON SCHILLER.

W dniu 12 stycznia br. w Prezydium Rady Ministrów premier Józef Cyrankiewicz wręczył nagrody laureatom. Podajemy fragmenty wygłoszonych w czasie uroczystości przemówień.

PREMIER J. CYRANKIEWICZ:

„Niech twórcy dociekają i wyrażają w sztuce najgłębsze nurty przemian, dokonywających się w naszych czasach.

Są to przemiany, które dokonują się przez człowieka w człowieku i dla człowieka.

Różnica, w porównaniu z poprzednimi epokami, jest zasadnicza — i tutaj jest najgłębszy ludzki, humanistyczny sens idącej epoki socjalizmu, że osiągnięcia tej epoki, jej poziom materialny, kulturalny — nie będą z istoty samego socjalizmu osiągnięciami uprzywilejowanych, kosztem upośledzonych, kosztem gnębionych i wyzyskiwanych, a odwrotnie, poprzez zbiorowy wysiłek i zbiorową walkę mas pracujących staną się najbardziej powszechną, najbardziej ogólnoludzką sprawą.

Niech więc twórcy zapalają wyobraźnię, odczucia mas tą najwspanialszą, wyzwoleńczą walką.

Niech zwiążą się nierozerwalnie z najbardziej postępowym nurtem ludzkości — z klasą robotniczą — bo związać się z postępem i tworzyć postęp jest naświętszym obowiązkiem twórcy.

Wreszcie twórcy sami muszą te przemiany powodować, być ich współautorami, bo i taki jest przecież obowiązek twórcy wobec swojej społeczności.

Twórcy, tak pojmujący siebie i swoją rolę dla narodu i dla naszej międzynarodowej walki o postęp, będą oczywiście uważać tę rodzącą się Polskę Ludową za swoją własność duchową i ideologiczną.

I masy ludowe, tworzące tę nową Polskę, i masy ludowe dnia jutrzejszego, takich twórców będą uważać za swoich — za współtwórców jutra — za przywódców w walce, za nauczycieli, za opiekunów i przyjaciół w rozterkach i bólach.

Jesteśmy na początku — powiedziałbym na bardzo skromnym początku tej wielkiej drogi, którą pójdzie naród — tej wielkiej drogi, przy której rozkwitać będzie sztuka we wszystkich formach, sztuka, która stanie się dobrem powszechnym i na pewno dobrem pierwszej potrzeby dla najszerszych mas.

Właśnie dlatego, że jesteśmy na początku tej drogi, chciałbym stwierdzić, że zainteresowanie Państwa Ludowego sztuką i jej twórcami nie jest niczym chwilowym, niczym doraźnym.

Odwrotnie. Dziś wyraża się ono jeszcze na pewno niedostatecznie, ale zainteresowanie to i opieka będzie się systematycznie rozwijać, będzie po prostu jedną z podstawowych funkcji i obowązków Państwa Ludowego."

WICEMINISTER W. SOKORSKI:

„Tegoroczne nagrody państwowe są nie tylko aktem hołdu i uznania dla wybitnych przedstawicieli polskiego świata artystycznego, a nawet są nie tylko ukoronowaniem wielkiego i trudnego ich życia oraz uporczywej walki o realizację nowych i postępowych założeń artystycznych, lecz w pierwszym rzędzie są wskazaniem kierunku rozwoju i kierunku twórczych procesów artystycznych, składających się na zjawisko powstawania nowej kultury i nowej sztuki naszego wolnego odrodzonego kraju, budującego socjalizm".

LUCJAN RUDNICKI:

„Nie chciałem być weteranem. Nie mogąc działać żywym słowem postanowiłem działać piórem. I oto nieoczekiwanie dla siebie staję znowu wśród czynnych budowniczych nowej Polski, a Rząd Ludowy zaszczyca mnie mianem przodownika.

W wielkim momencie historycznym, który przeżywamy, pragnąłem być między przodownikami. Ogarnia mnie radość i przepełnia duma, że jestem wyróżnionym przedstawicielem twórczości artystycznej tej klasy, która wzięła losy Polski w swoje ręce. Wręczona mi zaszczytna nagroda jest nagrodą dla całego świata pracy w państwie".

XAWERY DUNIKOWSKI:

„Szczęśliwy jestem, że dożyłem czasów wspaniałych przemian w naszym kraju, przemian prowadzących do sprawiedliwości społecznej, że dożyłem czasów, kiedy sztuka nie jest luksusem, ale najpierwszą potrzebą, kiedy sztuka znalazła właściwe miejsce w państwie i społeczeństwie.

Nagroda Państwowa Polski Ludowej posiada przecież swój odrębny charakter, swój głęboki sens, będąc odbiciem uczuć i myśli, które są udziałem całego świata pracy. Świadomość, że my artyści jesteśmy mu potrzebni, jest ogromnie pobudzająca do dalszej owocnej pracy".

LEON SCHILLER:

„Otrzymałem ostatnio szereg zapytań, jakie są moje zamierzenia na przyszłość. Jeśli przez to mam rozumieć, jakie utwory radbym najchętniej inscenizować, to odpowiem, że nie jest rzeczą ważną, czy dane widowisko sprawia mi przyjemność artystyczną, czy nie, byle widownia ludowa miała z niego pożytek".

BOLESŁAW WOYTOWICZ:

„Czułem się zawsze związany tysiącznymi nićmi ze światem pracy, nie tylko tymi nićmi, które wypływają z urodzenia, z przekonania, ale przede wszystkim więzią natury emocjonalnej, tą więzią, która każe żyć wewnętrznie w bezpośredniej łączności ze światem pracy, która stanowi o tym, że ten świat jest moim środowiskiem, tym środowiskiem, którego siłę, młodość, prężność, energię, rozmach, a nawet zapalczywość w budowaniu nowego wspaniałego świata na podstawie najszczytniejszych haseł wolności odczuwam bezpośrednio.

Zaszczyt, który mnie dzisiaj spotyka, uważam za otwarcie wielkiego kredytu zaufania w stosunku do przyszłej mojej pracy".

Podajemy najnowsze studia o laureatach państwowych nagród artystycznych:

LUCJAN RUDNICKI:

A. Stawar, przedmowa do *Stare i nowe* (przedr. fragm. *Dziennik Literacki*, 1949, nr 2); A. Sowiński: *Przeciw ostatnim Mohikanom, Kuźnica*, 1948, nr 40; E. Korzeniewska, A. Sowiński: *W sprawie artykułu Przeciw ostatnim Mohikanom, Kuźnica*, 1948, nr 44; A Kamieńska: *Dwie ludowości, Wieś*, 1948, nr 42; A. Wat: *O Lucjanie Rudnickim, Odrodzenie*, 1948, nr 50; H. E. Michalski: *Nagroda literacka: Lucjan Rudnicki, Trybuna Ludu*, 1949, nr 5; K. Wyka: *Pisarz ludowego optymizmu, Odrodzenie*, 1949, nr 3.

XAWERY DUNIKOWSKI:

H. Blumówna: *Xawery Dunikowski. Próba charakterystyki. Rocznik Zakładu Narod. im. Ossolińskich*, t. III, Wrocław 1948; K. Wyka: *W lesie rzeźb, Twórczość*, 1948 nr 11 (przedr. fragm. *Dziennik Literacki*, 1949, nr 2), toż jako odbitka: S. Flukowski — K. Wyka *Xawery Dunikowski*, Kraków, 1948; H. Blumówna: *Xawery Dunikowski na tle rzeźby europejskiej, Przegląd Artystyczny*, 1948, nr 12; M. Flukowska: *Wrażenia z wystawy prac Xawerego Dunikowskiego*, tamże. W. Strzemiński i R. Modzelewski: *Droga Dunikowskiego, Wieś*, 1949, nr 2; I. Witz: *Xawery Dunikowski, Kuźnica*, 1949, nr 2.

BOLESŁAW WOYTOWICZ:

Z Lissa: *Trzy rozmowy z Bolesławem Woytowiczem, Kuźnica*, 1949, nr 3; W. Bacewiczówna: *Bolesław Woytowicz, laureat państwowej nagrody muzycznej, Odrodzenie*, 1949, nr 4.

LEON SCHILLER:

P. Czyżowa: *O widowiskach ludowych Schillera, Wieś*, 1949, nr 4.

NIECH SIĘ ZBUDZI DRWAL[1])

„A ty Kafarnaum! któreś aż do nieba
wywyższone, aż do piekła strącone będziesz...",
Mateusz, 11—23.

I

Na zachód od rzeki Colorado jest miejsce, które kocham.
Obracam się doń ze wszystkim, co żyje we mnie,
ze wszystkim, czym byłem i jestem i w co wierzę.
Są tam smukłe czerwone skały, budowle
wzniesione tysiącem rąk wściekłego powietrza,
z przepaści wznosi się do nich szkarłatne niebo,
stając się miedzią, ogniem i mocą.
Ameryko, rozciągnięta jak skóra bawołu,
powietrzna, jasna nocy galopu,
tutaj naprzeciw gwiezdnych szczytów
piję twój puchar zielonej rosy.

Tak — przez cierpką Arizonę, sękaty Wisconsin,
do Milwaukee, wzniesionej przeciw wiatrom i śniegom,
w gorących moczarach West Palm,
blisko gajów sosnowych Tacomy, w gęstej
stalowej woni twych lasów
szedłem po matce-ziemi,
liściach błękitnych, głazach pod wodospadem,
huraganach drżących jak muzyka,
rzekach w modlitwie jak klasztory,
dzikich gęsiach i jabłkach, lądzie i wodzie,
nieskończonej ciszy, w której rodzi się zboże.

Stąd, z wnętrza głównej skały mego istnienia,
mogłem powierzyć oczy, uszy, ręce powietrzu,
dopóki nie usłyszałem ksiąg, parowozów,
śniegu, walk, fabryk, grobów, roślin, śladów stóp

i z Manhattanu księżyca na statku,
pieśni maszyny tkackiej,
żelaznej łyżki łykającej ziemię,
świdra uderzającego jak kondor,
wszystkiego co ciśnie, kraje, szyje, działa;
ludzi i kół w stałym ruchu, rodzeniu.

Kocham małe domki farmerów. Młode matki
śpiące, wonne jak sok tamarynd,
świeżo prasowane ubrania,
ogień płonący w tysiącu domów
otoczonych polami cebuli.
(Mężczyźni, gdy śpiewają w dole rzeki,
mają głosy szorstkie, jak kamienie jej łożyska;
tytoń wznosi się ze swych szerokich liści
i jak zjawa lśniąca wchodzi do domów).
Przyjdź do Missouri, popatrz na ser i ziarno,
na pachnące brzegi, szkarłatne jak skrzypce,
na człowieka płynącego przez pola jęczmienia,
nowonarodzone czarno-niebieskie źrebię,
pachnące chlebem i alfalfą:[2])
dzwony, maki, kuźnie,
a w splątanych leśnych teatrach
miłość obnaża kły
w śnie urodzonym z ziemi.

Kochamy twój pokój, nie twoją maskę.
Twoja twarz wojownika nie jest piękna.
A ty piękna jesteś, wielka, Ameryko Północna.
Pokorny twój początek, jak białej praczki
nad twymi rzekami.
Ukształtowany w niewiadomym
najsłodszy jest twój spokój pszczelego plastra.
Kochamy twego człowieka, który ma czerwone dłonie
od gleby Oregonu, i twego syna Murzyna,
który przyniósł ci swoją muzykę,
urodzoną w strefach kości słoniowej,
kochamy twe miasto, twą ziemię,
twe światło, maszyny, energię
Zachodu, spokojny miód
pasieki i małego miasta,
kochamy silnego chłopca prowadzącego traktor,
pola owsa, odziedziczone
po Jeffersonie, koło szumiące,
które znaczy ci granice na oceanie,

dym fabryk i tysiączny pocałunek
nowej osady.
Twoja krew pracowita jest tym, co kochamy,
ręka robotnika, zabrudzona smarem.

Pod nocą prerii od dawna
na skórze bawołu w poważnej ciszy
spoczywają głoski i pieśni
o tym, czym byłem przed bytem, czym byliśmy.
Melville[3]*) jest morskim drzewem cisowym, z gałęzi*
jego wynika krzywizna dziobu, ramię
drzewa i statku. Nieskończony Whitman,
jak pola zboża, Poe w matematycznym
półmroku, Dreiser, Wolfe,[4]*)*
świeże rany w naszej nieobecności,
Lockridge, właśnie zmarły, przeznaczony głębinom,
tak wielu innych, przeznaczonych cieniom,
gdy nad nimi płonie świt tej samej półkuli,
a my jesteśmy z nich.
Dzieci obdarzone siłą, ślepi kapitanowie,
czyny i liście w czasach przerażających,
przerywane radością i bólem;
pod preriami, ożywionymi ruchem,
iluż jest zmarłych na równinach nie odwiedzanych nigdy:
udręczonych niewinnych, proroków drukiem świeżo wydanych
na bawolej skórze prerii.

Z Francji, z Okinawy, z atoli
Leyte (Norman Mailer to opiewał),
z szalonego powietrza i fal prawie wszyscy
powrócili młodzi żołnierze.
Prawie wszyscy... Zielone, gorzkie były ich dzieje
z błota i potu: nazbyt rzadko słyszeli
pieśń koralowych raf, nigdy może nie tknęli,
chyba, by umrzeć na wyspach, lśniących i wonnych
kwiatów:
krew i gnój
ścigały ich, brud i szczury,
i znużone, stroskane, walczące serce.
Lecz teraz powrócili, przyjęłaś ich
w twym otwartym, szerokim kraju
i zamknęli się (ci, co wrócili)
jak korona bezimiennych płatków,
by odrodzić się i zapomnieć.

II

Znaleźli gościa w domu,
oczy nowe przynieśli (lub ślepi byli poprzednio),
albo szarpiące gałęzie podarły im powieki,
albo są nowe rzeczy na ziemi Ameryki.
Ci Murzyni, którzy z uśmiechem wraz z tobą walczyli, twardzi,
spójrz:
ludzie postawili płonący krzyż
w ich części miasta,
powiesili, pogrzebali twego brata po krwi:
zrobili zeń człowieka walki, dziś odmawiają
mu głosu i decyzji, zakapturzeni nocą
schodzą się kaci z biczem i krzyżem.

(Inne to były dzieje
za morzami, w walce).

Nieoczekiwany gość
jak stara ośmiornica, gryząca,
olbrzymia, skręcająca się,
zamieszkał w twoim domu, przyjacielu-żołnierzu.
Prasa sączy jad stary, destylowany w Berlinie:
tygodniki (Time, Newsweek itp.) to ochrypłe
żółte karty niesławy; Hearst
piejący pieśń miłosną faszystom, uśmiecha się,
ostrzy swoje szpony, abyś znów wyszedł
na rafy koralowe lub na stepy
walczyć za tego gościa w twoim domu.
Nie gardzą tobą, chcą nadal sprzedawać
stal i kule, fabrykują więcej prochu,
który trzeba sprzedać szybko, nim nowe bronie
przyjdą, schwytane nowymi dłońmi.

Wszędzie usadowili się szefowie,
w twoim domu zwiększają swoje szeregi,
kochają Hiszpanię Franco, ofiarowują ci kielich krwi
(jeden stracony, stu): cocktail Marshalla.
Wybieraj młodą krew: chłopów
w Chinach, więźniów
w Hiszpanii,
krew i pot na cukrowych polach Kuby,
łzy kobiet
w chilijskich kopalniach węgla i miedzi;
potem potrząśnij energicznie,

jak cios policyjną pałką,
nie zapomnij kawałka lodu i paru kropel
z pieśni „Brońmy kultury chrześcijańskiej".
Czyż nie gorzka mieszanka?
Przyzwyczaisz się do niej, przyjacielu-żołnierzu, będziesz ją pił,
gdziekolwiek w świecie, w świetle księżyca,
lub rankiem w luksusowym hotelu
żądaj tego napoju, który wzmacnia i odświeża,
płać zań dobrym banknotem z wizerunkiem Waszyngtona.

Odkryłeś także, że Charlie Chaplin,
ostatni ojciec czułości świata,
jest zniesławiony, a pisarze (Howard Fast i inni),
uczeni i artyści
twojego kraju
muszą pozwolić, by ich sądzono za myśli „nieamerykańskie"
przed trybunałem kupców, zbogaconych dzięki wojnie.
W najodleglejszy kąt świata przybył strach.
Moja ciotka przerażona czyta te wieści.
Wszystkie oczy na ziemi są wpatrzone
w owe sądy hańby i zemsty.
To sprawiedliwość okrwawionych Babbittów,[5])
panów niewolników, zabójców Lincolna;
powstaje nowa Inkwizycja,
nie dla krzyża (i tamta była
straszna, nie do wytłumaczenia),
lecz dla krągłego złota, co dźwięczy
na stołach burdeli i banków,
i która nie ma prawa sądzić.
Morinigo,[6]) *Trujillo,*[7]) *Gonzales Videla,*[8])
Somoza,[9]) *Dutra,*[10]) *dołączyli w Bogocie, przyklasnęli.*
Ty, młody Amerykaninie, nie znasz ich, oni —
to ponure wampiry naszego nieba; gorzki
jest cień ich skrzydeł:
więzienia,
męczarnie, śmierć, nienawiść; stany Południa
naftą i dynamitem poczęły,
by rodzić potwory.
W Chile nocą
przybywa rozkaz kata do stęchłego,
pokornego domu górnika. Dzieci
budzą się z krzykiem.
Tysiące siedzą w więzieniach,
myślą.

W Paragwaju
głęboki cień puszczy skrywa
kości zabitego patrioty, strzał
dźwięczy w blasku lata.
Prawda
tu zmarła.
Czemu nie interweniowali w Santo Domingo
Mr. Vandenberg, Mr. Armour,[11]*) Mr. Marshall, Mr. Hearst,*
żeby bronić Zachodu?
Udręczonego, zbudzonego nocą, czemu zmuszono
prezydenta Nikaragui do ucieczki
i do śmierci na wygnaniu?
(Tam trzeba bronić bananów, nie wolności,
i Somoza na to wystarczy).
Te wielkie, zwycięskie
idee przenikają do Grecji i Chin
z pomocą rządom, splamionym jak brudne dywany.
Ach, żołnierzu!

III

Wychodzę też z twych krain, Ameryko,
stwarzam sobie dom wędrujący,
śpiewający, latający, podróżny,
rozmawiający poprzez dni.
W Azji, w ZSRR, na Uralu staję,
otwieram duszę przesiąkłą samotnością i żywicą.
Kocham, cokolwiek człowiek stworzył w przestrzeni
tchem walki i miłości.
Mój dom na Uralu otacza jeszcze
prastara noc sosen
i cisza, jak smukły ul.
Tutaj zboże i stal
rodzą się z dłoni człowieka, z jego piersi.
Śpiew młotów ożywia stare lasy,
jak błękitny fenomen.
Stąd patrzę przez szerokie ludzkie krainy,
przez geografię dzieci i kobiet, fabryk,
miłości i pieśni, szkół,
które błyszczą jak fiołki w puszczy,
gdzie do wczoraj żył dziki lis.
Stąd dłoń moja, jak na mapie,
kreśli zieleń łąk i dym
tysiąca warsztatów, zapach

tkanin, cud poskromionej
energii.
W popołudnia powracam
świeżo zbudowanymi drogami,
wchodzę do kuchen, w których
warzy się kapusta i skąd
wypłynie dla świata nowa wiosna.

Tu też powrócili młodzi,
choć zostało wiele milionów,
opuchłych, zwisających z szubienic,
spalonych w specjalnych piecach,
zniszczonych, że nic nie zostało
oprócz ich imion w pamięci.
Ich wioski mordowano także,
zmieszano miliony kości
i odprysków szkła,
bydło, fabryki, nawet Wiosna,
zniknęły, połknięte przez wojnę.
A jednak powrócili młodzi.
Miłość kraju, który zbudowali
zapadła im tak w krew,
że mówili Mój Kraj żyłami,
Związek Rad śpiewali krwią.
Głos napastników z Berlina
jeszcze się echem odbijał
głośnym, gdy wrócili, by pomóc
miastom, zwierzętom i Wiośnie
w odradzaniu się.

Walcie Whitman, wznieś swą brodę trawiastą,
spojrzyj wraz ze mną z lasu,
z wonnych wysokości —
cóż widzisz, Walcie Whitman?
Mój brat mądry odpowiada: Widzę,
jak fabryki pracują w tym mieście,
zapamiętanym przez umarłych,
we wspaniałym, czystym Stalingradzie.
Widzę, jak z umocnionych równin,
z cierpienia i płomieni,
wilgotnym rankiem się rodzi
traktor, zgrzytem wjeżdżając w pola.
Daj mi twój głos i moc pogrzebanych piersi,
Walcie Whitman, i twarde bruzdy twej twarzy,

bym potrafił opiewać tę odbudowę!
Razem złożymy hołd temu, co się wznosi
z wszystkiego smutku, temu, co powstaje
z głębokiego milczenia, z żałobnego
zwycięstwa.
Stalingradzie, rozlega się twój głos stalowy,
piętro za piętrem, jak wspólny dom
odbudowuje się nadzieja,
i znów maszeruje drżenie głębokie,
które uczy,
śpiewa,
tworzy.
Stalingrad wynurza się z krwi
jak orkiestra kamienia, żelaza, wody,
chleb w piekarniach odradza się,
Wiosna w szkołach, wspina się wiatr
na nowe rusztowania i drzewa,
podczas gdy stara surowa Wołga spokojnie faluje.
Księgi
na nowych półkach z sosny i cedru
znów jednoczą się nad grobami
martwych katów.
Teatry zbudowane wśród ruin
pokrywają męczeństwo i opór:
księgi jasne tak jak pomniki —
jeden nad każdym bohaterem,
nad każdym milimetrem śmierci,
nad każdą cząstką niezmiennej chwały.

Związku Rad, gdybyśmy zebrali
wszystką krew straconą w Twych walkach,
wszystko coś dał, jak matka, światu,
żeby wolność, konająca, żyć mogła,
mielibyśmy nowy ocean,
większy niż wszystkie inne,
głębszy niż wszystkie inne,
drgający jak wszystkie rzeki,
czynny jak ogień wulkanów Araukanii.[12])
Zanurz dłoń w tym morzu
człowieku z każdego narodu,
potem cofnij i zatop w nim
wszystko, co zapomniało, skrzywdziło,
skłamało i zbrukało,

złączyło się z setką małych kundli
zachodniej kupy nawozu
i znieważyło Twą krew,
Matko ludzi wolnych!

Z pachnących sosen Uralu
patrzę na bibliotekę, która się rodzi
w sercu Rosji,
laboratorium, gdzie pracuje samo milczenie,
patrzę na pociągi wiozące budulec i pieśni
do nowych miast,
w balsamicznym spokoju rozpoczyna się stuk
jak w nowej piersi,
dziewczęta i gołębie wracają na step,
niepokojąc jego białość,
drzewa pomarańcz zaludniają się złotem,
każdego ranka
rynek ma nowy zapach,
nowy zapach przybyły z wyżyn,
gdzie męczeństwo było większe;
mapa równin drży,
gdy inżynierowie wypisują swe liczby,
wiją się rury wodociągów, jak długie węże,
przez ziemię mglistej, nowej zimy.

W trzech pokojach starego Kremla
mieszka człowiek imieniem Józef Stalin.
Światło późno gaśnie w jego pokoju,
Świat i Ojczyzna nie dają mu odpocząć.
Inni bohaterzy stworzyli państwa,
on ponadto pomógł je zrodzić,
i zbudować je,
i obronić.
Wielki ten kraj jest przeto częścią jego,
i on nie może spocząć, bo kraj nie spoczywa.
Kiedyś dawniej śnieg i proch
znalazły go naprzeciw znanych złoczyńców,
którzy chcieli (jak znów dziś) ożywić
knut i nędzę, bojaźń niewolnych,
martwy ból milionów biedaków.
Był przeciw Wranglom, Denikinom,
posłanym przez Zachód, by „bronić kultury".
Obdarto ich tam ze skór, obrońców
katów, w szerokich krainach

ZSRR Stalin pracował dzień i noc.
Później przyszli ołowianą falą
Niemcy, tuczeni przez Chamberlaina.
Stalin oparł się im na wszystkich długich frontach,
we wszystkich ich odwrotach i ofensywach,
i daleko, aż do Berlina, jak huragan ludów,
przybyli jego synowie, przynieśli
szeroki pokój rosyjski.

Są tam Mołotow i Woroszyłow,
widzę ich z innymi, z generałami,
niezłomnych.
Twardzi, jak ośnieżone lasy dębowe.
Żaden z nich nie ma pałaców,
żaden oddziałów niewolników,
żaden nie zbogacił się na wojnie
sprzedażą krwi,
żaden z nich nie podróżuje
do Rio Janeiro czy Bogoty
rozkazywać małym satrapkom,
okrwawionym dręczycielom,
żaden z nich nie ma dwustu ubrań,
ni udziałów w fabrykach broni,
wszyscy oni są udziałowcami
w radości i budowie
wielkiego kraju, gdzie świt się odbija,
powstając z nocy śmierci.
Mówią światu „towarzyszu".
Z cieśli zrobili króla.
Żaden wielbłąd nie przejdzie przez ucho tej igły.
Oczyścili wioski.
Podzielili ziemię.
Podnieśli niewolnych.
Usunęli żebraków.
Zniweczyli okrutnych.
Wnieśli światło w głęboką noc.

Właśnie dlatego, chłopcze z Arkansas, albo
ty, złoty młodzieńcze z West Point, lub lepiej
ty, mechaniku z Detroit, czy też
ty, tragażu portowy starego
Nowego Orleanu, do was wszystkich
przemawiam i powiadam: stąpajcie mocno,
otwierajcie uszy, słuchajcie wielkiego ludzkiego świata,

to nie elegancki gentleman z Departamentu Stanu,
ni dzicy baronowie stalowi tu do was
mówią,
lecz poeta z samego południa Ameryki,
syn kolejarza z Patagonii,
Amerykanin, jak powietrze Andów,
dziś uciekinier z kraju, w którym
rządzą kaźń, męka i bojaźń,
podczas gdy miedź i nafta stopniowo
zmieniają się w złoto dla obcych panów.
Ty nie jesteś bożkiem
dźwigającym w jednej ręce złoto,
a w drugiej Bombę.
Ty jesteś
czym ja jestem, czym byłem, co trzeba
chronić — bratnią ziemią
Ameryki czystej, prostych
ludzi ulic i dróg.
Mój brat Juan sprzedaje buty,
podobnie jak twój brat John,
moja siostra Juana skrobie ziemniaki,
podobnie jak twa kuzynka Jang,
moja krew jest krwią górników
i marynarzy, jak twoja, Piotrze.
Ty i ja otworzymy drzwi,
aż zawieje powietrzem Uralu
przez atramentowe kurtyny,
ty i ja powiemy wściekłym:
„Drogi chłopcze — dotąd — i dość!"
Bo poza tym ziemia jest nasza,
nie usłyszy nikt trzasku KM-ów
tam, lecz pieśń, inną pieśń i jeszcze inną.

IV

Ameryko Północna, jeśli
uzbroisz swych gospodarzy,
by tę czystą granicę zniszczyli,
by przysłali rzeźnika z Chicago,
aby rządził muzyką i ładem,
które kochamy,
zjawimy się z powietrza i głazów,
by ciebie kąsać,

zjawimy się z ostatniego okna,
by do ciebie strzelać,
zjawimy się z najgłębszych fal,
żeby cię zakłuć,
zjawimy się z bruzd, by potomni
rozbili cię, jak pięścią Kolumba,
zjawimy się, by odmówić ci chleba i wody,
zjawimy się, by spalić cię w piekle.

Nie wyruszaj do łagodnej Francji, żołnierzu,
będziemy tam, doglądniemy, by winnice zielone
dały tylko ocet, a biedne dziewczęta
wskażą ci miejsce, na którym jeszcze
świeża jest krew niemiecka.
Nie wspinaj się na suche pasma górskie Hiszpanii,
bo każda skała zamieni się w płomień,
a tam jest walka dzielna od lat tysiąca;
nie zagub się pomiędzy drzewkami oliwek,
bo nie wrócisz do Oklahomy, nie wkraczaj
do Grecji, tam krew, którą dziś rozlewasz
powstanie i zatrzyma cię.
Nie jedź łowić ryb do Tacopilli,
ryba-miecz pozna twój rabunek,
skromny araukański górnik
znajdzie stare, okrutne strzały,
zakopane, czekające nowych zdobywców;
nie ufaj nucącemu „vidalita" gauchowi,[13])
ani robotnikom z domów handlowych, oni
będą wszędzie z oczyma i pięśćmi,
jak Wenezuelczycy, czekający na ciebie
z butlą benzyny w ręce, z gitarą w drugiej.
Sandino[14]*) śpi w puszczach aż do twego przybycia,*
strzelba jego pokryta lianami i deszczem,
twarz bez powiek,
ale rany, od których zginął, żyją,
jak dłonie Puerto Rico, czekające
na blask noży.
Świat dla ciebie będzie bezlitosny,
wyludnią się nie tylko wyspy, lecz i powietrze,
które dziś słyszy kochane słowa.
Nie śmiej żądać armatniego mięsa
od dawnego Peru — w poszarpanej
mgle ruin szlachetni przodkowie
naszej krwi ostrzą ametystowe

miecze przeciw tobie, w dolinach
dźwięczą chrapliwe konchy walki,
zwołują bojowników z procami,
synów Amaru.[15]) *W meksykańskich*
górach ludzi nie szukaj, by ich skłaniać
do walki przeciw świtom. Nie śpią
strzelby Zapaty,[16]) *oliwione,*
celujące w równiny Texasu.
Nie pojaw się na Kubie, tam w łunie oceanu
na polach cukrowych zroszonych potem,
oczekuje cię jedno ciemne spojrzenie,
jeden krzyk, co umiera lub zabija.
Nie wkraczaj
do partyzanckich stron szumiącej Italii,
nie mijaj szeregów żołnierzy w zgrabnych mundurach,
których trzymasz w Rzymie, nie mijaj Świętego Piotra,
bo poza tym prości święci wiejscy,
święci okrętów i rybaków,
kochają wielki kraj stepów,
gdzie świat zakwitnął na nowo.
Nie zbliżaj się
do mostów Bułgarii — one cię nie przepuszczą;
w rzeki Rumunii wlejemy kipiącą krew,
by poparzyła najeźdźców;
nie pozdrawiaj chłopa, który widział
grób swych panów feudalnych, z pługiem
i strzelbą stoi na warcie, nie patrz nań,
bo cię spali jak gwiazda.
Nie ląduj w Chinach,
tam nie będzie najemnego Czanga,
lecz oczekiwać cię będzie puszcza
chłopskich sierpów i wulkan prochu.

W innych wojnach były rowy pełne wody,
kolczaste druty bez końca, szponiaste i zębate,
ale ten rów jest szerszy, te wody głębsze,
druty bardziej niezwyciężone niż inny metal,
to jest milion i jeden węzłów życia,
stare niedole ludów
wszystkich lądów i dolin dalekich,
wszystkich okrętów i bander,
wszystkich jaskiń gdzie się gromadzili,
wszystkich sieci walczących z burzami,
wszystkich wiedźmowych zmarszczek ziemi,

wszystkich piekieł i kotłów ich ognistych,
wszystkich hut i tkackich warsztatów,
wszystkich lokomotyw zgubionych czy zgromadzonych.
Te druty otaczają świat tysiąc razy,
wydają się być rozdzielone,
wyrwane z korzeniami,
wtem nagle łączą się magnesem,
dopóki nie zapełnią ziemi.

Lecz dalej,
promienni i śmiali,
stalowi, uśmiechnięci,
gotowi do pieśni lub walki
oczekują cię
mężczyźni i kobiety tundry i tajgi,
bojownicy Wołgi, która zwyciężyła śmierć,
dzieci Stalingradu, olbrzyma Ukrainy,
wszyscy stoją wysokim murem kamienia i krwi,
żelaza i pieśni, odwagi i nadziei.
Jeśli dotkniesz tych umocnień — upadniesz
spalony jak węgiel w fabrykach,
uśmiechy w Rochester zamienią się w cienie,
rozproszone w powietrzu stepów,
by zagrzebać się na zawsze w śniegu.
Przyjdą wojownicy, którzy
od Piotra Wielkiego do herosów
nowych zdumiewali ziemię,
z twych medali zrobią małe, zimne kulki,
by świstać bez przestanku przez cały
ogromny kraj, który dziś jest radosny.
Laboratorium obrośnięte winem
wypuści wolny od kajdan atom
przeciw twym dumnym miastom.

V

Niech się nic z tego nie zdarzy.
Niech się zbudzi Drwal.
Niech przyjdzie Abe[17]*) z swą siekierą*
i ze swym drewnianym talerzem,
by jeść razem z chłopami.
Niech głowa jego jak kora drzewa,
oczy jak drzewne słoje
w pniu dębu

obrócą się, by patrzeć na świat,
wznoszący się ponad liście,
wyżej niż sekwoja.
Niechaj coś kupi w drogerii,
niech wsiądzie w autobus do Tampy,
niech się wgryzie w żółte jabłko
i wejdzie do kina, by mówić
z wszystkimi prostymi ludźmi.

Niech się zbudzi Drwal.

Niech przyjdzie Abe, a wnet dawny zaczyn
spulchni zielono-złotą ziemię Illinois,
niech podniesie siekierę w swym własnym mieście
przeciw nowym panom niewolników,
przeciw chłoście niewolnych,
przeciw zatrutym drukarniom,
przeciw krwawym towarom,
które chcą sprzedawać.
Niech maszerują śpiewając, z uśmiechem
młody biały i młody Murzyn
przeciw ścianom ze złota,
fabrykantom nienawiści,
przeciw kupcom ich krwi,
niech śpiewają, śmieją się, zwyciężają.

Niech się zbudzi Drwal.

Pokój przyszłym zmierzchom,
pokój mostowi, winogronu,
pokój strofom, które mnie gonią
i we krwi powstają, mieszając
wcześniejsze pieśni z ziemią i miłością,
pokój miastu rankiem
gdy budzi się chleb, pokój Mississipi,
źródłu rzek,
pokój koszuli mego brata,
pokój książkom, jak pieczęci powietrza,
pokój wielkiemu kołchozowi Kijowa,
pokój popiołom tych umarłych
i tych innych umarłych, pokój czarnemu
żelazu Brooklyna, pokój listonoszowi,
który z domu do domu chodzi jak dzień,
pokój śpiewakowi krzyczącemu do tuby

o kształcie powoju,
pokój mojej prawej dłoni,
która chce pisać tylko Rosario,
pokój Boliwiańczykowi, skrytemu
jak bryłka cyny, pokój,
abyś mógł się ożenić, pokój wszystkim
tartakom Bio-Bio,[18]) *pokój*
rozdartemu sercu partyzanckiej Hiszpanii,
pokój małemu muzeum w Wyoming,
gdzie najpiękniejszą rzeczą
jest poduszka z haftowanym sercem,
pokój piekarzowi i jego bochnom,
pokój także mące, pokój
wszystkiemu zbożu, co się urodzi,
całej miłości, szukającej schronienia,
pokój wszystkim żywym, pokój
wszystkim lądom i wodom.

Powiadam żegnajcie, wracam
do mego domu, w snach
wracam do Patagonii, tam
wiatr w stodołach klekocze,
ocean bryzga lodem.
Jestem tylko poetą — kocham was wszystkich,
wędruję po świecie, który kocham,
w moim kraju więżą górników,
żołnierze rozkazują sędziom.
A ja kocham nawet korzenie
w moim małym, zimnym kraju;
gdybym miał tysiąc razy umrzeć,
chciałbym tu umrzeć;
gdybym miał tysiąc razy się urodzić,
tu chciałbym się urodzić,
blisko smukłych dzikich sosen,
burzliwego wiatru z południa,
świeżo kupionych dzwonów.
Niechaj nikt nie myśli o mnie.
Pomyślmy o całej ziemi,
zastawmy stół miłością.
Nie chcę więcej krwi,
by nasycać chleb, fasolę, muzykę;
chciałbym, aby przyszli ze mną:
górnik, mała dziewczynka,
adwokat i marynarz,

także ten, który robi lalki,
byśmy poszli do kina i wyszli
pić najczerwieńsze wino.
Nie przyszedłem niczego rozwiązywać,
przyszedłem, żeby śpiewać,
i dla was, byście śpiewali ze mną.

Gdzieś w Amerykach — maj 1948

Przełożył *Lech Andrzej Pijanowski*

PRZYPISY TŁUMACZA

[1]) Drwal *(The Rail Splitter)* — tak Amerykanie zwą Abrahama Lincolna, który oddawał się drwalce w roku 1830.
[2]) Alfalfa *(Medicago sativa)* — gatunek lucerny, roślina pastewna południowo-amerykańska.
[3]) Herman Melville (1819—1891) — powieściopisarz amerykański, znany z powieści z życia marynarzy i łowców wielorybów (*Biały wieloryb*). Pod wpływem jego twórczości we flocie amerykańskiej zniesiono chłostę.
[4]) Thomas Clayton Wolfe — powieściopisarz amerykański, autor m. in. *Of time and the river, Look homeward.*
[5]) Babbitt — typ mieszczucha amerykańskiego z powieści Sinclair Lewisa pod tym samym tytułem.
[6]) gen. Higinio Morinigo — prezydent Paragwaju.
[7]) Rafael Leonidas Molina Trujillo — prezydent Santo Domingo.
[8]) Gabriel Gonzalez Videla — prezydent Chile.
[9]) gen. Anastasio Somoza — prezydent Nikaragui.
[10]) gen. Enrico Gaspar Dutra — prezydent Brazylii.
[11]) Norman Armour — polityk USA, specjalista od zagadnień Ameryki Południowej.
[12]) Okolice południowego Chile, zamieszkałe ongiś przez szczep indyjski tej nazwy.
[13]) *Gaucho (gauczo)* — poganiacz, pastuch krów w pampasach argentyńskich. Postać b. popularna w literaturze Argentyny i Urugwaju.
[14]) Augusto Cesar Sandino (1893—1934) — Nikaraguańczyk, generał. W roku 1926 wziął udział w rewolucji przeciw konserwatystom, prowadzonej pod kierownictwem Sacasa i Moncada. Po podpisaniu ugody Stimson—Moncada w roku 1927 Sandino odmówił złożenia broni i wystąpił przeciwko interwencji amerykańskiej, prowadząc do roku 1933 walki partyzanckie z oddziałami armii USA (potyczki: El Chipota, Las Cruces, Matagalpa). W roku 1933 poszedł na kompromis z nacjonalistycznym rządem Nikaragui i wraz ze swymi zwolennikami opracowywał program spółdzielczej gospodarki rolnej. 21. II. 1934 r. został zdradziecko aresztowany i stracony.
[15]) Amaru — poeta indyjski, żyjący prawdopodobnie w VI wieku po Chr.
[16]) Emiliano Zapata (1880—1919) — bohater Indian meksykańskich, sam pochodził ze szczepu Guerrero. Od r. 1910 walczy z wpływami obcymi w Meksyku. Jego czterdziestotysięczna armia (tzw. „Legion Śmierci") przez pewien okres czasu kontroluje cały płd. Meksyk i kilkakrotnie zajmuje jego stolicę Mexico City. Na terenach zdobytych Zapata rozdawał ziemię bezrolnym i biedakom (pionier reformy rolnej, stąd kierunek polityki rolnej zwany „zapatyzmem"). Zapata zostaje zabity w czasie walki z jedną z armii rządowych 10. IV. 1919 r. Podania i legendy o nim po dziś dzień krążą wśród Indian meksykańskich.
[17]) Tak Amerykanie nazywają A. Lincolna (skrót od imienia: Abraham).
[18]) Bio—Bio — rzeka w środkowym Chile, płynąca z Andów do Pacyfiku.

TOMASZ MANN

DOKTOR FAUST

Rozdział XXVI (wyj.)

Pocieszające jest, że czytelnik tym razem nie mnie obciąży niezwykłymi rozmiarami poprzedniego rozdziału*). Ten zarzut leży poza moją autorską odpowiedzialnością, nie mnie więc dotyczy. Żaden wzgląd na podlegającą znużeniu zdolność odbiorczą czytelnika nie zmusiłby mnie do tego, abym poddał jakiejś swobodniejszej redakcji spisaną przez Adriana „rozmowę" (proszę zauważyć protestujący cudzysłów, którym opatrzyłem to słowo, nie ukrywając bynajmniej przed samym sobą, że ów cudzysłów odbiera mu tylko część grozy) lub rozłożył tę rozmowę na pojedyncze, oznaczone cyframi rozdziały. Z pełnym bólu pietyzmem oddałem to, co było już dane, przeniosłem do mojego rękopisu zapiski z arkuszy nutowych Adriana; i uczyniłem to nie tylko słowo w słowo, lecz litera w literę, odkładając nieraz pióro, nieraz przerywając pracę dla wytchnienia, aby przemierzyć gabinet ciężkim krokiem lub rzucić się na kanapę, tak że nie prędzej uporałem się z rozdziałem skopiowanym, aniżeli z którymś z poprzednich własnej kompozycji.

Przepisywanie z sensem i myślą jest w gruncie rzeczy tak samo intensywnym i pochłaniającym czas zajęciem, jak rzucanie na papier własnych myśli. I podobnie jak już przedtem czytelnik nie doceniał liczby dni i tygodni poświęconych historii życia mojego zgasłego przyjaciela, tak i teraz pozostaje on niechybnie wyobraźnią w tyle poza czasokresem, w którym piszę te słowa. Choćby miał wyśmiać moją pedanterię, uważam za słuszne dać mu do zrozumienia, że odkąd rozpocząłem pisać tę biografię upłynął już niemal rok, i przy pracy nad ostatnimi rozdziałami nadciągnął kwiecień 1944.

Oczywiście, że ta data oznacza datę mojej pracy — nie tę, do której progu doprowadziłem moją opowieść: tamta data to jesień 1912 roku, dwadzieścia miesięcy przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Nie wiem dlaczego ta podwójna chronologia przykuwa moją uwagę, dlaczego muszę wskazać na nią: czas osobisty i czas przedmiotowy, czas, w którym biograf prowadzi swoje dzieło, oraz czas, w którym rozgrywa się opowiadanie. Jest to zupełnie osobliwe skrzyżowanie czasokresów, przeznaczone zresztą do tego, aby sprzęgnąć

*) W rozdziale XXV rozmawia Adrian z diabłem (przyp. tłum.).

ę jeszcze z trzecim: tym, w którym czytelnik zapozna się z opowieścią, tak będzie miał do czynienia z trojakim czasem: swoim własnym, kronikarza raz historycznym.

Nie chcę dalej zapuszczać się w te spekulacje, pragnę jedynie dodać, że słowo historyczny" z posępniejszą trafnością odnosi się do czasu, w którym piszę, aniżeli do czasu, o którym piszę. W ostatnich dniach szalała bitwa Odessę, zakończona zdobyciem przez Rosjan tego słynnego miasta nad Morzem Czarnym, przy czym — rzecz prosta — nieprzyjacielowi nie udało się przeszkodzić naszym taktycznym operacjom, zmierzającym do odłączenia się od niego. Nie potrafi im też przeszkodzić w Sewastopolu, drugim z naszych bastawów, który silniejszy widać przeciwnik chce nam teraz wydrzeć. Tymczasem trwoga codziennych niemal nalotów na naszą z wszystkich stron obwarowaną twierdzę — Europę rośnie w nieskończoność. I cóż pomoże, że wiele z tych potworów, siejących coraz doskonalszymi środkami zniszczenie, padnie ofiarą naszej bohaterskiej obrony przeciwlotniczej? Tysiące bombowców zaćmiewają niebo zjednoczonego śmiało kontynentu i coraz więcej naszych miast rozpada się w gruzy. Lipsk, który w rozwoju duchowym Lewerkuehna, w jego tragedii życiowej grał tak ważną rolę, został ostatnio potężnie ugodzony; jego słynna dzielnica wydawnicza jest, jak mi doniesiono, już tylko pogorzeliskiem, nieprzymierne dobra literackie i użytkowe stały się pastwą zniszczenia — najcięższa strata nie tylko dla nas Niemców, ale dla całego kulturalnego świata. Ten świat jednak w zaślepieniu czy też słusznym prawem — nie śmiem tego rozstrzygać — wlicza te straty w cenę zwycięstwa.

Tak jest, obawiam się, że zagładę sprowadzi na nas fatalnie inspirowana polityka, która wplątała nas równocześnie w konflikt z najludniejszym i w dodatku rewolucyjnie natchnionym mocarstwem, oraz z drugim, o najpotężniejszej zdolności produkcyjnej. Wygląda wszak na to, że amerykańska machina wytwórcza nie potrzebuje nawet pracować pełną parą, aby wyrzucać z siebie przytłaczające masy sprzętu wojennego. To, że pozbawione rdzenia demokracje umieją nawet obchodzić się z tym straszliwym sprzętem, jest otrzeźwiającym osłupiającym zarazem doświadczeniem, wobec którego z każdym dniem jaśniej poznajemy omyłkę, jakoby wojna była wyłącznie przywilejem niemieckim i w sztuce gwałtu inni byli dyletanckimi partaczami. Zaczynamy spodziewać się różnych rzeczy po technice wojennej Anglosasów, i napięcie inwazyjne rośnie. Atak z wszystkich stron, z przewagą materiałową, z milionami żołnierzy, na naszą europejską warownię — a może lepiej rzec: nasze więzienie, może: nasz dom wariatów? — tego ataku oczekujemy, i tylko sugestywne opisy olbrzymich przygotowań, mających uniemożliwić lądowanie wroga — przygotowań przeznaczonych na to, aby nas i całą część świata uchronić przed utratą naszych obecnych wodzów — te opisy potrafią jeszcze przeciwstawić się ogólnej panice i grozie przed tym, co ma nadejść.

Zapewne, czas, w którym piszę, ma o wiele potężniejszy historyczny impet, niż ten, o którym piszę, czas Adriana, który podprowadził go tylko pod próg naszej niewiarogodnej epoki. I nieraz wydaje mi się, że powinno się jemu i tym

wszystkim, których już nie ma pośród nas i których już nie było, gdy ta epoka się zaczęła, zawołać: „Spoczywajcie w pokoju!". Drogie jest mi to bezpieczne ukrycie Adriana przed naszymi teraźniejszymi dniami, cenię je bardzo, i za to, że jestem go świadom, chętnie biorę na siebie okropności czasu, w którym trwać muszę. Mam wrażenie, że żyję i działam za niego, zamiast niego, że dźwigam brzemię oszczędzone jego barkom, słowem, że wyświadczam mu przysługę, biorąc na siebie życie zamiast niego. I to przeświadczenie, jakkolwiek iluzoryczne, może nawet śmieszne, krzepi mnie, schlebia mojemu najtajniejszemu pragnieniu, aby mu służyć, pomagać, osłaniać go — temu pragnieniu, które za życia przyjaciela w szczupłym tylko ziściło się zakresie.

Rozdział XXXIII (wyj.)

Czas, o którym piszę*), był dla nas Niemców erą państwowego załamania się, kapitulacji, rewolty i bezsilnego oddania się w ręce obcych. Czas, w którym piszę, służebny mi czas, w którym przenoszę na papier w ciszy i odosobnieniu te wspomnienia, dźwiga w swym straszliwie wzdętym łonie katastrofę ojczyzny, w obliczu której tamta klęska wydaje się miernym nieszczęściem, rozumną likwidacją chybionego przedsięwzięcia. Haniebny koniec jest jeszcze zawsze czymś innym i bardziej normalnym, aniżeli sąd zawieszony nad nami, sąd, jaki spadł niegdyś na Sodomę i Gomorę i jakiego mimo wszystko nie ściągnęliśmy na nasze głowy tamtym, pierwszym razem.

Nie wierzę, aby ktokolwiek żywił jeszcze wątpliwości co do tego, że sąd ten się zbliża, że jest już nie do powstrzymania. Monsignore Hinterpfoertner i ja nie jesteśmy już z pewnością odosobnieni w naszym okropnym i zarazem — Bóg niech nam będzie łaskaw — potajemnie krzepiącym poznaniu. Że tę świadomość spowija milczenie, jest samo przez się upiornym faktem. Bo jeśli niesamowite jest to, że wśród masy zaślepionych paru świadomych trwać musi z zamkniętymi głucho ustami — zgroza dopełnia się, skoro wszyscy właściwie już wiedzą, ale skazani są na na pospólne milczenie, podczas gdy jeden czyta prawdę w unikających spojrzenia lub trwożnie wlepionych w siebie oczach drugiego.

W czasie gdy z dnia na dzień w cichym, ciągłym podnieceniu usiłowałem wykonać moje biograficzne zadanie, dać godną postać sprawom intymnym i osobistym, obok mne, na zewnątrz, dokonało się to, co przynależy czasowi, w którym piszę. Dokonała się inwazja, dawno już uznana za możliwość — pod względem techniczno-wojskowym czyn pierwszorzędnej, może w ogóle całkiem nowej rangi; i w tej inwazji nie mogliśmy przeszkodzić wrogowi, ponieważ nie śmieliśmy skupić naszych sił obronnych w jednym punkcie lądowania, niepewni, czy nie będzie to jeden z wielu punktów, czy nie musimy oczekiwać dalszych ataków w miejscach nieprzewidzianych. Daremne i opłakane w skutkach podejrzenie: to był właśnie ten punkt. I wnet tych lądujących wojsk, czołgów, dział i wszelakiego sprzętu było więcej, aniżeli potra-

*) Epoka I wojny światowej i ówczesnej klęski Niemiec (przyp. tłum.).

libyśmy zepchnąć do morza. Cherbourg, którego port, jak ufamy, został ıpełnie zdemolowany przez niemieckich inżynierów, po heroicznych radio-ramach dowodzącego generała i admirała do wodza poddał się i od dni lku wre zażarta bitwa dokoła normandzkiego miasta Caën. Bitwa, która — ile słusznie wnosimy — ma utorować drogę do stolicy Francji, do tego Pa-rża, któremu w nowym ładzie miała przypaść rola europejskiego lunaparku domu rozpusty, i gdzie teraz ruch oporu, trzymany na wodzy przez wspólne ły naszej policji i francuskich kolaboracjonistów, podnosi hardo głowę.

Tak, ileż wypadków zaszło tymczasem i wdarło się w moją samotną pracę, nociaż nie dałem tego po sobie poznać! Niewiele dni po zdumiewającym lą-owaniu w Normandii nasza nowa broń odwetowa, wspomniana już kilka-rotnie z głęboką radością przez wodza, pojawiła się na teatrze zachodniego rontu: bomba-robot, godny podziwu środek walki, jaki jedynie ostatnia po-zeba może podsunąć geniuszowi wynalazcy — bezzałogowe, skrzydlate zwia-uny zniszczenia, które wyrzucane licznie z francuskiego brzegu eksplodują ad południową Anglią i — jeśli wszystko nie zawiedzie — staną się wkrótce rawdziwą klęską dla wroga. Czy jednak będą mogły zapobiec najistotniej-emu? Przeznaczenie nie chciało, aby konieczne urządzenia gotowe były na zas, aby tymi pociskami przeszkodzić inwazji i trzymać ją z daleka. A tym-zasem czytamy o zajęciu Perugii, które to miasto (mówiąc między nami) leży omiędzy Rzymem i Florencją; przebąkuje się już nawet o strategicznym planie ałkowitej ewakuacji półwyspu apenińskiego — może po to, aby zwolnić od-ziały armii dla słabnącej obrony na wschodzie, dokąd jednak nasi żołnierze ı nic nie chcą iść. Toczy się tam i nabrzmiewa potężna rosyjska fala, która inęła już Witebsk i zagraża teraz Mińskowi, stolicy Białorusi; po upadku go miasta, jak twierdzi nasza szeptana propaganda, również na wschodzie c nie zdoła powstrzymać nieprzyjaciela.

Nie ma zatrzymania! Duszo, nie śmiej przemyśleć tego do końca! Nie ośmiel ę zważyć, co to oznacza, gdy w naszym krańcowym, straszliwie wyjątko-ym położeniu przerwane zostaną tamy — i żadna zapora nie powstrzyma iż niezmierzonej nienawiści, którą umieliśmy rozpalić przeciw sobie we wszyst-ich narodach! Wprawdzie na skutek ruiny naszych miast od bomb lotniczych Niemcy również stały się dawno już placem boju — atoli myśl, że mogą stać ę nim we właściwym tego słowa znaczeniu, jest dla nas niepojęta i niedopu-czalna, nasza propaganda zaś ma osobliwy sposób ostrzegania wroga przed ogwałceniem naszej ziemi, świętej ziemi niemieckiej... Święta ziemia niemiecka! ak gdyby jeszcze cokolwiek na niej było święte, jak gdyby już nie została a wskróś zbezczeszczona przez ten bezmiar bezprawia i zarówno moralnie jak aktycznie nie stała otworem przemocy i sądowi nad sobą. Niechaj się stanie! Nie pozostaje nic innego, żadnej nadziei, pragnienia, życzenia. Wołanie o od-gbny pokój z Anglosasami, propozycja prowadzenia przez nas dalszej walki e słowiańskim zalewem, żądanie złagodzenia warunków bezwzględnej kapi-ılacji, więc żądanie układów, i to z kim? — jest niczym innym, jak bijącym oczy nonsensem i pragnieniem rządu, który nie chce pojąć, dziś jeszcze

zdaje się nie pojmować, że wytrącono mu władzę z rąk, że powinien zniknąć, obarczony przekleństwem, sam nienawistny światu — i nas, Niemców, naszą Rzeszę — idę dalej, powiem: niemieckość, wszystko co niemieckie — uczyniwszy nienawistnym światu.

Takie jest oto tło mojej biograficznej pracy w momencie obecnym. Sądzę, że byłem winny czytelnikowi znowu ten krótki szkic. Jeśli idzie o tło mojej opowieści, o czasokres, do którego ją doprowadziłem, scharakteryzowałem go na wstępie tego rozdziału zwrotem „w rękach obcych". „Jest rzeczą straszną dostać się w ręce obcych" — to zdanie i jego gorzką prawdę przemyślałem i przecierpiałem nieraz w tamtych dniach załamania i poddania się. Albowiem jako Niemiec, pomimo uniwersalistycznej tonacji, jaką tradycja katolicka zabarwia mój światopogląd, żywię silne uczucie dla narodowej odrębności, dla charakterystycznych cech mojego kraju, dla jego, żeby tak rzec, idei, która utwierdza się w przełamaniu tego co ludzkie wobec innych odmian, bez wątpienia tak samo uprawnionych — a utrzymać się może jedynie pod osłoną prawdziwego państwa, w nimbie autorytetu. Przerażającą nowością ostatecznej klęski militarnej jest pogwałcenie tej idei, jej fizyczne zaprzeczenie przez obcą ideologię, obcą przede wszystkim z języka, i całkowite poddanie się jej, gdy tymczasem z niej, właśnie dlatego, że jest obca, nic dobrego dla własnej wyniknąć nie może. Zakosztowali tego gorzkiego przeżycia pobici Francuzi ostatnim razem, gdy ich parlamentarzyści, chcąc złagodzić warunki zwycięzcy, bardzo wysoko oszacowali sławę, *la gloire*, w marszu naszych wojsk do Paryża, a niemiecki generał odparł im, że słowo *gloire* lub jego ekwiwalent nie istnieje w naszym słowniku. Ściszonym głosem mówiono o tym w roku 1870 w parlamencie francuskim; trwożnie próbowano uświadomić sobie, co znaczy być oddanym na łaskę i niełaskę wroga, któremu obcy jest pojęciowy świat *la gloire*...

Często myślałem o tym, gdy jakobińsko-purytański żargon cnoty, który przeciwstawiał się już od lat czterech wojennej propagandzie, stał się obowiązującym językiem zwycięstwa. Stwierdziłem wtedy również, że od poddania się niedaleka jest droga do zupełnej abdykacji i propozycji, aby zwycięzca objął sam, wedle swej myśli, zarząd pobitego kraju, ponieważ ten nie może się już z niczym uporać. Podobne wzruszenia i sugestie poznała Francja 48 lat temu — teraz nam nie były one obce. Odrzucono je jednak. Kraj pokonany ma sam odpowiadać za siebie, opieka z zewnątrz ma jedynie zapobiec temu, aby rewolucja, która zwykła wypełniać próżnię po upadku dawnego autorytetu, nie poszła zbyt daleko, aby nie zagrażała mieszczańskiemu porządkowi zwycięzcy. Tak w roku 1918 blokada, utrzymywana nadal już po zawieszeniu broni, służyła państwom zachodnim do kontroli rewolucji niemieckiej, do trzymania jej w mieszczańsko-demokratycznych ryzach, do zapobieżenia jej wyrodzeniu się w proletariacką na wzór rosyjski. Uwieńczony zwycięstwem imperializm burżuazyjny nie przestawał ostrzegać nas przed anarchią, odrzucał wszelkie układy z radami robotniczo-żołnierskimi, zapewniał, że wyłącznie z solidnymi Niemcami zawrze pokój, tylko solidne Niemcy dostaną żywność. I wszystko, co było w rządzie, poszło za tymi ojcowskimi wskazówkami, jednało się z na-

cjonalistami przeciw dyktaturze proletariatu i odtrącało posłusznie propozycje Sowietów, chociażby one dotyczyły dostaw zboża. Nie działo się to ku mojej pełnej satysfakcji, jeśli wolno mi dodać. Jako człowiek umiarkowany i syn humanistycznej kultury żywię wprawdzie wrodzony i wyniesiony z domu strach przed radykalną rewolucją i dyktaturą niższych warstw, której nie umiem sobie wyobrazić inaczej jak pod postacią anarchii i rządów motłochu, słowem — pod postacią zagłady kultury. Kiedy jednak przypominam sobie anegdotę, jak to ci dwaj — opłacani przez wielki kapitał — zbawcy europejskiej cywilizacji, niemiecki i włoski, szli razem przez florenckie Uffizie, gdzie zaprawdę nie jest ich miejsce, i jeden zapewniał drugego, że te wszystkie „wspaniałe skarby sztuki" padłyby ofiarą bolszewików, gdyby niebiosa nie zapobiegły temu, wywyższając ich obu — natenczas moje pojęcia o rządach motłochu zmieniają się, a panowanie niższych klas społecznych mnie, niemieckiemu obywatelowi, wydaje się stanem idealnym w porównaniu z panowaniem szumowin. O ile wiem, bolszewizm nie niszczył nigdy dzieł sztuki. To zadanie przypadło raczej tym, co twierdzili, że bronią nas przed bolszewizmem. Czy dużo brakowało, aby ofiarą ich żądzy niszczenia — żądzy obcej tzw. rządom motłochu — padło również dzieło bohatera tych kart, Adriana Lewerkuehna? Czy ich zwycięstwo i historyczne pełnomocnictwo urządzenia świata wedle ich potwornego widzi mi się nie zabiłoby jego dzieł i nieśmiertelności?

Przed 26 laty odraza do cnotliwej swady mieszczucha i „syna rewolucji" okazała się w moim sercu silniejsza niż trwoga przed chaosem i kazała mi życzyć sobie tego, czego tamten nie chciał: oparcia mojego pobitego kraju o brata w cierpieniu — o Rosję, przy czym gotów byłem wziąć w rachubę, ba, nawet gorąco powitać socjalne przemiany, które musiałyby wyniknąć z tej spólnoty. Rewolucja rosyjska wstrząsnęła mną, a historyczna wyższość jej zasad wobec zasad mocarstw, które nałożyły nam jarzmo na szyję, nie ulegała w moich oczach wątpliwości.

POSŁOWIE

Dzieło jest dokonane. Stary człowiek, zgięty, złamany niemal straszliwościami epoki, w której pisał, i losem tych, którzy byli przedmiotem jego pracy, patrzy z niepewną satysfakcją na stos żywego, mówiącego papieru — twór jego pilności, płód tych dwóch lat, pełnych zarówno wspominania, jak wypadków teraźniejszości. Dokonane jest zadanie, do którego nie byłem stworzony ani przeznaczony z natury, lecz powołany przez miłość, wierność i możność dania świadectwa. To, co te uczucia zdziałać mogą, co może uczynić oddanie, zdziałałem — i tym muszę się zadowolić.

Kiedy zaczynałem spisywać te wspomnienia, tę biografię Adriana Lewerkuehna, nie istniała najmniejsza nadzieja na jej ogłoszenie, zarówno ze względu na osobę autora, jak też na sztukę bohatera biografii. Należałoby więc teraz, gdy potwór, który dusił w oplocie swych ramion całą część kuli ziemskiej i jeszcze więcej, zakończył swe orgie, gdy jego matadorzy każą się truć swym

lekarzom, a potem oblewać zwłoki gazoliną i palić, aby z nich nawet ślad żaden nie pozostał — należałoby teraz, powtarzam, pomyśleć o publikacji mojego służebnego dzieła. Ale Niemcy są z woli owych złoczyńców tak do gruntu zrujnowane, że trudno żywić nadzieję, aby mogły dość prędko podjąć jakąkolwiek kulturalną aktywność, choćby tylko wydanie książki; w istocie przemyśliwałem już nad sposobami i drogami, aby przesłać te karty do Ameryki i przedłożyć je naprzód tamtejszym czytelnikom w angielskim języku. Mam wrażenie, że nie byłoby to zgoła wbrew woli mojego zmarłego przyjaciela. Oczywiście, do myśli o rzeczowym zdziwieniu, jakie moja książka musiałaby wzbudzić w tamtym kręgu kulturalnym, dołącza się troska o to, że przekład jej na język angielski okazałby się w niektórych, zbyt głęboko w niemieckości zakorzenionych partiach, wręcz niemożliwością.

Przewiduję również już teraz, że dziwna pustka stanie się mym udziałem, kiedy w niewielu słowach zdam sprawę z ostatniej fazy życia wielkiego kompozytora i zamknę rękopis słowem „Koniec". Brak mi będzie pracy nad nim. Aczkolwiek wytężona i do głębi wstrząsająca, pomagała mi dzięki obowiązkowi wziętemu na siebie przetrwać te lata, które o wiele ciężej byłoby znieść w nieróbstwie; i daremnie rozglądam się teraz za innym zajęciem, mogącym w przyszłości zastąpić mi tamto. Prawda, przyczyny, dla których jedenaście lat temu wycofałem się z zawodu profesorskiego, runęły pod gromem historii. Niemcy są wolne — o ile można nazwać wolnym kraj zniszczony i obezwłasnowolniony — i bardzo możliwe, że mojemu powrotowi do szkoły wkrótce już nic nie będzie stało na przeszkodzie. Czyż mam więc znowu humanistycznym maturzystom wpajać w serca ideę kultury, w której cześć dla bóstw głębi sprzęga się z etycznym kultem olimpijskiej jasności i rozumu w j e d n ą religię? Ach, obawiam się, że w tym dzikim dziesięcioleciu wyrosło pokolenie, które tak samo nie pojmuje mojej mowy, jak ja jego, obawiam się, że młodzież mojego kraju stała mi się zbyt obca, abym mógł nadal być jej nauczycielem. Powiem więcej: całe Niemcy, nieszczęsne Niemcy, stały mi się obce, do gruntu obce, właśnie dlatego, że pewny okropnego końca trzymałem się z dala od ich grzechów, uszedłem przed nimi w samotność. Mamże pytać samego siebie, czy postąpiłem słusznie? I zarazem: czy to właściwie uczyniłem? Związałem się przecie z wybitnym i nieszczęśliwym człowiekiem aż po jego śmierć i opisałem jego życie, które zawsze, ustawicznie, napawało mnie trwogą pełną miłości. I wydaje mi się, jakoby moja wierność ku niemu równoważyła to, że z przerażeniem odwróciłem się od win mojego narodu.

*

* *

Pietyzm nie pozwala mi opisać stanu, w jakim Adrian wrócił do siebie wówczas, po dwunastogodzinnej nieprzytomności, w której pogrążył go paralityczny wstrząs przy fortepianie. Właściwie nie wrócił do siebie, tylko odnalazł siebie jako obce „ja" — wypaloną jedynie powłokę swej osobowości, nie mającą nic wspólnego z człowiekiem zwącym się Adrian Lewerkuehn. Wszak słowo „de-

nencja" nie oznacza pierwotnie nic innego, jak odstępstwo od własnego ja, wyobcowanie się z samego siebie.

Powiem tylko tyle, że nie mógł pozostać dłużej w Pfeifferingu. Rüdiger Schildknapp*) i ja wzięliśmy na siebie ciężki obowiązek przewiezienia chorego, przysposobionego do drogi środkami uspokajającymi, do Monachium, do zakładu dla nerwowo chorych dra Hoesslina w Nymfenburgu, gdzie pozostał trzy miesiące. Diagnoza doświadczonego lekarza stwierdziła natychmiast i bez osłonek, że idzie o psychiczne schorzenie, które może się jedynie potęgować. Ale właśnie w dalszym postępie choroba odrzuci najbardziej brutalne symptomy i dzięki fachowemu traktowaniu przejdzie w fazę łagodniejszą, choć bynajmniej nie rokującą nadziei. Ta diagnoza skłoniła mnie i Schildknappa do poczekania jeszcze czas jakiś z zawiadomieniem matki, Elżbiety Lewerkuehnowej, na dworze Buchel. Było przecie pewne, że pośpieszy ona natychmiast na wiadomość o katastrofie w życiu syna; skoro zaś należało oczekiwać uspokojenia chorego, ludzkim po prostu nakazem zdawało się zaoszczędzenie jej wstrząsającego widoku okropnego stanu, w jakim znajdowało się jej dziecko.

Jej dziecko! Albowiem tym i niczym więcej nie był Adrian Lewerkuehn, gdy pewnego dnia — rok skłaniał się wtedy znowu ku jesieni — staruszka przybyła do Pfeifferingu, aby zabrać go z sobą do turyngijskiej ojczyzny, do miejsca jego dzieciństwa.

Był bezradnym, nieletnim dzieckiem, które nie zachowało żadnych wspomnień o dumnym locie lat męskich, a jeśli zachowało, to mroczne, ukryte i zakopane głęboko wewnątrz; dzieckiem, nad którym mogła znowu czuwać, podobnie jak w dniach dawnych, opiekować się nim, przyzywać je do siebie, upominać i karcić. Trudno sobie wyobrazić coś boleśniej wzruszającego i żałosnego, jak to, gdy śmiały duch, których zerwał zuchwale więzy łączące go z własnym rdzeniem, zatoczywszy zawrotny łuk nad światem, wraca złamany do macierzystego pnia, do matki. Żywię jednak głębokie przekonanie, oparte na jednoznacznych wrażeniach, że matka przyjmuje ten tragiczny powrót mimo wielkiego bólu nie bez satysfakcji. Ikarowy lot syna - bohatera, rwące przygody mężczyzny wyrosłego spod jej opieki, są dla matki w gruncie rzeczy tak samo grzesznym, jak niepojętym zbłąkaniem, z którego dochodzą ku niej zawsze tylko obce i surowo brzmiące słowa: „Cóż mnie i tobie, niewiasto?" Upadłego zaś i złamanego, „biedne, drogie dziecko", przyjmuje z powrotem na swe łono, wybaczywszy mu wszystko, sądząc jedynie, że syn uczyniłby lepiej, gdyby nigdy od niej nie odszedł.

Mam powód do mniemania, że w otchłani duchowych mroków Adriana żyła groza przed tym łagodnym poniżeniem, instynktowny opór przeciw niemu — resztka dumy — zanim poddał się mu z rozkosznym uczuciem wygody, jaką zyskuje umęczona dusza przez abdykację. Za tym instynktownym buntem i chęcią ucieczki przed matką przemawia — przynajmniej częściowo — próba samobójstwa, które usiłował popełnić, kiedy daliśmy mu do zrozumienia, że

*) Jeden z przyjaciół Adriana (przyp. tłum.).

Elżbieta Lewerkuehn, zawiadomiona o jego chorobie, przyjedzie po niego. Przebieg zdarzeń był następujący:

Po trzymiesięcznej kuracji w zakładzie dra Hoesslina, gdzie rzadko tylko i przez krótkie chwile wolno mi było widzieć przyjaciela, w stanie chorego nastąpiło tak daleko idące uspokojenie — nie powiem polepszenie, lecz uspokojenie — że lekarz zezwolił zabrać go i leczyć dalej w Pfeifferingu. Względy finansowe przemawiały za tym również. Tak więc zwykłe otoczenie przyjęło z powrotem chorego. Zrazu musiał ścierpieć tam opiekę przydanego mu przez zakład sanitariusza. Ale jego zachowanie zdawało się czynić zbędnym i ten dozór, i od tej pory opiekę nad nim przyjęli domownicy, przede wszystkim pani Schweigestillowa; odkąd Gereon przyprowadził jej do domu dzielną synową, zajmowała się ona tylko swoim udziałem dworskim i miała czasu dosyć, aby całe swe ludzkie uczucie i wyrozumiałość poświęcić współlokatorowi tylu lat, który od dawna był dla niej jak gdyby synem. Adrian ufał jej jak nikomu z ludzi. Siedzieć z nią ręka w rękę w izbie gościnnej lub w ogrodzie za domem — było dlań najmilszym zajęciem. I tak go znalazłem, gdy po raz pierwszy odwiedziłem go znów w Pfeifferingu. Skierował na mnie wzrok błędny i gorejący, który ku mojej boleści przeszedł po chwili w posępną niechęć. Widocznie poznał we mnie towarzysza swej świadomej egzystencji i wzbraniał się przed jej wspomnieniem. A że na skutek łagodnej namowy starej kobiety, aby przywitał mnie dobrym słowem, wyraz jego twarzy sposępniał jeszcze bardziej i stał się niemal groźny, nie pozostało mi nic innego, jak ze smutkiem odejść.

Teraz nadeszła jednak pora na wysłanie listu, który zawiadamiał jego matkę ostrożnie o zaszłych wydarzeniach. Odwlekać go dłużej znaczyłoby ukrócać jej prawa — i istotnie natychmiast depeszą oznajmiła swoje przybycie. Powiadomiono, jak rzekłem, Adriana o przyjeździe matki, nie mając zresztą pewności, czy pojął tę wiadomość. Lecz w godzinę potem, gdy domownicy sądzili, że śpi, wykradł się cichaczem z domu i dopiero Gereon oraz jeden z pachołków odnaleźli go nad stawem, gdy półnagi wchodził do wody, która sięgała mu po szyję. Niknął już niemal, gdy pachołek rzucił się za nim i wyciągnął go na brzeg. Prowadzony z powrotem do domu mówił parokrotnie o zimnej wodzie i dodał, że ciężko jest utopić się w stawie, w którym tak często kąpało się i pływało. Nie kąpał się jednak nigdy w tym stawie, lecz — jako młody chłopiec — w rodzinnym i bliźniaczo podobnym w majątku Buchel.

Przeczuwałem, byłem niemal pewny, że poza udaremnioną próbą jego ucieczki z życia stała również mistyczna idea ratunku, idea znana dobrze dawniejszej teologii, mianowicie wczesnemu protestantyzmowi: wiara, że zaprzysiężony diabłu może uratować duszę, jeśli na pastwę za nią odda ciało. Prawdopodobnie Adrian działał również w tej myśli, i Bogu jedynie wiadomo, czy słuszne było ratowanie go. Nie wszystkiemu, co dzieje się w obłędzie, należy zapobiegać, a obowiązek utrzymania życia został tu spełniony jedynie chyba w interesie matki. Albowiem matka woli bez wątpienia odnaleźć syna zdziecinniałego niż martwego.

I tak przybyła pewnego dnia piwnooka i siwowłosa, gładko uczesana wdowa

po Jonatanie Lewerkuehnie, zdecydowana zabrać zbłąkane dziecko z powrotem w dzieciństwo. Przy powitaniu Adrian leżał długo, dygocząc, w jej ramionach, mówił do niej „matko" i „ty", ona zaś przemawiała do niego swoim melodyjnym głosem. Podczas podróży jednak z północnych do środkowych Niemiec, w której szczęśliwie towarzyszył im ten sam sanitariusz z Monachium, przyszło bez widocznej przyczyny do straszliwego wybuchu wściekłości syna wobec matki, który zmusił panią Elżbietę do odbycia reszty podróży w innym przedziale i pozostawienia chorego sam na sam z dozorcą.

Był to jednorazowy atak i nigdy od tej pory nie powtórzyło się nic podobnego. Już gdy w Weissenfelsie zbliżyła się znów do niego, powitał ją z oznakami radości i miłości, potem w domu szedł za nią krok w krok i był najposłuszniejszym dzieckiem wobec niej; ona zaś z oddaniem, na jakie zdobyć się może tylko matka, poświęcała się opiece nad chorym. We dworze Buchel, gdzie również od dwóch lat gospodarowała już synowa i wyrastało dwoje wnucząt, zamieszkał ten sam pokój na piętrze, który dzielił z bratem za swych młodych lat. I tylko zamiast wiązu stała tu na podwórzu stara lipa; jej gałęzie chybotały pod jego oknami, a dla cudownej woni jej kwiecia — w porze swoich urodzin — okazywał wrażliwość. Wpatrzony przed siebie, nie nagabywany przez nikogo z ludzi dworskich, przesiadywał nieraz na okrągłej ławeczce pod drzewem, tam gdzie swego czasu dziewka stajenna uczyła nas piosenek. O cielesny ruch i zdrowie dbała matka, spacerując z nim ramię w ramię w cichym krajobrazie. Napotkanym zwykł był podawać rękę, przy czym powitany w ten sposób i pani Lewerkuehnowa kiwali do siebie z pobłażaniem głową.

Co do mnie, widziałem po raz drugi drogiego mi człowieka w roku 1935, kiedy — już po mojej emeryturze — wybrałem się na dwór Buchel w 50-tą rocznicę jego urodzin z bolesną gratulacją. Lipa kwitła, on siedział pod nią. Przyznaję, że kolana mi drżały, gdy z bukietem kwiatów w ręku zbliżałem się do niego w towarzystwie jego matki. Wydawał mi się mniejszy, może z powodu pochylenia barków, znad których uniósł teraz wychudłą twarz, oblicze *Ecce homo* mimo zdrowej wiejskiej cery, o boleśnie rozwartych ustach i oczach bez wyrazu. O ile ostatnio w Pfeifferingu nie chciał mnie poznać, teraz nie ulegało wątpliwości, że z moją osobą nie łączył żadnych wspomnień pomimo słów staruszki. Nie pojął najwidoczniej nic z tego, co mówiłem o znaczeniu tego dnia, o sensie mojej wizyty. Jedynie kwiaty zajęły przez chwilę jego uwagę, potem porzucił je również.

Po raz ostatni ujrzałem go w roku 1939, po zwycięstwie nad Polską, na rok przed jego śmiercią, którą jego matka, 80-letnia wówczas kobieta, jeszcze przeżyła. Zaprowadziła mnie wtedy na górę do jego pokoju i weszła z zachęcającymi słowami „proszę wejść, nie zauważy pana", podczas gdy ja głęboko przejęty i onieśmielony stałem w drzwiach. Pod przeciwległą ścianą, na szezlongu, zwrócony do mnie stopami, tak że mogłem mu patrzyć prosto w twarz, leżał ten, który był niegdyś Adrianem Lewerkuehnem i którego nieśmiertelna resztka tak się teraz zowie. Blade ręce, których uduchowiony kształt tak zawsze kochałem, były skrzyżowane na piersiach jak u figur nagrobków średniowiecz-

nych. Siwa broda wydłużała jeszcze bardziej wychudłą twarz, przypominającą oblicza grandów z obrazów El Greca. Cóż za drwiąca igraszka natury, że potrafi stworzyć wizerunek najwyższego uduchowienia tam, gdzie ducha nie ma już wcale! Oczy leżały głęboko w oczodołach, a spod nich widmo skierowało ku mnie wzrok niesłychanie poważny i badawczy, groźny niemal, tak że nogi ugięły się pode mną. Ale w następnej chwili wzrok ten załamał się, gałki oczne umknęły ku górze, zniknęły do połowy pod powiekami i tam drgały bez przerwy. Mimo zaproszeń matki, abym wszedł do pokoju i zbliżył się do niego, odwróciłem się ze łzami w oczach.

25 sierpnia 1940 roku dosięgnęła mnie we Freisingu wieść o zgonie resztek tego życia, które mojemu własnemu życiu dało najistotniejszą treść, jeśli idzie o miłość, napięcie, trwogę i dumę. Nad otwartym grobem na małym cmentarzu stali wraz ze mną, oprócz najbliższej rodziny, Jeannette Scheurl, Rüdiger Schildknapp, Kunegunda Rosenstiel i Meta Neckeday*); prócz nich jakaś obca kobieta zawoalowana dla niepoznaki. Ta jednak zniknęła, gdy grudki ziemi poczęły się sypać na trumnę.

* * *

Niemcy z hektycznymi wypiekami na twarzy zataczały się wówczas odurzone na szczytach dzikich tryumfów, w zamiarze zdobycia całego świata — mocą jedynego paktu, którego pragnęły dotrzymać i który podpisały swoją krwią. Dziś w kleszczach demonów, zasłaniając dłonią jedno oko, drugie wbijając w otchłań zgrozy, staczają się z rozpaczy w rozpacz. Kiedy dosięgną dna otchłani? Kiedy z ostatniej beznadziei zaświta, niby cud przekraczający wiarę, brzask nadziei? — Samotny człowiek składa ręce i mówi: „Bóg niech będzie miłościw waszym biednym duszom, mój przyjacielu, moja ojczyzno."

Przełożyła *Wanda Kragen*

*) Przyjaciele Adriana (przyp. tłum.).

TADEUSZ RÓŻEWICZ

ELEGIA PROWINCJONALNA

I. PRZEBUDZENIE

Przebudzony nagle nie wiesz
kim jesteś dopiero stajesz się
dochodzisz do siebie i oto
widzisz że nie jesteś w drodze
nim dokładnie odczytasz
widok umowny za oknem
wiesz wszystko.

II. ANIOŁ W DREWNIANEJ KOSZULI

Poborowi na drewnianych koniach
poborowi z zielonymi kuferkami
z kuflami które mają odstające
uszy i sumiaste białe piany
dziewczyny na łabędziach
poborowi na srogich lwach

wymalowani pięknie poborowi
z kuferkami
w których słodkie białe placki

dziewczyny w drewnianych sukniach
z białymi kolanami i łopatkami
sterczącymi jak skrzydełka
dziobią ciasto

chłopcy wiodą gwiazdę
chłopcy wiodą gwiazdę
z kolcem wbitym między

ogromny pień powietrza
dokoła chłopcy i dziewczęta
ich gesty są jak niezamierzone
ciosy ich ruchy kaleczą przestrzeń

anioł w drewnianej koszuli
który ma słodkie kolana

ciche wzniesienia źródła oczy
ciche między

między białymi owieczkami
które mają różowe pyszczki

Anioł w drewnianej koszuli
jest kwadratowy.

III. CZERWONY DYWAN

Jakże chce mi się śmiać z tych
którzy nie widzieli czerwonego
dywanika nad moim łóżkiem
a mówią: życie życie
którzy nie odkryli tajemnicy
zielonego pączka ukrytego
ukrytego w uśmiechu żony
która wchodzi i staje przede mną
bezradna
jak ręce pełne kwiatów

oto kultury i cywilizacje
tak doskonałe i piękne jak koła
w które jesteście wpisani

oto ja który poznałem
prawdę zakrytą przed wami
poznałem złą tajemnicę
rozwieszoną między
ścianą i moim obliczem

nie ma tu miłości ani wyobraźni
nie ma czułości ani zwątpienia
nie ma przeszłości i przyszłości
nie ma żalu

żywi i umarli
są jak pudełka tekturowe
jak piramida z drewnianych klocków
żona jest jak ręka lewa
albo sufit albo gwiazda

wspomnienie o przyjacielu
jest tak czyste i pozbawione
uczucia jak wspomnienie o
lasce która zginęła nam w poczekalni

„węch słuch smak wzrok dotyk i
martwe ptaki
z rozdziawionymi dziobami"
odlatujące

jakże chce mi się śmiać z tych
którzy nie widzieli czerwonego
dywanika nad moim łóżkiem
a mówią: życie życie
oto dywan samolot
który unosi się nad wodami

oto sąd ostateczny

staniecie przed nim
i zdacie rachunek
ze wszystkich zmysłów.

IV. ROZMOWY

Moja ciotka mówi
chciałabym być mała jak „roboczek"
i siedzieć w szparce

mówi panu Jezusowi rosną włosy
pan Jezus mruga panu Jezusowi
rosną paznokcie w kaplicy
temu srebrnemu panu Jezusowi
i mówi
już mi bliżej do nieba jak do ziemi
na trumnę nawet nie będzie

wszystko zechlał i poszedł
z tą dziwą
a niech mnie owiną w gazetę
i tak pochowają
. . . . . .
. . . . . .

V. UCIECZKA

Chmury z włochatymi gębulami
w trawach Wałęsają się tu
wiatry ze spiczastymi pyskami
węszą jak psy

Ale kto odgadnie że uciekam
kiedy biorę bilet od kasjera
który ma twarz za kratą
kto odgadnie że uciekam
kiedy podchodzę w poczekalni
do stolika czy można
i brzydkie dziewczyny
ściskają kolanami suknie

znajomy urzędniczyna który pracuje
w sądownictwie trzydzieści pięć lat
mówi mi „jak człowiek pomyśli
o gwiazdach to mu się nic nie chce"
i kurczy się a potem
częstuje mnie cukierkami.

VI. ULICA KOTA W WORKU

Bo to jest uliczka bez rąk
i nóg uliczka bez głowy

w dzień rozmawiamy tkliwie
z drzewami które się karmią światłem
ale w nocy zostawiamy drzewa
na pastwę deszczu który jest
monotonny

Bo to jest ślepa uliczka
uliczka jak szklana kula
bo to jest uliczka bez rąk

chłop tu raz wjechał
z furką drzewa zabłądził ot tak
dzieci mówiły z wielką powagą koń
mówiły z uśmiechem koń koń
najmniejszy spytał
mamusiu dlaczego koń

Bo to jest uliczka bez rąk
i nóg uliczka bez głowy

dorośli na niej pogrzebani
w ziemi po szyję w ubraniach
skrojonych bardzo źle
nie podnoszą oczu do nieba

Bo to jest ślepa uliczka
uliczka jak szklana kula
bo to jest uliczka bez rąk

tylko ślepiec
z głową żony pod pachą
zręcznie wymija mur
tu tam tu

tam małe pociągi ryczą
jak stalowe cielęta
do matki przestrzeni

konduktor przykłada
dwa palce do daszka domku
w którym mieszkają zabawki

chłopiec w niebieskich
skarpetkach siedzi
z rozchylonymi ustami

wskazuje i nazywa po imieniu

pyta dlaczego dlaczego.

1948 r.

MARIAN JACHIMOWICZ

JEROZOLIMA

Z Dawidowej procy
— Grzmią samoloty

Niewolnicy spod piramid
— Wracają morzem czerwonym

Walą się mury Jerycha
— Od grających dział

W gorejącym krzaku
— Ukazał się czołg

W stajence betlejemskiej
— Gasną ranni

Tęcza Przymierza
— Owija umarłych

Na górę Ararat
— Odleciały gołębie

Spod laski Mojżesza
— Bluznęła krew

Otworzył serce narodu
— Jak skałę

Zmartwychwstali
— Po dwu tysiącach lat

Aby porzucić mur płaczu.

GÓRNICY

Konsumatorzy czadu
pyłu powalonych epok

Korzenie którymi ludzkość wpełza
na dno atomów

Wasze płuca widziałem
w słojach z formaliną

Płuca które są makietą kopalń

Kawerny
gdzie złoża węgla
błyskają miką

Pajęczyną obrywaną przez węgiel
chwytacie powietrze.

OJCU

Ślady podkowy
twój herb

Znałeś miękkość żelaza

Lecz gorejące kwiaty
zaostrzyły się w czerń

Ogarniając skrzynię
gdzie adamaszkowa kamizelka
biała i złota z guzikami ze szkła
szeptała o twoich niedzielach

O białych niedzielach
śród czarnych tygodni

Nad ziemią
milcząca podkowa

We mnie
śpiewnik twych ust.

MARIA DĄBROWSKA

A TERAZ WYPIJMY...

OPOWIADANIE Z CYKLU „PRZYGODY CZŁOWIEKA MYŚLĄCEGO"

Wochelscy wiedzieli, że sołtys Alfred Kunke może im się dać we znaki. Dzierżawili ośmiomorgowe gospodarstwo w samym środku starej niemieckiej kolonii, przed wojną dobrodusznie spolszczonej, ale która teraz jak jeden mąż przystała do volksdeutschów.

Ludwik Wochelski opowiadał jednak o dokuczliwościach sołtysa dosyć beztrosko. Siedząc późnym październikowym wieczorem 1943 roku przy łóżku chorej na grypę siostry, Ewy Radgoskiej, mówił po prostu coś niecoś o swym życiu.

— Trochę to nieprzyjemnie ciągle się z tym sołtysem użerać — przyznawał. — Ale ja nie przywiązuję do tego wielkiej wagi. Jeżeli mnie dotychczas nie wywalił z dzierżawy...

— A co to za dzierżawa? Od kogo?

— Od jednego starego Niemca. Mieszka w Żyrardowie, ma tam sklepik. Sam się dziwię, ale on nie chce kogo innego. To taki — starej daty. Volksdeutsch, ale nie lubi hitlerowców. Odnowił ze mną kontrakt na trzy lata. A za trzy lata nie będzie tu już Niemców. I w ogóle ten Kunke nie może mi nic zrobić. To tchórz.

— Tak myślisz... — na pół spytała, na pół stwierdziła Ewa, powątpiewając o wszystkim, co mówił. Była trochę wstrząśnięta, gdyż Ludwik ją przestraszył, zadzwoniwszy w dobre trzy kwadranse po godzinie policyjnej. A oprócz tego widziała go pierwszy raz od paru lat. Wracał spod Grójca, gdzie mu rajono jakąś inną dzierżawę.

— To jednak robisz coś, żeby ujść spod tego sołtysa?

— No, wiesz, jakby ci powiedzieć... Człowiek nie chce sobie mieć nic do wyrzucenia. I to, że Antka się denerwuje. Ciągle drży to o mnie, to o dzieci. Całe szczęście, że Władyś taki drobny. Ale ma już blisko szesnaście lat...

— Jak się nie bałeś lecieć tak późno? W takiej chwili powinieneś był i ty myśleć o dzieciach. Mogli cię jak nic sprzątnąć.

Ewa spytała o to z obawą i z niejasną nadzieją usłyszenia jednej z tych wspaniałych bredni, które ją zawsze dawniej u Ludwika dręczyły, ale i uskrzydlały.

— Od kolejki szedł jeszcze jakiś tramwaj — usłyszała. — Konduktor do mnie: „Masz pan blisko od przystanku? To wal pan". I wsiadłem. Przyjechałem do Placu Zbawiciela, a stamtąd kłusem na Polną.

— Kłusem! To był akurat świetny sposób na niezwrócenie na siebie uwagi!

— Ja tam zawsze jestem dobrej myśli — uśmiechnął się pogodnie. — I zawsze mi się poszczęści. Było pusto. Zresztą — dodał — mnie nie wolno się bać. Żebym ja raz dał się przestraszyć, to Kunke w jednej chwili by się na nas rzucił. On nie śmie nas tknąć tylko dlatego, że ja się niczego nie boję.

Odpowiedź była tak nieoczekiwanie męska i sensowna, że Radgoska zamilkła zdziwiona, czy coś w tym rodzaju.

Tak. Od czasu kiedy Ludwik, przed samą wojną, wziął w dzierżawę to chłopskie gospodarstwo na Henrykowie pod Żyrardowem, przestał ją też odwiedzać, jakby nie potrzebując już od niej ani pieniędzy, ani zażegnywania zawsze nad nim wiszącego jakiegoś wstydu lub nieszczęścia. To było dla Ewy ogromną ulgą, lecz i piekielnym rozczarowaniem. Śród wszystkich spełnionych tęsknot jej życia najsilniejszą pasją była niespełniona tęsknota do wielkiej przełomowej rozmowy z Ludwikiem. Do straszliwej rozmowy, po której ten fantastyczny kłamca i hultaj — z nieuporządkowanego steku możliwości stanie się olśniewająco wartościowym człowiekiem. Stanie się Wielkim Przemienionym. Żaden krajobraz świata nie starczał na dekorację dla tej sceny. Tymczasem Ludwik stał się — jak na to wyglądało — prawdziwym, a w każdym razie normalnym człowiekiem bez jej udziału, w sposób niepostrzeżony i zgoła pospolity. I ustatkował się w patetycznych czasach, kiedy właśnie jego beztroski zmysł lekkomyślnej przygody mógł — i może powinien był — znaleźć efektowne zastosowanie. Różne rzeczy musiały na to wpłynąć. Pewno w końcu i żona. Ludwik ożenił się był przed kilkunastu laty z chłopką, gospodarską córką na wiosce, w której po dziejach najdalszych od ideałów pedagogii wylądował jako nauczyciel szkoły powszechnej. Ewa mało znała tę bratową, lecz oceniała ją na oko jako wysoki gatunek i ludzki i kobiecy. Było to małżeństwo z wielkiej namiętności. Że nieodpowiedzialny Ludwik nie cofnął się przed szaleństwem związania kogokolwiek ze sobą — to leżało w stylu jego życia. Lecz tej Antce Ewa dziwiła się niepomiernie. Tam we wsi uważano małżeństwo Jasnocianki z kierownikiem szkoły (był nim jakiś czas), w dodatku eks-oficerem, w dodatku rwącym ku sobie serca i pięknym chłopcem — za karierę. Według Ewy Radgoskiej Antka Jasnocianka popełniła mezalians.

Ale to było dawno. A oto teraz Ludwik, dawno już przeniesiony z czynnej służby w wojsku do rezerwy, a potem zwolniony i z nauczycielstwa — wszystko z przyczyny zbytniej a kosztownej niefrasobliwości w pracy — siedział tu ciężko i poczciwie, jak spracowany, pogodzony ze swoim losem chłop, o interesującej, owszem, wygolonej twarzy z dwiema bruzdami zmęczenia koło nosa. Gdzież się podziała jego świetna uroda porucznika ułanów? Gdzież to pyszne wzniesienie głowy, nad którą zawsze zdawał się chwiać pióropusz jakiejś — urojonej co prawda — chwały.

Gdy Ewa tak nad nim w lekkiej gorączce dumała, Ludwik przerwał milczenie, chrząknąwszy z zakłopotaniem:

— Czy tego... Czy nie masz papierosa, Ewuniu? Wyszły mi w drodze...

— Proszę cię. Za tobą na stole w czeczotowym pudełku. Znalazłeś?

— Tak. Dziękuję ci. Ale ty jesteś chora, może dym ci zaszkodzi?

— Pal. Nie zaszkodzi. Zapałki leżą przy karbidówce..

Ludwik zaciągnął się i spytał z ujmującą słodyczą w swym niskim głosie:

— Czy to coś poważnego? Czy masz dobrą opiekę?

— Grypa dosyć złośliwa. Zanosiło się na komplikacje. Ale już mija. Mam świetną opiekę. Józkowie Tomyscy i Joasia prawie nie wychodzili ode mnie.

— A co z Jankiem, Ewuniu? Czy były znów od niego wiadomości? Jego rodzina nie mieszka już u ciebie?

Jan Wochelski był najmłodszym bratem Ludwika i Ewy. Ożywiła się, rozbawiona myślą, że ten cichy, dobrze wychowany, skromny Janek realizował zazwyczaj niechcący to, co Ludwik tak szumnie a zwodniczo zapowiadał. I teraz nie awanturniczy Ludwik, ale spokojny Janek był czymś w rodzaju bohatera wielkiej przygody.

— Janek jest w Szkocji — oznajmiła. — Został pułkownikiem w broni pancernej. Czeka na „drugi front". Takie wiadomości przyniósł jeden z tych, co zeskoczyli do Polski. Jankowa z dziećmi jest w Siedleckiem u drugiej siostry Józia Tomyskiego. U Knyszyńskich, wiesz? Bo po tym ropnym zapaleniu płuc w zeszłym roku nie mogłam już w domu tak ciężko pracować. I musieliśmy się rozstać. Ale to długa i osobna historia...

Ewa przerwała, zdjęta zastarzałą niechęcią do wywnętrzania się przed Ludwikiem, który zresztą nie nalegał na szczegóły o dzieciach Janka.

— To sama teraz mieszkasz? — pytał znowu. — A ta panienka, co mi drzwi otwierała?

— Bronka? Daleka krewna mego męża. Przed miesiącem nie wiedziałam jeszcze o jej istnieniu. Bo po śmierci Andrzeja stosunki z jego rodziną prawie całkiem ustały. Przypadkiem zeszłyśmy się z tą małą. Zupełna sierota. Chodzi na popołudniowy kurs buchalterii, a w wolnych godzinach zajmuje mi się domem. Niby to ja jej pomogłam, ale właściwie to ona robi mi łaskę. Dzięki niej mogę znowu malować i pisać. Szkoda tylko, że nie dość jest przenikliwa, żeby to rozumieć. Bardzo miła. I ładnie śpiewa. Jej ojciec...

Ludwik z właściwą mu skocznością myśli nie słuchał już historii panny Bronki.

— Pisać? — przerwał. — Prawda, że ty pisywałaś coś o tej sztuce. No, ale przecie teraz nie mogłabyś i tak nic wydać? A na przykład obrazy... czy... teraz można coś takiego sprzedać? — zainteresował się ze szczególną żywością.

Ewa nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż do pokoju weszła owa kuzynka jej dawno zmarłego męża. Było to niewysokie dwudziestoletnie dziewczę, obdarzone pulchną gracją nieco staroświeckiej urody w typie „bardzo kobieca".

Miękkim pieszczotliwym głosem zawiadomiła Ludwika, że pościeliła mu już na tapczanie w jadalnym i że prosi go na herbatę.

Odmiennym tonem zwróciła się do Ewy:

— Ciocia powinna już dawno spać. Co ja powiem pannie Joasi, jak zapyta, czy się dobrze ciocią opiekowałam? Zabieram pana Wochelskiego i już.

Bronka w istocie nie zdawała sobie sprawy z tego, kim jest Ewa Radgoska, ani z tego, czym sama stała się dla niej. Ewa należała do ludzi, których się chętnie lubi. Ale rzewne niebieskie oczy Bronki patrzyły na nią tkliwie tylko gdy „ciocia" tego nie widziała. W innych wypadkach spoglądały z krnąbrną wyniosłością ubogiej krewnej, która chce, by uważano ją za niezadowoloną z przypadłego jej losu.

Za to Ludwika przyjęła Bronka mile i z wdziękiem. Pamiętała wybornie, że w jednej z rozmów „o rodzinie" Ewa nazwała go nieodpowiedzialnym człowiekiem, który nigdy nie powinien był się żenić. Tak właśnie mawiano o Bronki ojcu. To wystarczyło więc, aby Ludwik znalazł łaskę w jej oczach. Zrobiła mu „herbatę" z najlepszej mieszanki ziołowej, zapaliła mu do tej herbaty aż dwie świece.

Ludwik mało zręcznie nawiązywał rozmowę, a gdy się rwała, wyjął nagle i pokazał pannie fotografie swych synów.

Bronka rzekła przypatrując się:

— Muszą pana uwielbiać — i zaczerwieniła się.

— Owszem, lubimy się — potwierdził Ludwik. — A skąd pani zgadła?

— Nie wiem. Pewno dlatego, że my uwielbialiśmy ojca. Grał na skrzypcach i uczył nas śpiewać. Pieśni na cześć mamy, które sam układał. Razem z nim szaleliśmy za mamusią.

— To zupełnie jak u nas — ucieszył się Ludwik. — Ja też gram na skrzypcach. I też razem z chłopcami szalejemy za mamusią.

Spojrzeli na siebie roześmiani. Ludwik zaczął nagle opowiadać swoje wielkie przygody jeszcze z pierwszej wojny światowej.

Po herbacie, gdy Bronka wstała, by sprzątnąć, Ludwik zaczął jej pomagać; należał bowiem do mężczyzn, którzy pomagają sprzątać ze stołu. Potem zajrzał jeszcze do Ewy.

— Jest mi szalenie przykro, że zrobiłem paniom tyle kłopotu. Jutro rano wymknę się tak, żeby nikogo nie zbudzić. Mam pociąg do Żyrardowa o szóstej. Następnym razem przywiozę ci mleka. Mamy wyborne. Pewno się bardzo zmęczyłaś?

— Nic nie szkodzi, mój drogi. Tylko w istocie nie nadaję się dziś do rozmowy. Gorączka mnie trochę rozbiera.

Ludwik spojrzał na lśniące w jadowitym świetle karbidówki włosy Ewy.

— A wyglądasz zawsze tak młodo i tak ładnie. Naprawdę...

Zaczął milczeć, stojąc wciąż blisko drzwi. Ewa poczuła, że on czegoś jeszcze chce, na coś czeka. Jakoż po chwili odezwał się lekko zmienionym głosem:

— Nie wiem, czy nie mogłabyś mi pożyczyć na bilet. Głupia historia. Zabrakło mi na bilet kolejowy.

— Ile?

Wymienił nieznaczną sumę.

— Podaj mi torebkę. Tam w rogu kanapy. Nie w tym. Na prawo.

Po otrzymaniu pieniędzy chciał pocałować Ewę na pożegnanie. Uchyliła się.

— Lepiej z daleka, Ludwik. To jest jednak grypa. Jedziesz do dzieci. Dobranoc ci, kochany.

Ludwik wyprostował się i pożegnał ją jakby wspomnieniem dawnych kawaleryjskich czasów, stuknąwszy lekko obcasami.

Ewa przykręciła karbidówkę i leżąc przy niebieskiej konwalijce gasnącego płomyka doznawała przez chwilę uczucia osobliwej ulgi. To ustąpiło niespokojne zdziwienie, że Ludwik o nic jej nie prosi. Na miejsce zdziwienia wpływała rączo dawna fala zrozpaczonego gniewu. Prośba o brakujące „parę groszy" zdała jej się gorszą od tego sołtysa Alfreda Kunke. Tamto było prawidłowym niebezpieczeństwem, zagrażającym dziś każdemu przyzwoitemu człowiekowi. To zaś zagrażało Ludwikowi od wewnątrz niego samego. Ach, jakże to znała. Zaczynało się od paru groszy, pod którymi wnet odsłaniała się ciemna otchłań życiowego i moralnego nieładu. Więc jednak się nie zmienił!

Ale że współczucie było w niej silniejsze od oburzeń, zaczęła sobie gorączkowo wyobrażać krzywdy, które może zadać sołtys Kunke tej sympatycznej Antce, tym chłopcom, temu zwariowanemu Ludwikowi. Aż straszno, że oni tam tak siedzą między tymi zdrajcami. Volksdeutsch to w całym świecie nazwa zdrajcy. Tylko... co mają robić? Co wymyślić? Są położenia, w których człowiek odrzuca najświetniejszą myśl, najtrafniejsze przewidywanie, jak nieprzydatny łachman. Wystarczy na to zbyt silnie zaciśnięta „więź społeczna" — a cóż dopiero taki system tortury człowieka i łowów na człowieka.

Zasypiając śród chaotycznych półmyśli, półobrazów Ewa usłyszała w sąsiednim pokoju ostrożne krzątanie się Bronki. Po chwili nieduża pulchna postać w barchanowej piżamie wsunęła się do pokoju, postawiła przy łóżku świecę i zapałki, zabrała i wyniosła do przedpokoju pełgającą karbidówkę.

— Won ze sołtysem Kunke — majaczyła Ewa. — Jak ta dziewczyna cudownie na mnie działa. Żeby jeszcze to koło historii przestało się tak straszliwie kręcić... tak roztrzaskiwać myśli... tak drwić z myślącego człowieka...

Kiedy nazajutrz Joasia Tomyska przyszła na Polną dowiedzieć się, co słychać, Ewa Radgoska oświadczyła jej, że już w ciągu dwu najbliższych dni zamierza wstać i zabrać się do roboty. Dziś pierwszy raz nie miała temperatury.

— Muszę wykorzystać te świetne możliwości, jakie mi daje obecność Bronki w domu. Postanowiłam stworzyć sobie rodzaj autonomii wewnętrznej, uniezależnić się jakoś od koszmarów i tęgo pracować. Inaczej wojna się skończy i będziemy witać Polskę z pustymi rękoma. Pomysłów mam, no, mówię ci,

ak nigdy! Nie wolno wymawiać się od twórczości nawet okupacją. Nawet walką podziemną.

W odpowiedzi Joasia położyła przed nią kilka tajnych gazetek. Ewa zgromiła ją:

— Po co ty się jeszcze zajmujesz i kolportażem, to tego nigdy nie zrozumiem. Twoja rola w tajnym szkolnictwie wystarczy. I jest ważniejsza dla Polski.

Ewa bardzo lubiła tę swoją siostrę cioteczną, cierpiąc przez to nie mniej niż przez dawną miłość do Ludwika. Tylko z całkiem odmiennego powodu. Bo jak w Ludwiku do pasji doprowadzało ją niczym nieusprawiedliwione (zdaniem Ewy) dobre samopoczucie, gdy właściwie powinien był rozpaczać o sobie, tak w Joasi bolał ją rodzaj nieprzyjaznego lekceważenia samej siebie.

— Zamiast nosić bibułę — dowodziła tedy — powinnaś z twoich doświadczeń wypracować program wychowania narodowego. Mało kto jest do tego tak powołany jak ty. Powinnaś przygotować jakąś pracę na ten temat. Nie jesteś wcale mniej zdolna do pióra niż Józio — Ewa miała na myśli brata Joasi, a swego kuzyna, powieściopisarza, Józefa Tomyskiego, — nie doceniasz tylko swoich szans. Nie chcesz wydobyć z siebie tego, co byś mogła.

Lecz Joasia upierała się przy czym innym.

— Widać nie było we mnie aż tyle do wydobycia — mówiła, nie objaśniając bliżej swego poglądu na własną ważność.

I cierpliwie odbywała swoje trzydzieści kilka pięter dziennie, biegając po tajnych kompletach gimnazjum i liceum, w których uczyła polskiego. Tak samo niezmordowanie roznosiła gazetki, wysoka, lotna, o szczupłej śniadej twarzy, której lekceważona i zaniedbywana piękność zwiędła przedwcześnie, zachowawszy resztę młodości jedynie w pochmurnych, świeżych jak świat po deszczu, szarych oczach.

Tym razem nie mówiły zresztą wiele na te pasjonujące tematy, bo Joasia nie miała czasu, a Ewie śpieszno było zawiadomić ją o bytności Ludwika.

— Chciałam wypytać o tych jego chłopców. I w końcu tak wyszło, że nic się nie dowiedziałam. Byłam jeszcze jakaś rozgorączkowana.

Pochmurne oczy Joasi rozwidniły się.

— Ja ci mogę o nich powiedzieć. Ludwik przyjeżdżał do mnie z nimi we wrześniu, żebym pomogła mu ich zapisać do zawodówki i na tajne komplety gimnazjalne.

— Dziwne. Nic mi o tym nie mówił. Ani ty.

— Przyzwyczaiłam się do niemówienia. Ludwik był wtedy bardzo o ich naukę troskliwy. Mam wrażenie, że jest dbałym i czułym ojcem.

Joasia zawahała się i dorzuciła po chwili:

— Ci, których nie obchodzi, jakie życie być powinno, bywają tacy czuli i dobrzy. To tylko my męczymy siebie i drugich wymaganiem innego świata, innego postępowania...

— Tak, to prawda. Tylko nie wiem, po co ja się troszczę o to, jacy ludzie być powinni — wzruszyła Ewa ramionami. — Dla malarza każdy świat, każdy

człowiek, jakikolwiek by był, godny jest plastycznego wyrazu. A jacy są ci chłopcy?

— Czy ja wiem? Za mało z nimi byłam. Zdaje się, że rozgarnięci.

Ewę zabolało, że ten troskliwy o dzieci, ustatkowany Ludwik tak się bez niej teraz właśnie obywał. Rzekła jednak lojalnie:

— To szczęście, że Ludwik się tak zmienił na korzyść.

— Ja nie wiem, czy on się tak zmienił na korzyść. Józio mógłby coś o tym powiedzieć.

— Jak to Józio? Czy Ludwik widywał tymi czasy Tomyskich?

Joasia opowiedziała pokrótce, że owszem, nocował parę razy u Józefa i Ludmiły Tomyskich. Czy brał od nich pieniądze? Raczej nie. Z tego zdawał sobie przecie sprawę, że nikt z nich nie ma teraz pieniędzy. Ale „pożyczał" jakieś rzeczy. Między innymi jakiś angielski pled, czy coś takiego. A w ogóle nie był bez pieniędzy. Joasia widziała go raz na ulicy pijanego.

— Wszystko tak się zawsze dzieje poza mną — rozgoryczyła się Ewa. — Dlaczego ja o tym nie wiedziałam?

— To nie było ważne — dzisiaj. Zresztą tak się zawsze Ludwikiem przejmowałaś. Po co cię było martwić? Miałaś dosyć kłopotów z rodziną Janka.

— Nie, tylko że od tej mojej choroby wy się ciągle boicie, że ja umrę. Ale czy dlatego mam być już poza życiem? Jak umarła?

— Co wygadujesz, Ewa. Musisz zresztą przyznać, że twoje wyleczenie w zeszłym roku było cudem.

— Nie takim, jak na przykład wyzdrowienie z tyfusu plamistego w Majdanku. A znam takie wypadki. I tych ludzi nikt nie oszczędzał.

— Masz słuszność. Ale tak się myśli o sobie, a dla drugich ma się zawsze jakieś względy. My cię kochamy, Ewo — rzekła miękko Joasia. — Lecę — dodała żegnając się z pośpiechem.

— I tak jesteś zawsze tylko na wpół obecna. Jak i Józio. Zawsze was mam za mało — poskarżyła się Ewa.

W ciągu kilku następnych dni Ewa Radgoska dość powoli przychodziła do siebie, a gwałtownie, mimo niedopisujących jeszcze sił, brała się do roboty. Szkicowała bez ustanku dla wypróbowania zaniedbanej ręki, oka, pamięci. Robiła notatki do zaczętej przed wojną i odlegującej się w biurku pracy „O hierarchii dzieł sztuki". Cieszyła się nowo zdobytym poczuciem swobody, które człowiek próbuje ustanowić sobie śród wszelkich postaci ucisku i ograniczeń. Na ten właśnie cel wynalazła w czasie grypy magiczne słówko „autonomia wewnętrzna".

Jej brat cioteczny i przyjaciel (rzadka rzecz — przyjaźń z ciotecznym rodzeństwem), Józef Tomyski, który odwiedził ją w tym czasie, miał na to własny pogląd.

— Po prostu spadła ci z głowy ta troska i ta orka w domu przy dzieciach Janka. Byłaś tym już tak obstawiona, że brakło cię wszędzie tam, gdzie najwięcej od ciebie oczekiwano.

— Ach, Józek! Nie jest możliwe, żebyśmy raz po raz nie zawiedli jakiegoś oczekiwania! Czas, kiedy byłam zacną ciotką i służebnicą domową, nie minął bez pożytku, a ten, kogo wojna wygnała z domu na obczyznę, też od nas czegoś oczekuje. Ustalić hierarchię ważności tych oczekiwań na nasze takie czy owakie postępowanie jest jeszcze trudniej niż ustalić hierarchię dzieł sztuki.

Szkicując głowę Tomyskiego, snuła dalej na zaprzątający ją temat:

— Esteci rozpatrują zazwyczaj dzieło sztuki tylko od strony twórcy. Wtedy o wartości rozstrzyga w istocie osiągnięte albo nie osiągnięte zamierzenie artystyczne. Dobrze zrobione gruszki nie będą wtedy mniej warte od dobrego posągu bohatera. Hierarchia wartości zjawia się, gdy rozpatrujemy sztukę od strony odbiorcy. Ale to nie upraszcza sprawy, bo w każdym z nas jest kilku odbiorców... Masz bardzo dobrą głowę... Nie kręć się tak...

— Daj spokój, Ewa. Nie przyszedłem pozować. Więc cóż tych „kilku odbiorców"?

Tomyski był wyraźnie spłoszony. Zatarł nerwowo ręce, wstał i zajrzał do szkicownika Ewy.

— To mój portret?

— Nie! Wydra króla Sobieskiego! — obruszyła się na niego Ewa. — Co ty jesteś jakiś taki dziwny? Ni to śpiący, ni to zmartwiony? Masz zmartwienie?

— Może nawet nie ja mam zmartwienie... Może raczej boję się czyjegoś zmartwienia. Głupstwo — roześmiał się. — Wpadłem na chwilę, żeby się dowiedzieć, jak zdrowie. Musisz być mocna i zdrowa — dodał znacząco. — I chciałem ci przypomnieć, że w następujący piątek u ciebie redagujemy numer *Polski Przyszłości.*

— Pamiętam — odparła, szkicując zawzięcie. Zaprzątnięta rysunkiem i wzbierającą w niej myślą, nie zwróciła większej uwagi na zakłopotanie Tomyskiego. Dopiero kiedy wyszedł, przypomniała też sobie, że miała go zapytać, dlaczego przemilczali bywanie u nich Ludwika. Porzuciwszy zaczęty rysunek, notowała pośpiesznie:... „W każdym z nas jest kilku odbiorców sztuki. W pewnych okolicznościach „Owoce" Renoira mogą we mnie budzić wzruszenie równie płodne i wartościowe, jak to, które w innych momentach wznieci tylko San Giovanino Donatella, albo rzeźba Michała Anioła czy „Górnik" Meuniera"...

Po wizycie Tomyskiego Ewa krótko jeszcze tylko pracowała bez przeszkód, gdyż zaczęła się poważnie męczyć sprawą bezpieczeństwa Bronki. To miękkokształtne i pieściwe dziewczę oznajmiło pewnego dnia stanowczym tonem, że co drugi dzień zamierza wychodzić na półtorej godziny o jedenastej rano. Niechże tylko ciocia będzie o wszystko spokojna; obiad poda się mimo to na właściwą porę.

— Nie o to idzie, moje dziecko. Jeżeli musisz, to trudno. Pamiętaj tylko, że nie masz karty pracy i że łapanki szaleją prawie co dzień.

— I że Niemcy są w Warszawie — obraziła się Bronka. — Już ja uważam, ciociu — złagodziła cierpki żart, roześmiawszy się srebrnie.

Kiedy niebawem o nieoczekiwanej południowej porze zjawiła się Joasia Tomyska, Ewa już od progu niemal opowiadała jej o Bronce.

— Jestem przekonana, że biega na jakiś „punkt". I nie mogę tego w młodej dziewczynie ganić. Od dwu chłopaków, co tu do niej przychodzą, aż wieje „lasem". Teraz właśnie jej nie ma, a ja, stara wariatka, truchleję o nią zamiast malować albo pisać. Już kiedy się spóźnia z tych swoich kursów, umieram z przerażenia: a ta smarkata bierze to w dodatku za chęć jej tyranizowania.

— Ewa — przyszła wreszcie do głosu Joasia. — Gdzież twoja autonomia wewnętrzna?

— To prawda. Ja ją głoszę, a ty ją stosujesz — zadrwiła z humorem Ewa. — I jak stosujesz! Nigdy dawniej nie miałaś tyle spokoju...

Ewa nagle przerwała i przypatrzyła się Joasi. Nie tylko jej pochmurne szare oczy i szczupła przywiędła twarz, ale cała jej lotna postać tchnęły niedobrym zmęczeniem i zupełnym brakiem spokoju.

— Ty jesteś jakaś nieswoja — rozpoznała teraz Ewa. — I nigdy nie przychodziłaś o tej porze! Coś się stało! Co się stało, na Boga?

— Nie przestraszaj się — Joasia mówiła z trudem, jakby jej zaschło w gardle. — Stało się, ale nic takiego nie do zniesienia. Józek ci nic nie mówił, jak tu był? Widzisz... Ludwik...

— Ten sołtys coś im zrobił! — krzyknęła Ewa. — Ten volksdeutsch!

— Jaki sołtys? — zdziwiła się Joasia zaskoczona. — Nie, żaden sołtys. Ewa, ja wracam... Wracam z pogrzebu Ludwika.

Ewa osłupiała na długą chwilę.

— Jak to? — wyjąkała wreszcie. — Zaraz... To przecież ja byłam chora... Nie, to niemożliwe. Dwa tygodnie temu Ludwik tu był.

— No cóż, każdy na dwa tygodnie przed śmiercią gdzieś był.

— Czy go zabili?

— Nie, nikt go nie zabił. Orał pole ze skaleczonym palcem i nabawił się tężca.

Z dalszych objaśnień wynikło, że Ludwik chodził przez kilka dni z bólem i obrzękiem gardła myśląc, że to grypa. Dopiero kiedy upadł, sztywny i nieprzytomny, Antka odwiozła go do szpitala do Żyrardowa. Tam szpital, owszem, bardzo dobry. Zrobiono wszystkie potrzebne zastrzyki i zabiegi, ale już było za późno.

Ewa miała bolesne uczucie, że Ludwik zrobił jej straszny kawał. Umarł, zanim zdołała się z nim raz w życiu dogadać. Uchylił się od wielkiej oczyszczającej rozmowy, na którą czekała — bo jednak widzi, że czekała — tyle lat. I bez której całe to jego „ustatkowanie się" było chyba czymś rzekomym i nieważnym. Tłumiąc płacz odwróciła się ku wielkiemu oknu, za którym szarzało mokre listopadowe niebo.

— Jak mi żal — szepnęła wreszcie ku Joasi — że... umarł tak niczym.

— W naszych pojęciach — niczym — sprostowała z niewesołą trzeźwością Joasia. — On na pewno nie uważał, że jest niczym.

— Tak myślisz? A jednak on szukał jakiejś instancji. Bodaj we mnie. Pamiętam jego długie męczące listy sprzed lat. Wiecznie się przede mną z czegoś tłumaczył — wspominała Ewa. — Później przestał, ale kiedyś... Słuchaj, czy jeździłaś tam, jak... jeszcze żył?

— Tak, raz. O ile był przytomny, to pytał o ciebie, czy wyzdrowiałaś.

Ewa gniewnie załamała ręce i zmierzwiła sobie lśniące włosy.

— Widzisz! Czemu, do licha, nie daliście mi znać!

— Ludwik sam nie dał ci mówić; żeś chora i że się zmartwisz. Kazał zawiadomić Józków. A oni dali znać mnie. Józek miał cię uprzedzić o jego chorobie. Ale on jest taki przeczulony na twoim punkcie. Widać nie śmiał.

— Jak mnie obraża to oszczędzanie mi zmartwień! Zaczynam rozumieć Bronkę!

Ewa chodziła teraz po pokoju, myśląc głośno.

— Powinnam była zawsze z nim być. Ale czy wolno zaniechać swego losu dla wątpliwych wysiłków nad prostowaniem cudzego? Ach, żeby się był przynajmniej nie ożenił. Nie unieszczęśliwił i nie zostawił teraz tak na zmarnowanie tych dzieci, tej kobiety!

— Dlaczego myślisz, że na zmarnowanie? Antka jest bardzo dzielna.

— Jutro do nich pojadę — zdecydowała Ewa.

— Jak chcesz. Może poczekaj na lepszą pogodę? Żebyś się znowu nie zaziębiła. No, i trzymaj się, Ewa — pożegnała ją Joasia z chmurnym współczuciem.

— „Żem chora i że się zmartwię" — powtórzyła Ewa po jej odejściu. — Więc mimo że zawsze byłam na niego zła — wiedział... że go lubię. Co za ulga...

Pogoda nie kazała na siebie czekać. Pod wieczór chmury zrzedły, w nocy zaświeciły gwiazdy, a nazajutrz było zimno lecz pięknie, jak na przedwiośniu.

Po przyjeździe do Żyrardowa Radgoska ruszyła przedmieściami ku polnej dróżce mającej zaprowadzić ją — według wskazówek Joasi — do Henrykowa. Idąc niepokoiła się, jak wytłumaczy tej mało znajomej Antce, dlaczego przez tyle czasu nie podtrzymywała rodzinno-towarzyskich stosunków z jej domem. Jak tu wyjaśniać w takiej żałobnej chwili, że to charakter Ludwika zniechęcał do rodzinnej z nim zażyłości. W zamyśleniu pobłądziła i dopiero jakiś jedyny spotkany po drodze przechodzień na zapytanie o Henryków odpowiedział:

— Toć Henryków. Tu jest Henryków.

Spytany o dom Wochelskich, wskazał na rząd potężnych olch, z których był właśnie wyszedł:

— Tu mieszkają, za tymi drzewami. Ja od nich idę.

Ewa przeskoczyła rów i weszła między olchy. Nieoczekiwanie znalazła się

jakby na polance parku, nieco zaniedbanego. Dęby, wiązy, akacje, kasztany, jarzębiny, resztką jagód czerwone — rosły tu w przyjemnym nieładzie, podesłane grubo i barwnie własnym listowiem. W głębi polanki Ewa ujrzała pod nagimi gałęźmi wiekowej lipy wysoką, mchem obrośniętą strzechę i niskie drewniane ściany malutkiej chaty. Opodal, pod prostym kątem do chaty — stodółka; pośrodku zarośniętego wydeptaną murawą dziedzińczyka — gołębnik. Siedziba wyglądała na stuletnią, a nawet zgoła — na prawieczną. Tylko studnia około miejsca na furtkę w szczątkach płotu, acz z żurawiem, była cokolwiek nowocześniejsza, zrobiona z kręgów cementowych.

Ale ta staroświeckość i to ubóstwo tchnęły schludnością i ładem, jakiego Ewa nie spodziewała się zobaczyć koło domu Ludwika. Natomiast niestosowna wspaniałość wielkich drzew zaprawiała cały obraz niby szczyptą szaleństwa, co już było bardziej zgodne z dziwnym losem zmarłego.

Gdy Ewa podchodziła ku szczątkom płotu, niskie drzwi chałupy otworzyły się. Z wnętrza wypadł chłopiec nieduży, ale smukły jak flet i pędem pobiegł ku gołębnikowi. Klasnął w dłonie, gwizdnął, podskoczył z wzniesioną ręką, jakby garstką chciał chwycić modrego nieba. Zanim Ewa rozpoznała, że chwycił jakiś drut, odskoczyła klapa w daszku gołębnika, a w mgnienie potem chłopiec pieścił w dłoniach białego gołębia, gdy inne polatywały koło niego i dźwięcznie trzepiąc skrzydłami siadały mu na ramionach.

— A to dopiero! Wszystko jak strofa Słowackiego — zadziwiła się Ewa.

— Władyś — zawołała, domyślając się, że widzi starszego syna Ludwika. — Poznajesz mnie?

Pamiętała tego Władzia z czasu, gdy miał lat osiem.

Chłopiec zbliżał się ku niej krokiem powiewnie tanecznym. Gołębie rozpierzchły się i zebrały w stadko nad jego głową.

— Poznaję. Ciocia Ewa — powiedział głosem, w którym „ciocia" zabrzmiało dziecinnym dyszkantem, a „Ewa" — młodym barytonem.

Ewa patrzyła na niego zachwycona. Szyja chłopca wychylała się z rozpiętej szarej kurtki jak cząstka nieskazitelnej kolumny; spojrzenie dużych niebieskich oczu było połyskujące i łagodne; szerokie, za duże usta uśmiechały się w blasku zębów z kpiąco-boleśnym wdziękiem jakby cyrkowego Pierrota.

— To tak lubisz gołębie? — uśmiechnęła się.

— Gołębie? Lubię, ciociu — odparł grzecznie i pocałował ją w rękę.

— To chodźmy do mamusi — poprosiła czując, że Władyś nie wie, co ma dalej powiedzieć.

Weszli do izby, gdzie Antka, jej matka i młodszy syn siedzieli przy stole nakrytym białą serwetą. Wszyscy wstali na widok Ewy i powitali ją serdecznie a bez zdziwienia, jak przystało na uroczystą i smutną chwilę, w którą spodziewać się gości należy do zwyczaju. Izba była czysta, niska i ciemna. Ludzie w niej się znajdujący byli szczupli zdrową chudością ciężko pracujących. Antka postarzała na twarzy, ale uścisk jej ręki pozostał energiczny, ruchy zgrabnej kibici były porywiste i lekkie. W uśmiechu szerokich jak u Władzia ust, w spojrzeniu jasnopiwnych oczu wabiły na przemian: to ufna

niałość, to jakby młodzieńcze naiwne zawstydzenie. Sędziwa babcia, choć oliczki zapadły jej nad bezzębną szczęką, nosiła w twarzy i postaci ślady ielkiej piękności; wyglądała niby stara księżna z jakiegoś piastowskiego oematu. Trzynastoletni Staś, krągłolicy i lnianowłosy, miał nad jasnymi czyma grube czarne brwi, zasępiające jego dziecinne czoło.

Wywiązała się krótka i spokojna rozmowa o Ludwiku chorym i umierają-ym. Potem o gospodarstwie. Kiedy Ewa zdziwiła się, że Niemiec miał takie edne zabudowania, Wochelska wyjaśniła, że nabył to po polskiej rodzinie, ymarłej kiedyś na tyfus. Ludwiś też nie chciał tego brać w dzierżawę, że kie złe budynki, ale ona nie dała mu się namyślać. Jej się tu strasznie podo-ało, że takie drzewa. Okropnie lubi wysokie stare drzewa.

— Roboty to tu jest pełne ręce, że ni odetchnąć, ni spocząć — opowiadała. posób mówienia miała po wiejsku głośny, ale w tej krzykliwości było jakby epło trzaskającego ognia.

— Wokoło Niemcy — mówiła. — Ani od nich pomocy, ani rady, ani żad-ego z nimi sąsiedztwa. Jak na pustyni. Jeżeli czego, to złości, psoty jakiej albo ieszczęścia można się od nich spodziewać. Ale najgorzej to, że konia się na kim gospodarstwie nie utrzyma. A nająć, choć i od swojego — bo tu na ońcu Henrykowa jest jeszcze dwu polskich gospodarzy, co mają konie... Ale k wynajmą, to na taki odrobek, że się nie opłaci. Tego roku tośmy już po-iedzieli — obejdzie się! I samiśmy wszystko żyto znieśli i zwieźli taczkami o stodoły. Ja z Ludwisiem i z Władziem.

— Sami taczkami do stodoły! — powtórzyła Ewa z podziwem, a jedno-ześnie jakby czymś zmartwiona i zgorszona.

— Eh, to głupstwo! Z Ludwisiem żadna robota nie była ciężka. Z nim to ę nic nie przykrzyło.

I dopiero gdy zaczęto mówić o Ludwiku żywym — żywym za życia i po nierci — uczucia rozgorzały. Wezbrawszy potrzebą zwierzeń Antka opowie-ziała, że właśnie przed godziną zamówiła portret Ludwika u wędrownego otografa.

— Aha, tom go spotkała i pokazał mi do was drogę.

— Ja sobie właśnie myślałam — opowiadała płonąc Antka — co tu zrobić, eby mieć portret Ludwisia. Żeby on był, żeby na nas tu ciągle patrzył. Aż n fotograf sam przyszedł i sam powiada, że możebym dała jaką małą foto-rafię męża, to on z niej zrobi portret. Miałam tylko taką małą z kennkarty, e powiedział, że dobra. Tylko że tyle czekać. Za tydzień dopiero przyniesie. o będzie dużo kosztowało — trzysta złotych. Ale dałabym... nie wiem... no, ałabym i trzy razy tyle, żeby tylko ładnie zrobił i żeby jak najprędzej. Już raz wiem, na co czekam. I te dnie to będę liczyć jak żadne.

— Na taką rzecz i największych pieniędzy nie szkoda, choćby się i czło-iek wyprzedał — wtrąciła babcia. — Tylko cóż? Zejdzie on do nas, kocha-ćczek, z tego portretu? Nie zejdzie! Ja nie wiem, jak pani — zwróciła się o Ewy. — Jako siostrze, to przykro brata utracić, ale to nie to, co my. Z nas jakby życie z Ludwisiem razem do tego grobu wyszło. Wielką nam pustkę

zrobił, wielką krzywdę ten nasz Ludwiś, że nam umarł! — I łzy puściły się starej chłopce gradem po twarzy.

Ewa patrzyła ze zdumieniem na tę dziwną teściową.

— To pani tak Ludwika kochała?

— A któżby go, proszę pani, nie kochał? — zdziwiła się z kolei babcia. — Toć żaden miód słodszy i lepszy być człowiekowi nie może, jak był nasz Ludwiś.

Ewa spojrzała pytająco na bratową, która trysnąwszy łzami potwierdziła zdanie babci.

— Mama dobrze mówi — rzekła, ścierając ze śmiechem łzy. — Wszystko tak było, jak mówi. Ach, życie z Ludwisiem, to było życie! Władyś! Stasiu! Powiedzcie cioci, jak to było z tatusiem!

Chłopcy, widząc matkę płaczącą, sami się rozpłakali. Staś odwrócił się do wszystkich plecami i łkał ukrywszy twarz w dłoniach. Władyś roniąc łzy opowiadał:

— Z tatusiem było wesoło. Jak my mieli zmartwienie, to tatuś weźnie skrzypce i zagra, a my...

— A chłopcy zaraz do tańca — podjęła matka. — I tak, choćby największy był smutek, to my się weselimy.

Nagle Antka zaczęła gromić chłopców.

— Nie płaczcie! Co wy płaczecie! Jak wy się nie wstydzicie! Takie chłopy! Co by tatuś powiedział! Nie pamiętacie, jak to wam śpiewał?

A zwróciwszy się do Ewy, objaśniła wstydliwie i namiętnie:

— Jak oni byli mali, a który z nich zapłakał, to Ludwiś zaraz mu śpiewał:

Przestań płakać, przestań szlochać!
Ja cię zawsze będę kochać!

Staś odwrócił ku matce spłakaną twarz, a Władzio zapląsał wdzięcznie i wszyscy troje prześpiewali raz jeszcze: „Przestań płakać, przestań szlochać" — a babcia im wtórowała.

— Babcia! Babcia jak ładnie śpiewa — krzyknęła Ewa czując, że wzruszenie dławi ją w gardle.

Antka, purpurowa na twarzy, zerwała się, klasnęła dłonią o dłoń.

— Hej! Chłopcy a chłopcy! — huknęła. — Co my tu śmiejem się i płaczem! Ciocię trzeba przyjąć! Tatuś tam gniewa się, że my ciocię zabawiamy, a niczym nie przyjmujemy! Wyręczcie raz babusię! Skoczcie z żarciem do świń! Obrządźcie krowy! A my tu naszykujemy do stołu.

Ewa nie wymawiała się, bo była głodna. A gdzież się teraz najeść, jak nie na wsi? Pomogła nakryć stół, pokrajać chleb i kiełbasę. Razem z Antką i babcią poszła do drugiej stancji, gdzie mieli dosyć mroczną, ale czyściutką kuchnię i towarzyszyła smażeniu jajecznicy.

— Niemiec tu miał oborę, ale myśmy przerobili na kuchnię, a krowy mamy z tamtej strony sieni, gdzie pierwej były świnie. Tośmy im zrobili chlewek

rzy stodółce — wtajemniczała ją Antka. — Bo co jak co, ale ze świńmi, to ja ıż mieszkać nie mogę. Krowa pod jednym dachem, to jeszcze...

— A chłopcy ci pomagają? — dopytywała się Ewa.

— Władyś to tak. Władyś to taki jest, że go każdy polubi — uśmiechnęła ę Antka z czułością. — On i w szkole dobrze się uczy. On w domu wszystko robi. W gospodarstwie to już była z niego prawdziwa wyręka tatusia. I zawsze vesół! Nieraz jak zacznie tańczyć — tak sam ze sobą — to my z Ludwisiem apatrzyć się nie możemy. Czysty teatr! A Staś to innv. On żadnej roboty ie lubi się tknąć. — To nie dla mnie — powiada — i nie dla mnie. Ale żeby do siążki, to też nie bardzo. On sobie coś wyobraża. Niezadowolony...

— Nic na żadnego nie mów, Antochna — przerwała babcia. — Dobre są lzieci oba. Ale już takiego, jak był Ludwiś — zapewniła Ewę — to nie było nie będzie człowieka na tej ziemi.

Chłopcy nadbiegli ze dworu. Antka postawiła na stole napoczętą ćwiartkę vódki, zaprawionej sokiem.

— Ja bardzo przepraszam — usprawiedliwiała się swym porywistym, nieco krzykliwym głosem. — Bo wino by się należało dla takiego gościa.

— Mnie właściwie nie wolno pić — zastrzegła się Radgoska i, jak zwykle ywa po takim wstępie, dodała zaraz: — Ale tym razem... Niech tam...

Antka nalała trzy kieliszki.

— Chłopcy nie piją — oznajmiła. — Ludwiś zawsze pilnował, żeby im vódki nie dawać. Chociaż sam lubił wypić, o, lubił!

— Ba! — rzekła tylko Ewa. I zastanowiła się przez mgnienie, czy Antka babcia i z tego nie zdają sobie sprawy, że Ludwik był pijakiem? Lub też o tym przez elegancję miłości zamilczają?

Antka trąciła się z nią kieliszkiem.

— No to, jak mówił zawsze Ludwiś: wypijmy teraz za pomyślność naszych nteresów — roześmiała się rzewnie.

— Ludwik tak mówił?

— Tak mówił. Jak mu tylko biedakowi co źle poszło, to zaraz: — Antka! A teraz wypijmy za pomyślność naszych interesów.

— No to wypijmy... I... i uściskaj mnie, Antka — poprosiła nieśmiało Ewa.

Kiedy niebawem, nawiedziwszy po drodze cmentarz, młodzi Wochelscy z matką odprowadzali Ewę do pociągu, a potem wracali we troje do domu, Antka rzekła do synów:

— Ludwiś tak nie chciał żyć z tą rodziną. Mówił, że nie warci, że go zawsze krzywdzili. A ona mi się podobała, ta ciocia Ewa. Nie wygląda na taką złą.

Nie wyglądająca na taką złą Ewa martwiła się tymczasem w pociągu, że z właściwym sobie roztargnieniem zapomniała znów o najważniejszym. Nie zapytała wcale o tego sołtysa volksdeutscha.

Ale sołtys Alfred Kunke nie zapomniał o rodzinie Wochelskich. W ten sam dzień, kiedy Ewa Radgoska była u bratowej na stypie, siedział z żoną w swojej dużej murowanej chałupie i także pił wódkę. Izba była czysta, wysoka i jasna; oboje zaś gospodarstwo — tłuści. Tylko mąż krwisty, czerstwy, a żona blada i żółta.

Kunke pił z radości, że umarł Ludwik Wochelski, ten polski bandyta. Ale pił i z wściekłości, że to nie on go zgubił. A przecież był już taki czas, kiedy miał go w rękach. Wtedy, gdy się nagle dowiedział, że Wochelski jest oficerem rezerwy. Patrzcie go! Polski oficer siedzi tu między nimi i nie idzie się zameldować władzom Trzeciej Rzeszy! Zapowietrzony polski inteligent, przybłęda bez ziemi, który, rzekłbyś, naigrawa się z niego, z Alfreda Kunke, nie dość że Niemca, nie dość że sołtysa, lecz jeszcze nadto — bogatego bauera!

Alfred Kunke pospieszył był wtedy ku mizernej chacie Wochelskich i z dziką radością władował w niskie drzwi swoją grubą postać, wołając:

— No, panie Wochelski! Chodź pan ze mną na żandarmerię. Pan jest polski oficer. Nie wiesz pan, gdzie jest miejsce polskich oficerów?

A oto teraz sołtys siedzi, pije wódkę i sinieje wspominając, jak Wochelski podnosi się od stołu, przy którym jadł sobie obiad, i powiada:

— Panie sołtys. Ja wiem, gdzie jest pana miejsce. Mam pana gdzieś. — I jak on, Alfred Kunke, skacze do niego z pięściami i ze słowami:

— Pan już dawno powinien nie żyć! I zdechniesz! Zgnijesz! Ja ci to mówię!

Ale cóż to się wtedy stało, że nagle potęga Reichu i *fuehrera*, o którą czuł się wsparty, zaczęła się rozwiewać w blady cień, gdy Wochelski wziął go z bliska za te wygrażające pięście i tym swoim polskim aksamitnym głosem: — Ja zginę — powiada — ale zostanie taki, co będzie za mnie żył. Pana głowa póty na karku siedzi, póki ja żyję.

Sołtys dotąd nie wie, jak się ta rozmowa skończyła, bo prawie nie śmie pamiętać, że został wyniesiony czy wykopnięty z tej zuchwałej chałupy.

Ale wie, że od tej chwili żył w ciągłym strachu. Między kolonistami szeptało się po cichu, że w lasach okolicznych są polskie bandy uzbrojone. Kunke nigdy temu nie wierzył. Ale po tej przygodzie nabrał pewności, że bandy są i że Wochelski do nich należy. A w każdym razie znajduje się pod ich straszliwą opieką, której czająca się gdzieś w pobliżu mściwość zdawała się rzeczywistsza niż daleka protekcja *fuehrera*.

Myśląc o tym, sołtys nawet żarem wódki nie może pokonać mrozu, co mu idzie po kościach. Bo nuż ten, co miał „żyć za Wochelskiego", zacznie się teraz mścić? Nuż na sołtysa polskie bandyty złożą tę śmierć tak naturalną?

Lecz wódka pomału robiła swoje. Alfred Kunke uczuł wreszcie przypływ odwagi. Nie ma żadnej bandy — ale za to jest rodzina Wochelskiego. Ta porywista baba i te bezczelne szczeniaki. Sołtys ujrzał nagle zwierzynę w sam raz na jego strzał. Zwrócił się do żony łatającej bieliznę i zawołał:

— Greta! Zrobimy teraz koniec Wochelszczakom i tej jego babie!

Sołtysowa na równi z mężem nienawidziła Polaków. Ale w jeszcze większym stopniu kochała swoich synów. Od razu jak się wojna zaczęła, a Kunke ujaw-

nił się jako volksdeutsch, wiedziała, że rzecz pójdzie o synów. Tego sobie bynajmniej nie życzyła. Tymczasem stało się właśnie to, czego tak bardzo nie chciała. Jej pierworodny został zmobilizowany i zginął gdzieś pod Moskwą. To napełniło ją zniechęceniem do męża i zabobonnym strachem przed Rosją. Gdy zaś pewnego dnia spostrzegła, że sołtys boi się Ludwika Wochelskiego — straciła wiarę w Hitlera.

Toteż słuchając teraz, jak mąż zapowiada zgubę „Wochelszczakom", roześmiała się obelżywie.

— Ty masz ich zgubić? Jak się bałeś Wochelskiego, tak się będziesz bał jego baby i jego dzieciaków. Kto się boi, to się boi każdego. Ty jesteś tchórz.

— Głupiaś!

— Tyś głupi z całym twoim *fuehrerem*, przez którego syna straciłam. Po co się wdał w tę wojnę z bolszewikami? Tylko razem z bolszewikami dalibyście radę tej zapowietrzonej Polsce. I co tobie się we łbie troi? Teraz chcesz z tą Wochelską zaczynać? Ty nie wiesz, po jakim świecie chodzisz. Bolszewicy już naszych pędzą. Ty o sobie myśl. O naszej skórze. Z Wochelskimi bolszewicy lepiej sobie dadzą radę jak ty. Oficerskie szczeniaki! Pańskie dziady! Inteligenty śmierdzące! Myślisz, że takim przepuszczą? Już oni dla nich znajdą miejsce.

— *Du bist eine Kommunistin!* — wrzasnął sołtys. — Na ciebie trzeba donieść do gestapo!

— Sam na siebie donieś, że się bałeś polskiego bandyty.

Sołtys dopił szklankę wódki, narzucił kożuch i wypadł trzasnąwszy drzwiami. Poszedł na posterunek żandarmerii i zamiast żony zadenuncjował Wochelską, że nie odstawiła trzech metrów kartofli na kontygens.

Nazajutrz rano, zanim jeszcze obeschły łzy, które Antka co noc wylewała nad śmiercią Ludwisia, sołtys przywlókł się do jej chałupy i przywitawszy się grzecznie oznajmił:

— Pani pójdzie ze mną do gminy, pani Wochelska. Pani nie odstawiła trzy korce kartofli.

— To nieprawda. Pan wie, panie sołtys, że mąż wszystko na porę odstawił. Chyba że kto ukradł. Ja za to nie odpowiadam.

— Może i tak. Ja nie wiem. Ja mam pismo. Pani musi ze mną iść.

— Gdzie to pismo? Niech pan pokaże. Ja z panem nigdzie nie pójdę.

— Ja pani nie potrzebuję tego pisma pokazywać, a pani nie potrzebuje się bać. Jak pani się wytłumaczy w gminie, to pani na południe wróci. *Fuehrer* nie skrzywdzi niewinnego.

Antka myślała chwilę, szastając się nerwowo po izbie. Wreszcie rzekła do oniemiałej z przestrachu babci:

— Mama, ja pójdę. Jakbym nie przyszła, niech Władyś leci dowiedzieć się do gminy.

— Co ma latać? Niech on więcej w domu siedzi. Niech gospodarstwa pilnuje. Pani ma leniwych synów — strofował sołtys. — Gdzie oni są? Tak rano — i już ich nie ma w domu. Pani ich posyła uczyć. Dla Polaków nie ma

nauki. Oni mają robić. Na takich, co nie chcą robić, to jest lagier. Tam się nauczą.

— Niech pan nie będzie taki śmiały, panie sołtys. Bo na takiego śmiałego, to się znajdzie jeszcze śmielszy.

Antka poszła i nie wróciła. Wrócili tylko chłopcy ze szkoły. Czekali do późna w noc. Nazajutrz zostali w domu. Poszli we dwu do sołtysa. Lecz matki tam nie było. Sołtys udawał głupiego.

— Jakto, *mutti* nie wróciła? Ho, ho, wesoła wasza mama! Na noc do domu nie powraca! Widać ją ktoś zaprosił.

Staś rozbeczał się na to i w krzyk: — Nasza mama nie jest wesoła!!

— Cicho, głupi — zgromił go Władyś. A wyciągnąwszy brata na dwór i zepchnąwszy z drogi młodszego sołtysiaka, Fryca, z którym zetknęli się w progu, warknął gniewnie:

— Jak ci nie wstyd ryczeć przy tym starym gnoju? Od tego volksdeutsch, żeby świństwa gadać. Co ci się zachciewa? Żeby nas chwalił?

Staś zamilkł, ale przez całą powrotną drogę płaczliwie pociągał nosem. Natomiast Władyś, nie uważając na brata, myślał ze wszystkich swoich sił. I jak zwykle bywa, że człowiek więcej czasem wie, niż mu się zdaje, że wie, przypomniał sobie nagle rozmowę, na którą w swoim czasie tak nie uważał, jakby jej wcale nie słyszał. A teraz usłyszał ją jak żywą. Było to po jakimś niedobrym dniu, w którym rodzice czegoś bardzo się denerwowali. On, Władek, już zasypiał, a ojciec mówił do matki:

— Nic się nie martw, Antka. Tylko pamiętaj, że jakby się ze mną co zrobiło, idź do majora Brota. On jest *kreislandwirt* w Grodzisku. Świnia, jak oni wszyscy, ale zasługuje się na dwie strony. I powiadam ci, jakby się ze mną co zrobiło, idź do majora Brota.

To sobie przypomniawszy, Władyś zaczął działać. Spił swoimi szczerymi usty łzy płynące z oczu babusi, zwymyślał Stasia za mazgajstwo, zapewnił, że mamusia wróci i wyruszył. Nie do Grodziska wszelako, lecz do Leśnej Podkowy. Do jakiegoś mało mu znajomego pana Myszyńskiego, do którego ojciec posyłał go był parę razy z listami. Ojciec za każdym razem wtedy mówił: — Może przywieziesz mi list, a może pieniądze. Bo właśnie proszę tego pana, żeby mi pożyczył. Na gospodarstwo. Więc uważaj, żebyś nie zgubił. I... nie mów nic mamusi — dodawał jeszcze ojciec.

Władyś nie miał czegoś smaku do tych podróży, ale ponieważ Antka uczyła synów, że tatuś wie zawsze, co robi — tedy jeździł. I za każdym razem dostawał od tego pana nie list, ale pieniądze dla ojca. Czepił się tedy nadziei, że ów pan, który nigdy nie odmówił był ojcu pięciuset złotych, pomoże im teraz w nieszczęściu. Jakoż nie omylił się. Pan Myszyński, człowiek wygnany z okolic wcielonych do Rzeszy, dzierżawił na skraju Leśnej Podkowy kilka morgów gruntu, miał do czynienia z interesami rolniczymi i znał majora Brota. „Nie potrzebujesz do niego chodzić, sam to załatwię — powiedział Władysiowi. — Wracaj do domu i przyjedź za trzy dni". Kiedy Władyś odchodził, usłyszał

jeszcze, jak ów dobroczyńca mówił do siedzącej z nim w pokoju starszej kobiety, pewnie swojej Myszyńskiej:

— Nie mogę dopuścić, żeby pani Ewa miała kłopoty z bratem nawet po jego śmierci...

Te dziwne słowa sprawiły pewne zamieszanie w myślach i uczuciach Władysia, lecz nie miał czasu nad nimi się zastanawiać.

Kreislandwirt, major Brot, przez długie lata zawodowy oficer polskiej armii, we wrześniu 1939 roku okazał się nagle reichsdeutschem. Wbrew obyczajom zdrajców nie zaciekał się jednak w prześladowaniu ludności polskiej. A od chwili, kiedy Niemcy zaczęli się cofać w Rosji, wyraźnie zabezpieczał się na wypadek, jeśliby nagła zmiana postawiła go w położenie bez wyjścia. Tak że dawał nawet, owszem, tu i owdzie do poznania, że gotów jest czasem wydobyć Polaka z matni. Oczywiście, zawsze — dodawał — w granicach jego możliwości. Sprawa Antki Wochelskiej okazała się leżącą w granicach jego możliwości. A nawet i jego interesów, gdyż sądził, — w przeciwieństwie do sołtysowej — że jeśli przyjdą tu bolszewicy, lepiej będzie mieć dobrą kreskę u takiej Antki, niż dbać (jak dotąd czynił) o jakichś panów Myszyńskich.

Chłopcy i babka zostali więc najpierw powiadomieni, gdzie się znajduje Antka. Siedziała przy żandarmerii w tzw. „komórkach". Były to istotnie komórki na węgiel, w których przetrzymywano ludzi z tysiąca powodów, albo i bez powodu; najczęściej wszelako chłopów za niedostarczenie kontyngensu. Często szło się stamtąd do pobliskiego obozu w Bieguszewie.

Przez tydzień chłopcy nosili matce jedzenie do tych „komórek", ale jej samej nie widzieli. Pewnego dnia dowiedzieli się, że matki tam już nie ma. Że jest w obozie dla „sabotażystów nowego ładu niemieckiego". Wrócili zrozpaczeni do babci i tym razem obaj się popłakali nad niezrozumiałymi słowami tego wyroku. Ale nie było czasu płakać. Przestali jeździć do szkoły, nie ruszali się teraz od chałupy. Musieli robić. Tylko Władyś od czasu do czasu poigrał z gołębiami, posłuchał ich gruchania, pogonił je do dźwięczącego lotu, sam prawie z nimi ulatywał w powietrze.

Po trzech dniach matka niespodzianie wróciła. Tak się ucieszyli, że odżałowali na jej przyjęcie młodą kurę do garnka. I najadłszy się a nagadawszy podziękowali Bogu, wcześnie się pokładli i pozasypiali tego wieczora uśmiechnięci, szczęśliwi.

Ale już nazajutrz sołtys przywlókł się znowu do ich domu. Był stropiony, że Wochelska znalazła poparcie nie w bandzie leśnej, ale w niemieckim *kreislandwircie*.

— No, pani Wochelska — mówił słodko. — Tym razem się pani upiekło. Ale ja tu mam *eine kleine Bitte* do pani. Wieś musi dać mięso na kontyngens. Niedużo wypada na gospodarstwo. Po parę kilo. Ale z żywego po parę kilo nie wykroję. Pani wie. Jak zawsze. Jeden musi dać krowę, drudzy spłacą. Wypadło na panią. Pani jutro przyprowadzi krowę na spęd.

— Dlaczego ja? Niech dadzą ci, co mają po dwie, po trzy krowy.

— Losowali. Padło na panią Wochelską. Pani wtedy nie było. Pani się wtedy tłumaczyła z tych kartofli.

— Ja wiem. Ja Polka, to nawet moja krowa musi za Polskę umierać.

— Po co pani gada takie rzeczy? Żebym nie był dobry, to za takie słowa pani by nazad poszła do lagru. Zostaw to pani mężowi nieboszczykowi takie słowa. On był od tego inteligent, żeby takie głupie słowa mówić. Pani wie, że tu nie o Polskę idzie, tylko o mięso i o plan. Plan musi być w gospodarstwie. Wy tego nie rozumiecie.

— Ja to rozumiem. Dla was mięso, a dla nas plan.

— Pani się nie mądrzyj, pani wdowa. Pani masz jałoszkę, co już wnet będzie krową. Piękna jałowica. I pieniądze pani dostanie.

Antka pokazała mu figę: — Tyle będę widziała waszych pieniędzy.

Ale nie było rady. Nazajutrz popędziła z Władysiem krowę do gminy.

Chłopcy mieli teraz tyle roboty, że już całkiem przestali jeździć do Warszawy do szkoły. Zresztą przychodziły trwożne wiadomości o codziennych prawie łapankach i w Warszawie i na kolejach. Antka nie wiedziała, co robić. Bała się o chłopców, a po prawdzie to i nie mogła się teraz bez nich obejść. Głównie bez Władysia, bo Staś tylko wzdychał, irytował się i martwił, że tak źle wszystko idzie. Ale znowu Staś taki mały, jak tu go samego w takie czasy posyłać. Niemiec — Herod prawdziwy. I dziecku nie przepuści. Ale z drugiej strony Ludwiś jeszcze w chorobie powtarzał: — „Pamiętaj, Antka. Chłopcy muszą się uczyć".

Gdy od tych myśli i trosk i ciężkiej pracy głowa jej mało nie pękała, zjawił się pewnego dnia rzeźnik z Grodziska. Znali go, bo mu się i żywca cichaczem sprzedawało, i mięso u niego czasem brali. Grzecznie, uprzejmie powiedział:

— Przykro mi, że w takim czasie przychodzę do pani po należność. Alem i tak czekał, aż ta żałoba zelżeje. Terminum nie pilnował.

— Co za należność? Jaki termin?

— Nieboszczyk mąż pani pieniądze ode mnie pożyczał i rewers mi dał, jako że na jałowicy swojej ubezpiecza. Jeśli pani gotówką rozporządza, owszem. A jak nie, to trudno. Choćbym nie chciał, jałowicę wziąć muszę.

I rzeźnik pokazał rewers, na którym Ludwik własnoręcznym podpisem, przez rejenta poświadczonym, oznajmiał, że tyle a tyle tysięcy do tego a tego terminu spłaci, albo w razie niemożności jałówkę swoją za ten dług odda.

Antce pociemniało w oczach, a choć była mowna i obrotna, długo nie mogła językiem w gębie obrócić.

— Czy się niebo na moją głowę wali, czy mi się ziemia pod nogami rozstępuje? — rzecze nareszcie. I pyta:

— Skądże to poszło? Na co mąż tyle pieniędzy od pana brał?

— No, pan Wochelski nie był dzieckiem. Czy miał mi mówić, na co potrzebuje? Czasy nie są takie, żeby człowiek nie potrzebował pieniędzy.

Antce wydało się, że Ludwik zza grobu stowarzyszył się ze zdrajcą sołtysem na jej zgubę. Lecz po chwili przyszło natchnienie. To chyba na tę orga-

nizację Ludwiś pieniędzy potrzebował, do której widać jednak należał. Ile razy pytała, nigdy nie chciał jasno powiedzieć: tak, czy nie. Ale tajna organizacja po to jest, żeby nie mówić. A po innych polskich wsiach przecie na to dawali.

Tymczasem rzeźnik, niby w zamysłach jakichś, mówi jeszcze:

— Szkoda pani męża. Piękny był mężczyzna. Choć i nie młody już taki, a jeszcze oczy rwał. Jeszcze kobiety za nim, jak za miodem. Dobry też był dla nich! Topniste serce miał nieboszczyk. Zjeść i wypić także lubił w dobrej kompanii. Oj, miły był z niego człowiek, wesoły jak ten skowronek!

Antka uśmiecha się z wysoka.

— Co tam pan wie. Bierz pan jałówkę, oddawaj rewers i podpisz mi się pan, że wszystko wypłacone.

Po zabraniu jałówki sprzedali resztę paszy. Nie była już potrzebna. Starczyło z tych pieniędzy i na portret Ludwika. Bo już mieli ten śliczny, ten kochany portret Ludwika. Patrząc na dzielny uśmiech i łaskawe spojrzenie jego pięknej twarzy, nie czuli, że zbiednieli. Zabrakło krowy i jałoszki, ale zostały świnie, były jeszcze kury i jajka. Wygrzebali z ukrycia trochę zboża; sprzedało się. Przyciągali pasa, żeby zebrać na krowę. Żyli. Chłopcy od nowego roku dostali się do szkoły zawodowej w Żyrardowie. Chodzili do niej polną dróżką, żeby tylko nie jeździć do tej Warszawy, uniknąć tych łapanek.

Długie ciemne tygodnie mijały w małych robotach i dużych troskach zimy. Ale był spokój. Dopiero w końcu lutego, późnym wieczorem przyszedł gromadzki posyłka, Niemczak z rodziny sołtysowej. Przyniósł wezwanie dla Władysia na roboty do Rzeszy. Ma się stawić nazajutrz o ósmej rano w Żyrardowie w kinie „Słońce".

Wochelscy patrzyli na siebie nic nie mówiąc, a kiedy stójka poszedł, wzięli się z powrotem do przerwanej kolacji. Ale Antka nie mogła dojeść kartoflanki. Mieniła się na twarzy gmerając łyżką w talerzu, aż wreszcie wykrzyknęła:

— Co to za człowiek! Jak nie człowiek! Ja nie wytrzymam! Ja do niego polecę!

— Nie gadajcie do mnie, bom zła! — rzekła jeszcze, gdy ją chcieli powstrzymać.

I poprzez ciemność nocy poniosła się swym długim rączym krokiem ku domostwu sołtysa. Wdarła się do gorącej, oświetlonej wspaniałą karbidówką chaupy. Sołtys był sam, siedział przy stole i coś pisał. Podeszła śmiało i spytała:

— Dlaczego to mój syn ma iść na roboty?

Kunke stropił się, patrzył spode łba, zapomniał nawet zgromić Wochelską, że tak wpadła bez powitania. Położył pióro i rozparł się w trzcinowym fotelu dla dodania sobie ważności.

— A cóż to pani syn, co? Z cukru? Może rozpuści się?

— To pan zapisał mojego syna do Prus?

— To ja. Bo mi się tak podoba. A co pani myślała?

— Myślałam, że i pan się tego doczeka, że pan syna pozbędzie.

— Ja już straciłem syna.

— Ma pan jeszcze drugiego.

Antka nie czekała, co sołtys na to powie. Odwróciła się porywczo i wyszła.

— Po com ja chodziła, to sama nie wiem — rzekła potem w domu. — Zdenerwowałam się.

Prawdę mówiąc już dawno czuła, że nie uniknie tej biedy i że nic na nią nie poradzi. Mimo to zgryzła się strasznie, ale najgorzej rozzezłościło ją, że sołtys tak późno zawiadomił. I jeszcze zapomniała mu o to nawymyślać, choć z tym do niego pobiegła. Naumyślnie stary piekielnik tak zrobił! Przed samiuteńkim terminem! Żeby ani postarać się o swego chłopca nie mogła, ni go na drogę we wszystko zaopatrzyć. Bo co mu zdążą przez tę noc naszykować?

Siedziały jednak z babcią całą noc, piorąc, susząc, łatając przyodziewek Władysia, gotując jaja na twardo, piekąc kurę i chleb. Chłopcy zrazu im towarzyszyli, ale wnet ich sen zmorzył.

Wczesnym rankiem o zorzy i o mrozie Władyś wyruszył do kina „Słońce". Po drodze szarpnął za drut, krzyknął dyź-dyź-dyź! — przywabił ku sobie gołębie, a one piękniej niż zwykle grały mu skrzydłami nad głową. Poszedł sam, przez wszystkich ucałowany, wyczesany, wymyty, w tatusinym szalu i z tatusiną starą walizką w ręce. Podróżnik!

Antka uporządkowała z babką dom, zdrzemnęła się na kwadrans i nie czekając południa poszła rączo ku miastu. W kinie „Słońce" dowiedziała się, że już ich zawieźli do Warszawy i że mają ich tam parę dni trzymać w jakiejś szkole na Pradze przy Skaryszewskiej ulicy. Więc zaczęła co dzień jeździć do Warszawy i pod tę szkołę. Wystawała godzinami, żeby podać coś do jedzenia albo zobaczyć Władzia przez okno. Marzła i mokła na przemian. Doświadczała i oglądała, jak się ludzie męczą. Piątego dnia serce w niej upadło. Dała posłuch tym, co gadali koło niej, że raz lub dwa powiodło się kogoś z tego przedpiekla wyciągnąć. I nazajutrz zjawiła się u Ewy Radgoskiej.

Ewa tego dnia „dawała mieszkanie" na redakcję numeru gazetki *Polska Przyszłości*. Tomyski został potem na obiedzie, który przyrządziły obie z Bronką. Ewa zapowiedziała, że olśni Józia... owsianką. Była to chluba jej wojennej sztuki kucharskiej. Ugotowała tę zupę z najlepszych, jakie miała, płatków owsianych na tęgim smaku z jarzyn, zaprawiwszy ją suto kostkami maggi oraz majerankiem i suszonym koperkiem. Wysublimowana w ten sposób owsianka przeszła wielokrotnie samą siebie. Bronka zrobiła pierogi i trzeba przyznać, że stanęła na wysokości zadania. Świetnie zmielony farsz mięsny, którego smak zaostrzony został odrobiną czosnku i smażonej cebulki, przezierał przez ciasto cieniutkie „jak sewrska porcelana". Przejęta obiadem Bronka nie poszła nawet na swoją tajemniczą „jedenastą godzinę"; a gdy Ewa, choć rada z tego, zagadnęła ją: — Ale jeśli to takie ważne, to może jednak idź — odpowiedziała pogodnie: — Raz się obejdą beze mnie.

Józef Tomyski natomiast nie stanął na wysokości zadania. Bo choć zjadł wszystko przykładnie, powiedział tylko:

— Z czosnkiem, z majerankiem i z koprem to można by ojca i matkę spożyć — nie zauważywszy zbrodni.

— Nie idzie o majeranek — roześmiała się Ewa. — Inteligencja jest tą przyprawą, która z najzwyczajniejszych rzeczy robi cuda.

— No, dobrze, a co byś powiedziała o tej przyprawie? — spytał Tomyski, wyciągając z teczki butelkę alaszu. — Do kawy? Bo chyba dasz choć kawy po tym owsie?

— Nie-e, Józek, jesteś aniołem! — ucieszyła się Ewa. — Po tym owsie! — oburzyła się jednocześnie. — A surrealizm tej owsianki to pies? A pierogi, to nie była kreacja? Bronka, obraź się i nie daj mu kawy!

Tomyski skłonił się z figlarnym błaganiem w stronę Bronki.

Na kawę przyszła też Joasia, zapowiedziawszy w progu, że „zaraz musi lecieć".

— Ty, Joasinder, nigdy nie przychodzisz, tylko „wpadasz" — wyrzucał złośliwie Tomyski. — Wlatujesz, jak jaskółka, która trafiła do pokoju przypadkiem i natychmiast z piskiem wylatuje.

W odpowiedzi Joasia zapytała: — Wstawaliście dziś w nocy na alarm?

— O w pół do pierwszej w nocy to są zawsze zrzuty. Nikt nie wstaje. Joasia, napijesz się alaszu, czy tylko kawy? — częstowała Ewa.

— Ludmiła zresztą nie wstaje nawet jak są bomby — rzekł Józef — nie przyjmuje nalotów do wiadomości. A ty wstawałaś, Jo?

— Skądby? Ja muszę spać za wszelką cenę. Ewa, nie nalewaj mi alaszu. Jakbym sobie pozwoliła nie spać w nocy, nie wytrzymałabym dnia. Ale na bomby to jednak wstaję. U nas w kamienicy — Joasia rozwidniła uśmiechem swe chmurne oczy — jest jakaś paniusia, która do piwnicy znosi swojego ulubieńca, nieboszczyka foksa wypchanego w koszyczku. Pierwszy raz myślałam, że to żywy pies i dziwiłam się, że tak spokojnie siedzi...

Słuchając tych słów Ewa nagle doświadczyła halucynacji, polegającej nie na ukazaniu się kogoś czy czegoś, ale na raptownym jakby zniknięciu Joasi. Ten widok, a raczej brak widoku tak był niewątpliwy, że aż się zatrzęsła, gdy owa nieobecność przemówiła raźno:

— Do widzenia, dzieci. Ja już jednak uciekam.

— Uważaj na siebie, Joasiu! — krzyknęła Ewa, chwytając odchodzącą w objęcia, żeby się przekonać, że ona jest. — Czy wy wiecie, słuchajcie, że to już 44 rok? Wielkanoc wypada 25 kwietnia, na świętego Marka. To się zdarza podobno tylko raz na sto lat. Lud mówi, że jak „Wielkanoc na Marka, to z ludzi zostanie garstka".

— Wiesz Ewa! — zgorszyła się Joasia i dodała, jakby się wypraszając od losu: — No, może my trafimy do tej garstki?

Z tym poszła. Ewa poprosiła Bronkę o przyrządzenie nowej porcji kawy i zaczęła strofować Tomyskiego.

— Dlaczego ty nic nie powiedziałeś Joasi? Nie widziałeś, jaka ona jakaś zmęczona i mizerna? Niby tak się kochacie, a właściwie nie macie sobie nic do powiedzenia. Zresztą ona też taka zatajona. I pokrewieństwo, i tyle lat przyjaźni, a właściwie nic o niej nie wiem.

— Mamy sobie z Joasią bardzo dużo do powiedzenia — zapewnił po chwili namysłu Józef. — Ale ja staję się w ogóle coraz bardziej milczący.

— Nieprawda — zaperzyła się Ewa. — Jesteś bardzo wielomówny, jak cię coś albo ktoś zainteresuje. Ale to nie sztuka. Jeśli chcesz wiedzieć, to ty w ogóle coraz mniej kontaktujesz z ludźmi. I rozumiem w końcu tych, co mówią, że jesteś pyszny i sobą tylko zajęty.

Tomyski stropił się:

— Sobą tylko zajęty?

Uśmiechnął się jakoś nieśmiało i bezradnie, a Ewa pomyślała zdziwiona: — „Jaki on podobny do tego Władysia Ludwikowego". Ale nie stanął w swojej obronie. Odkąd z działacza społecznego, a potem żołnierza stał się — późno — pisarzem, był tak straszliwie, z takim natężeniem wsłuchany w życie, w świat, w ludzi... Gdy zwracano się do niego bezpośrednio, patrzył, bywało, nieprzytomny, jak człowiek, któremu przeszkodzono w słuchaniu pasjonującego koncertu. Czasami rodziła się z tego myśl tak ostatecznej ważności, że gdziekolwiek i z kimkolwiek by wtedy przebywał, musiał nagle odejść, żeby z myślą tą zostać się sam na sam; żeby mu nie uciekła. Nie dbał o to, że ludzie zaczynają go mieć za gbura; lecz, owszem, przerażała go niekiedy myśl, że wskutek takich stanów ducha może nie sprostać kiedyś jakiemuś zaskoczeniu, jakiejś próbie życia.

Nie sądził jednak, aby to wszystko mogło go teraz usprawiedliwić i aby w ogóle przyzwoitym było mówić o takich rzeczach. Posmutniał i zapaliwszy trochę nerwowo papierosa powiedział pytająco:

— Joasia chyba tak nie myśli?

Ale że Bronka weszła w tej chwili z kawą, zwrócił się ku niej przymilnie:

— A panna Bronka miała coś nam zaśpiewać?

— Miałaś — przyświadczyła Ewa. — Obiecałaś przy obiedzie. Stań przy piecu, jak zawsze. Jest ciepły. Grzej się i śpiewaj piosenkę „La paloma". Bo wiesz — uśmiechnęła się do Józefa. — Jak Bronka grzeje się przy piecu i śpiewa, to znaczy: „nastała szczęśliwa chwila". Takie małe szczęściątko złych czasów.

Bronka nie dała się prosić i łyknąwszy gorącej aromatycznej kawy zaczęła śpiewać:

Ten wia-atr, co tak szumi i tak żałośnie łka...

Wtedy właśnie zadzwoniła Antka Wochelska i Ewa pobiegła jej otworzyć.

— Dzień dobry. Władka mi wzięli na roboty — rzekła Wochelska porywczo i bez wstępów.

— Dzień dobry, Antka. Jak to? Gdzie? Do Niemiec? Wywieźli? — Ewa nie mogła się połapać.

— Jeszcze nie wywieźli. Jeszcze jest na Skaryszewskiej. Tam ich trzymają.

— Zaraz. Pozwól tu, Antko. Musimy pogadać.

Zażenowana dochodzącym z jej pokoju śpiewem, wprowadziła Wochelską o jadalni.

Antka opowiadała o wszystkim żywo, ale z przestankami, jakby wsłuchując ię w swoje słowa. Ewa biegała po pokoju, zacierała marznące ręce.

— Nie-e, kobieto, dlaczegoś ty nie dała od razu znać? Dlaczego posyłałaś o do tego kina „Słońce"? Trzeba było natychmiast przywieźć go tu. Wyroiłoby mu się jakąś kartę pracy. Zeszedłby z oczu temu sołtysowi...

Antka słuchała, patrząc uważnie na Ewę. Namyślała się chwilę nad odpoviedzią.

— Nie — pokręciła przecząco głową. — Ja go musiałam odprowadzić do ego kina „Słońce". I Władyś nie mógłby tak zrobić. Nawet by nie chciał. On vie, że sołtys nie dałby nam już wtedy żyć.

— Sołtys by nie wiedział.

— Jakże miałby nie wiedzieć? Żeby nie było listy, ale jest lista. Jak się tóry nie stawi, to zaraz dają znać do gminy. Już by my wtedy mieli wszyscy a swoje. Ten sołtys tylko dzień i noc na nas myśli, jakby nas wygnać zniszczyć.

I na dowód Antka opowiedziała swoje przygody z krową na mięso, z wzięiem jej do obozu. Aby wzmocnić obraz przeciwności, których nie miała prawa eszcze mnożyć, dodała rzecz o jałówce, wziętej za długi Ludwika.

W Ewie wskrzesły natychmiast wszystkie stare siostrzane rozpacze.

— Jeszcze po śmierci ściga cię swoimi długami! — wykrzyknęła. — Ach, ntka! Mój brat był początkiem wszystkich twoich nieszczęść! Jak ty mogłaś vychodzić za niego za mąż? Przecież ja wiem, że on i ojcowiznę ci stracił... ty jeszcze portret mu robisz!

— Stracił — przyznała Antka. — Ja wiem. Ja wszystko wiem. Ale ja go ochałam. I on mnie kochał. Mnie się nawet nie śniło, żeby kto tak potrafił ochać. Taki być dobry. I zawsze był wesoły, a nigdy się nie złościł. Mało tóra wychodzi za takiego, co się nigdy nie złości. Ja nie żałuję. I portretu nie ałuję. Taki na nim, jak żywy.

— Niechaj! — machnęła ręką Ewa. — Słuchaj, Antka. Jest Józio Tomyski. Ty ich zdaje się znasz. Chodź, naradzimy się. Władysia trzeba ratować.

— A gdzie Bronka? — zdziwiła się, wchodząc z Ewą do swej sypialni pracowni.

Józef oderwał się od jakiejś wyjętej z półek książki.

— Panna Bronka poszła już na te swoje kursy — objaśnił. — To pani ntka przyszła? — spostrzegł się. — Będzie pani bogata, bo w pierwszej hwili nie poznałem — dodał całując ją w rękę.

— Na razie bardzo jest biedna, bo jej syna wzięli na roboty do Niemiec.

Wywiązało się opowiadanie o biedach Antki. Tomyski słuchał z przejęiem. Ewa poszła do kuchni naładować karbidówkę, bo zmierzch prędko nadiągał.

Kiedy wróciła ze światłem, Antka pokrzykiwała gromko:

— Co tam za gwałt, co za piekło na tej Skaryszewskiej, to nie wiem! Ro-

dziców taki tłum, te chłopcy wyglądają oknami. Te matki do nich krzyczą, każda swoje. Oni znów z okiem do nas. I taki z tego hałas, że nikt nic nie rozumie! Ludzie na tych Niemców prą, żeby dali wyjść któremu tam chłopakowi. A Niemcy nic. Aż jak się który rozezłości, jak się zamierzy tym, jak nazywają, rozpylaczem, że niby będzie strzelał, to wszyscy w pisk, rozbiegają się. Strach, co się tam ludzie namęczą i namarzną. A chłopaki z tych wszystkich okien te szyje wyciągają i rękami machają. To jakbym widziała, jak na targ w kojcach gęsi wiozą albo kaczki. To one też tak przez te pręty wyglądają, a gęgają, i kwaczą, i szyjami tak robią. A ten mój między nimi taki dzieciak...

Głos jej się załamał. Przysłoniła czoło ręką niby od karbidówki, a Ewa i Józef patrzyli z wstydliwym poważaniem, jak łzy jej kapią z oczu na politurę stołu.

Ewa przerwała chwilę przykrego milczenia.

— Trzeba coś robić — zawołała. — Trzeba coś robić! Nie można takiego małego dawać na poniewierkę. Ja słyszałam o wypadkach zwolnienia ze Skaryszewskiej. Nie wiem, jak to się robi, ale słyszałam, że można się wykupić.

Antka mieniła się na twarzy, jakby walcząc z napastującymi ją pokusami i skrupułami.

— Można — stwierdziła z namysłem. — Ja też z tym przyszłam. Jeden granatowy z jednym żandarmem puszczają podobno za pieniądze. Płaci się w takiej herbaciarni, co tam jest niedaleko. Ale to teraz duże pieniądze kosztuje. Podobno że osiem tysięcy.

— Nie-e, to dopiero teraz to mówisz? — wpadła na nią Ewa. — Jeżeli jest jakakolwiek możliwość, trzeba próbować. Zaraz... tylko skąd ja wezmę tyle pieniędzy. To trzeba prędko, a tu już wieczór idzie.

Wsparła usta na splecionych rękach, a czoło jej się marszczyło pod blaskiem lśniących włosów.

— To trzeba zebrać w kamienicy. Ile ty masz? — zwróciła się do Tomyskiego.

Miał przy sobie pięćset złotych. Ewa wydłubała tysiąc drobnymi.

— Resztę trzeba zebrać w kamienicy — powtórzyła gorączkując się. — Tylko czy zbiorę. Właściwie najwięcej przyjaciół mam w suterenach.

— Możesz być pewna, że ci najprędzej dadzą — uspokajał ją Józef.

— Mój Boże, nie trzeba się dla mnie tak męczyć — prosiła Antka, bardziej zmieszana niż ucieszona. — I jeszcze na niepewne. Tam i tak bywa, że wezmą pieniądze, a nic nie zrobią.

— Tak myślisz? Nie-e, trzeba próbować — upierała się Ewa. — I nie można z tym czekać. Jak jutro pójdziesz na Skaryszewską, musisz mieć pieniądze ze sobą.

Zarzuciła na ramiona futro, szukała kluczy.

Józef się również ubierał. — Pójdziemy razem — oświadczył.

— Nie, co za pomysł. Zostań. Ktoś musi zostać z Antką. Zresztą ty nic tu nie wskórasz. Nie znają cię. Tylko przeszkodzisz.

— No, dobrze, ale jesteś rozgrzana, piłaś alasz, zaziębisz się.
— Nie-e, wyście wszyscy powariowali. Dajcie mi święty spokój! Siedźcie spokojnie czekajcie.
Wybiegła. Wochelska załamała ręce:
— Ja i chciałabym go wykupić, i nie mam pojęcia, czy to dobrze! — wyzyknęła. — Mnie nie o pieniądze idzie, ale ja wiem, gdzie nasza zguba! noćby i papier dostał z pieczątką, że zwolniony, sołtys nam nie przepuści!
— No, dobrze — powiedział z wahaniem Tomyski. — Ale nie można łopca Niemcom tak lekko w paszczę dawać.
Antka przypatrzyła mu się, jakby badając, czy będzie w stanie ją zrozuieć. Pokręciła głową.
— Niemcy tu są u nas najgorsi. Tam w Prusach, ci nasi co jadą przez niny... niby z tej listy... nie mają tak źle. Niejeden ze wsiów koło Henryowa był i powrócił i nie skarżyli się tak bardzo — mówiła powoli. — Że na ch będzie robił? Toć do czasu. A póki co, nie takie narody jak my na nich uszą robić, a przecież nie z dobrej woli. I zawsze roboty w Rzeszy to nie święcim, nie kulka w łeb. Syn wróci. My tam prawie tylko jedni Polakami teśmy na tym Henrykowie. To jak nas mają nie brać? Czy my *volksdeutsche?* zy proszę pana nie tak jest, jak ja mówię?
— Hm... Trochę tak jest, jak pani mówi — szepnął z cicha Tomyski.
Słuchał, patrzył i myślał:
— Są różne porządki rzeczy. W tym Antczynym wywiezienie syna do Rzey jest mniejszym złem, które trzeba ścierpieć dla uniknięcia gorszego. Gorym złem są możliwości tkwiące w sołtysie, którego ta dzielna kobieta musi zechytrzyć, przetrzymać; którego nie można zwyciężyć wstępnym bojem.
Dał się słyszeć dzwonek. Tomyski wyszedł otworzyć. Zobaczył młodego łowieka, który zawahał się, zmieszał i spytał:
— Przepraszam... Czy zastałem Brońcię?
— Nie — odpowiedział grzecznie Tomyski. — Nie ma też chwilowo pani adgoskiej. Czy mam jej coś dla panny Brońci powtórzyć?
— Nie... Nic. To jest... chciałem się spytać, dlaczego Brońcia nie była dzij o jedenastej na lekcji śpiewu.
— Śpiewu? Nie wiem.
— Ale... nic jej się nie stało?
— Pannie Brońci? Nie, nic. Poszła na swoje kursy.
— To dziękuję panu.
Ledwo młodzieniec odszedł, w zamku zazgrzytał klucz. Wróciła Ewa.
— A więc zdobyłam pieniądze! — rzuciła na stół brudny plik baknotów. — iałeś rację, Józek. Ci z suteren byli najbardziej ofiarni. I nawet nie okazali bez pieniędzy. Wszyscy czymś tam handlują. Popożyczałam na dwa dni, niektórych nawet na tydzień.
Antka patrzyła z ukosa na rozrzucone po stole pieniądze.
— Rany Boskie. Jak ja z majątkiem takim pojadę! Toć już noc!

— Gdzie masz jechać? Zanocujesz u mnie. Rano pojedziemy razem na Skaryszewską.

— Nie, nie! Bardzo dziękuję, ale nie mogę. Mama i Stasiu tam całą noc o mnie by się bali. Jakbym ja ich samych tak zostawiła! Jeszcze zdążę na ostatni pociąg. Tylko... kiedy ja oddam takie pieniądze!

— Co ty za matka, że o takie rzeczy teraz się troskasz! — rozgniewała się Ewa. — I niech cię głowa nie boli o te pieniądze. Ale jak nie chcesz zostać, to się spiesz, bo już późno.

— Ja jestem taka matka, że ja bym siebie dała za Władzia na roboty, żebym widziała, że tak mądrzej — bez urazy, ale stanowczo wytłumaczyła Antka. — Ale ja mam sama matkę i jeszcze drugie dziecko. I gospodarstwo. Ja muszę myśleć, co będzie potem. I co będzie z wszystkimi.

Pożegnali się. Ale późno było już i dla Tomyskiego.

— Słuchaj, Ewa — mówił zbierając się do wyjścia. — Może to się uda z tym wykupem. Ale jeśli nie, to wiesz, nie przeszkadzaj roztropnemu męstwu tej kobiety. Pamiętasz Duhamela „Posięście świata"? „Żagiel, zdając się być posłuszny wiatrom, pokonywa je" — zacytował. — Antka musi się nie dać sołtysowi. Musi go przetrzymać. To jej nad nim zwycięstwo. Są różne sposoby walki z przeciwnościami. Różne zwycięstwa. Aha... — przypomniał sobie. — Był tu jakiś młody człowiek do panny Bronki. Pytał, dlaczego nie była dzisiaj o jedenastej na lekcji śpiewu.

— Śpiewu? Na lekcji śpiewu?

Zostawszy sama Ewa poszła do kuchni, żeby zmyć kieliszki i filiżanki.

— Może ta Bronka w istocie chodziła na lekcje śpiewu? — zastanawiała się wycierając zmyte naczynie. — A ja trzy razy na tydzień umierałam ze strachu o jej działalność podziemną! A może to jakieś hasło? Te „lekcje śpiewu"?

To myśląc spostrzegła, że jest już ósma, a tej małej ani widać. Gdzie toto się włóczy po nocy?

Minęła jeszcze godzina niepokoju, zanim Bronka przyszła. Ewa rzuciła się ku niej z radością i z wymówkami: — Na litość boską, dziewczyno, jak możesz w takich czasach tak późno wracać!

— Ciociu! Przecież to takie skrępowanie! Ja już nie mogę tego znieść!

— Ach, ty, dziecko! Tak cię gniewa, że się ktoś o ciebie niepokoi? Nie rozumiesz, co to jest drżeć o kogoś?

— Nie rozumiem.

— To nie rozumiesz i tego, że drżałam o ciebie co drugi dzień, jak chodziłaś na tę jedenastą godzinę? A ty podobno chodziłaś na lekcje śpiewu.

Bronka nie zdziwiła się. Widać już wiedziała o — zrozumialszym dla niej — niepokoju swego młodego znajomego.

— No tak, to jedyna przecież przyjemność, na którą sobie pozwalam, te lekcje śpiewu — zniecierpliwiła się żałośnie. — A ciocia i o to mnie męczy.

— Ależ nie... To bardzo ładna przyjemność. Tylko czemu się z tym kryłaś?

/yobraziłam sobie, że to jakaś niebezpieczna działalność konspiracyjna... zecz zresztą całkiem naturalna i... chwalebna...

Bronka zaczerwieniła się i wzruszyła ramionami.

— Ciocia sobie zawsze o wszystkim i o wszystkich za dużo wyobraża — sądziła zuchwale. I pożałowawszy tych słów nagle z wdziękiem rzuciła się wie do rąk i w objęcia: — Ach, ciociu! My mamy tylko jedną młodość. Cóż y winni, że wypadła na takie czasy? Chcemy się cieszyć, chcemy żyć. Nie szyscy muszą zginąć, ciociu. A i tak pewno zginiemy.

— Tak, są różne autonomie wewnętrzne — rzekła Ewa zagadkowo. A kłaąc się spać pomyślała: — Wszystko jest zawsze inaczej.

Antka przyszła nazajutrz po południu. Przywitały się milcząc. Wochelska ołożyła na stole paczkę pieniędzy.

— Wszystko na nic — powiedziała. — Już ich wywieźli.

Ewie wydało się, że powiedziała to z ulgą. Przyszły jej na myśl wczorajze słowa Tomyskiego. — Tak — przytaknęła mu w myśli. — Antka nie zna ierarchii dzieł sztuki, ale zna bezbłędnie hierarchię spraw życiowych.

— Siądź, Antka — poprosiła głośno. — Cóż robić, widać tak być musiało.

— Widać musiało — potwierdziła spokojnie Antka. — Władyś jest dzielny — odała. — On nie zginie. Władyś jest dzielny — powtórzyła gromko.

— A i to — rzekła jeszcze — że tyle pieniędzy nie dostanie się w ręce zkopów i jakiego tam kombinatora. Mnie było żal tych pieniędzy, a mój łopiec i tak nie zginie.

— Czy widziałaś go, Antka?

— Ja go widziałam! — krzyknęła tryumfalnie. — I mam od niego list. o było tak. Ja coś do niego, a on do mnie. I jak tam zawsze, nic się nie ożemy w tym hałasie dogadać. Jeszcze ci, co niżej, to się jakoś dokrzyczą. le on aż na czwartym piętrze. Ja mu chcę jakoś dać znać, że się o niego taram, bom się już umówiła z jedną, co tam za tym chodzi, i miała ze mną ść do tej herbaciarni. Aż tu ona do mnie leci i mówi, że dzisiaj nic się nie robi, bo jest nowy żandarm. A tam z góry słyszę, jak Władyś woła: „Mamuu! Mamusiu!" Tom dobrze to usłyszała, bo tam żaden tak nie wołał, tylko: Mama! Mama!". Patrzę na niego, a on taki maleńki, a te duże chłopaki ak go przygniotły, że go ledwie widać. Ale ręką macha i krzyczy: „Mamusiu, ap! łap! Trzymaj!". Patrzę, co leci, a on mi rękawiczki zwinięte rzucił. jeszcze krzyczy: „Oddaj rękawiczki Stasiowi! Ja nie zmarznę!" Odeszłam ak trochę w bok, odwijam te rękawiczki, a tam w nich list. O, proszę. aki on zmyślny. Władyś!

— List od Władzia — rzekła Ewa do wchodzącej Bronki. — W rękawiczach mamusi rzucił.

I przeczytała głośno:

— „Najdroższa Mamusiu! Za godzinę już nas poprowadzą na kolej. Mamy echać do Brandeburg. Nie martwcie się. Ja na pewno wrócę. Jeść nam dają. u wszyscy płaczą i mdleją, ale ja nie. Jeden chłopiec zebrał od wszystkich

proszki od bólu głowy. Ja miałem dwa, to mu też dałem, a on mi dał za to dwa jajka. Pojadł te proszki i dostał bicia serca, ale doktór i tak go nie zwolnił. Jeszcze go poszturchali. Ja nie taki głupi. Tu najgorzej, jak się kto boi. A kto się nie boi, to mu nic nie robią. Mamusiu! Bądź o mnie spokojna! Ja sobie dam radę. Całuję Cię, kochana Mamusiu, ucałuj Babcię i Stasia i oddaj mu te rękawiczki, bo on zmarzlak. Wasz Władek."

— Tak — zamyśliła się Ewa — Szkoda, że ten wasz sołtys, ten volksdeutsch, tego listu nie przeczyta. Dopiero by zgrzytał zębami.

— Albo on wart, żeby taki złoty list czytał?

Ewa zobaczyła, że Antka nie zgrzyta, lecz szczęka zębami, a twarz jej zżyma się od płaczu.

— Bronka! Rusz się! Zróbmy jej coś ciepłego! Patrz, jak ta biedna Antka zmarzła! Nie płacz, Antka! Powiedz jeszcze. Widziałaś, jak go wyprowadzali?

— Właśnie że widziałam — opanowała się Antka. — Czekałam ze dwie godzin. A potem szłam koło nich, ale nie ulicą, tylko z daleka chodnikiem. Inne matki też szły. Widziałam go. Trochę był blady, ale ładnie tak szedł. Śmiało, jakby w tańcu. Podejść do nich, to Niemcy nie dawali. Zaraz: *Weg! Weg!* Więc go tylko krzyżykiem przeżegnałam i pacierz za niego zmówiłam.

I Antka znowu zaczęła drżeć nerwowo.

— Gdzie ta Bronka! Miała dać coś ciepłego z obiadu! Bronka!

Ewa pobiegła do kredensu i przyniosła resztę alaszu Tomyskiego.

— Napij się, Antka. To cię rozgrzeje, rozweseli. I jak to Ludwiś mówił? A teraz wypijmy za pomyślność... no, kochana..., za pomyślność naszych interesów...

O tej samej godzinie zaryglowane bydlęce wagony ruszały z dworca towarowego, a w zimnym, dusznym i ciemnym tłoku ich wnętrza Władyś jadł jajko na twardo i wpychał drugie osłabionemu koledze.

— Masz, oddaję ci to drugie — szeptał. — Zjedz, to ci lepiej pomoże od tych głupich proszków na twoją głupią głowę. I nie maż się. Mnie tatuś umarł. Mamusię zostawiłem. Gołębie moje zostawiłem. A nie płaczę.

PRAWY I TROSKI

DWA ZJAZDY

VII ZJAZD HISTORYKÓW POLSKICH WE WROCŁAWIU

I

W dniach 19—22 września 1948 r. był Wrocław widownią VII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich. Zjazdy te mają już swą tradycję. Trzy z nich (1880, 1890, 1900) odbyły się jeszcze przed pierwszą wojną światową, pod zaborem, trzy dalsze już w dobie niepodległości, w okresie międzywojennym (1925, 1930, 1935), kiedy to ustaliła się praktyka odbywania podobnych zjazdów co pięć lat. Agresja hitlerowska na Polskę i kilkuletnie rządy okupacyjne, które tyle bolesnych ciosów zadały nauce polskiej, zwracając swą furię szczególnie przeciwko polskiej historii i jej reprezentantom spowodowały przymusową przerwę w normalnym rozwoju nauki historycznej w Polsce.

Nie zdołały jej pognębić, ale zmusiły historyków polskich do przejścia do pracy naukowej w konspiracji. Że wielu historyków, nie bacząc na trudności i niebezpieczeństwo, również i w okresie okupacji pracy naukowej nie zarzucało, tego dowodzi szereg publikacji, jakie ukazały się już po wojnie; publikacje te, oparte w znacznej mierze na badaniach i studiach jeszcze przedwojennych, konstruowane były przeważnie dopiero w ciężkich i najcięższych warunkach doby okupacyjnej.

Kiedy wybiła godzina Wyzwolenia, stanął natychmiast przy ocalonych warsztatach pracy, pracując z ofiarnością nad odbudową zniszczonych, liczny zastęp historyków: co prawda w stosunku do lat przedwojennych przerzedzony, ale stosunkowo szybko zasilany nowymi pracownikami naukowymi spośród młodszego pokolenia. Podjęło na nowo swą pracę Polskie Towarzystwo Historyczne (założone w r. 1886), odrodziły się czasopisma historyczne dawne, powstały nowe. Nadszedł czas na nawiązanie do tradycji zjazdów historycznych. Wcale szybko, bo w trzy lata po wyzwoleniu, szybciej niż to miało miejsce po wojnie poprzedniej, zdołało Polskie Towarzystwo Historyczne, kierowane od r. 1946 sprężyście przez prof. J. Dąbrowskiego, zorganizować VII Zjazd Historyków Polskich.

Wybór Wrocławia na miejsce Zjazdu miał niewątpliwie znaczenie symboliczne. Nie udało się Niemcom zgnębić nauki polskiej, tak jak nie udało się im zatrzeć zupełnie oblicza polskiego naszych Ziem Zachodnich. I oto w Polsce Ludowej, która wzięła na powrót w posiadanie dawne piastowskie ziemie, zebrali się historycy polscy na pierwszym zjeździe powojennym właśnie w stolicy odzyskanego po wielu wiekach rozłąki Śląska, we Wrocławiu, w którym na nowo tętni już w pełni życie polskie, gdzie trwająca równocześnie wystawa Ziem Odzyskanych była — jakże wymownym! — świadectwem trwałego już związania tychże ziem z ma-

cierzą polską. Podkreślił tę wielką symbolikę chwili prezes J. Dąbrowski, kończąc swe inauguracyjne przemówienie słowami: „Tu byliśmy, tu jesteśmy i tu zostaniemy! Polski jest Wrocław i Odra!"

Wybór Wrocławia na miejsce Zjazdu łączył się również integralnie z przodującą dzisiaj w pracach historyków polskich tematyką badań nad przeszłością naszych Ziem nadodrzańskich i nadbałtyckich. Nad tymi zagadnieniami pracowali niektórzy historycy polscy już od dawna, mogąc się zwłaszcza w dziedzinie badań nad historią Śląska poszczycić dorobkiem bardzo poważnym. Nadal jednak uzurpowała sobie prymat w badaniach nad dziejami ziem nadodrzańskich i nadbałtyckich nauka niemiecka, znajdując się w warunkach o wiele korzystniejszych, gdyż dysponowała archiwami i bibliotekami miejscowymi, gdyż w ogólności miała na swe poparcie stan faktyczny rządów niemieckich na tych ziemiach, co daje zawsze szczególne prerogatywy. Rzecz prosta, iż nauka niemiecka, stojąca od lat na usługach szowinistycznej, skrajnie antypolskiej propagandy, starała się na każdym kroku zatajać dowody polskości Śląska czy Pomorza, wysuwając nawet na użytek polityki tezę o rzekomej „odwiecznej" niemieckości tych ziem.

Dzisiaj sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Ster badań nad dziejami naszych Ziem Zachodnich przeszedł zdecydowanie w ręce polskie. Pozostali przy życiu dawniejsi nasi badacze dziejów Ziem Zachodnich mogą dziś w warunkach o wiele korzystniejszych kontynuować swe studia, kierując zarazem krokami całego zastępu młodszych historyków, którzy do pracy się garną. Kilkudniowe obrady Zjazdu we Wrocławiu, których jedną z głównych nici przewodnich była problematyka historii Ziem Zachodnich, stanowiły dla tych historyków przeżycie niezwykłe. Atmosfera miasta, gdzie na gruzach poskromionej orężem Armii Radzieckiej napływowej niemczyzny odradza się dzisiaj w pełni życie polskie, nasuwała na każdym kroku owo powiązanie przeszłości z teraźniejszością, które dostarcza zawsze ożywczych soków nauce historycznej [1]).

II

Zjazdy historyków polskich wyniknęły ongiś z potrzeby zbiorowej wymiany myśli między uczonymi, wspólnego przedyskutowania spornych lub nie dość jasno naświetlonych problemów, omówienia zagadnień metody pracy historycznej, podsumowania wyników badań w zakresie takiej czy innej problematyki,

[1]) Czynniki rządowe, kierujące sprawami oświaty i nauki w Polsce, przywiązują wielką wagę do problematyki Ziem Odzyskanych; wystarczy wskazać, że Ministerstwo Oświaty udzieliło specjalnej subwencji na nagrody za najlepsze prace z zakresu historii Ziem Odzyskanych, ogłoszone drukiem w latach 1945—1948 bądź przesłane na konkurs w rękopisie. Nagrody te sąd konkursowy rozdzielił w sposób następujący:

Nagrody pierwszej nie przyznano, postanawiając rozdzielenie tej sumy na szereg mniejszych nagród.

Nagrodę drugą — 150.000 zł — przyznano prof. dr Karolowi Maleczyńskiemu z Wrocławia za książkę „Dzieje Wrocławia", t. I do r. 1526, na tle całego jego dorobku naukowego o Ziemiach Odzyskanych.

Nagrodę trzecią — dwie po 100.000 zł — przyznano równorzędnie prof. dr Karolowi Górskiemu z Torunia za pracę „Dzieje Zakonu Krzyżackiego" i prof. dr Kazimierzowi Piwarskiemu z Krakowa za pracę „Dzieje Prus Wschodnich w czasach nowożytnych".

Nagrodę czwartą — dwie po 50.000 zł — przyznano równorzędnie doc. dr Bogusławowi Leśnodorskiemu z Krakowa i dr Kazimierzowi Myślińskiemu z Poznania.

Nagrodę piątą — cztery po 25.000 zł — przyznano równorzędnie dr Kazimierzowi Ślaskiemu z Poznania, dr Marianowi Pelczarowi z Gdańska, mgr Hannie Matuszewskiej-Ziółkowskiej z Gdańska i mgr Hannie Leśnej-Chłopockiej z Poznania.

Zaznaczyć należy, iż w ogólności organizacja Zjazdu umożliwiona została przez wydatną pomoc, jakiej nie szczędziły władze rządowe, w szczególności Fundusz Kultury Narodowej przy Prezydium Rady Ministrów oraz Ministerstwo Oświaty. Dzięki uzyskanym subwencjom możliwe było również wydanie drukiem już na Zjazd Pamiętnika VII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich, na razie tomu I oraz pierwszego zeszytu tomu II, razem około 40 arkuszy druku (z zasiłku Prezydium Rady Ministrów); w przygotowaniu jest druk dalszych arkuszy tomu II, tak że całość wydawnictwa obejmie wszystkie referaty zjazdowe oraz głosy w dyskusji.

wysunięcia postulatów naukowych na przyszłość. Podobne cele przyświecały również organizatorom Zjazdu Wrocławskiego. Niejednokrotnie zjazdy organizowane były w związku z wielkimi rocznicami historycznymi (np. zjazd w Poznaniu w r. 1925, w 900-lecie śmierci Bolesława Chrobrego), co znajdowało swój wyraz także i w tematyce obrad zjazdowych. Podobnie i teraz data zwołania Zjazdu łączyła się ze stuleciem Wiosny Ludów. Na ogół jednak starano się, aby na zjazdach reprezentowane były w poszczególnych sekcjach wszystkie dziedziny badań historycznych prowadzonych w kraju.

Organizatorzy Zjazdu Wrocławskiego odstąpili jednak od tej praktyki, rezygnując z podobnej wszechstronności, gdyż: po pierwsze — w obecnych warunkach reorganizacji nauki polskiej i uzupełniania dotkliwych nieraz luk personalnych — trudno byłoby kusić się o równomierne reprezentowanie wszystkich gałęzi nauki historycznej na Zjeździe, po drugie — potrzeby chwili bieżącej narodu i państwa nakazywały wysunięcie na czoło szczególnie ważnych zagadnień, około których należało skoncentrować uwagę zjazdu.

Kierując się tymi przesłankami, biorąc zarazem pod uwagę, że zwołanie Zjazdu w setną rocznicę Wiosny Ludów nasuwa samo przez się postulat szczególnego uwzględnienia problematyki r. 1848, tak ważnej dla zrozumienia genezy współczesności, ustalił Zarząd Główny P. T. H. wraz z Komitetem Organizacyjnym program Zjazdu. W komunikacie zwołującym Zjazd podano m. i.: „Wybór miejsca i związanie tematu z setną rocznicą Wiosny Ludów wytycza kierunek prac Zjazdu. Na pierwszy plan wysuną się dzieje Śląska i Wielkiego Pomorza oraz rewolucji r. 1848".

W szczegółowym programie Zjazdu podział na sekcje uwypuklał ważność czołowych zagadnień Zjazdu. Tak więc sekcja I poświęcona była dziejom Śląska i Wielkiego Pomorza, sekcja II dziejom Słowiańszczyzny, sekcja III rewolucji r. 1848, sekcja IV genezie współczesnego społeczeństwa i Państwa Polskiego, sekcja V polskiej nauce historycznej po drugiej wojnie światowej (gdzie na porządek obrad wprowadzono zagadnienia teoretyczne historii, rozpowszechnienia kultury historycznej, stanu materiałów archiwalnych itd.); nadto zorganizowano osobną podsekcję wychowania. Hierarchia ważności poszczególnych zagadnień została wreszcie uwydatniona w tematyce posiedzeń plenarnych Zjazdu, gdzie wygłoszono następujące referaty: „Wkład Polski w rewolucję europejską r. 1848" (Stefan Kieniewicz), „Zadania nauki polskiej historycznej po drugiej wojnie światowej" (Stanisław Arnold), „Bolesław Chrobry i kryzys stosunków polsko-niemieckich" (Zygmunt Wojciechowski).

III.

Obrady Zjazdu wykazały, że wysunięcie na czoło problematyki Ziem Zachodnich odpowiada w zupełności poziomowi naszych prac w tej dziedzinie. Wielki zapał i prawdziwą ofiarność, jakie włożyli w tę pracę nasi historycy, zarówno ci o głośnych nazwiskach spośród starszego czy średniego pokolenia, jak i młodsi pracownicy (niektórzy wybitnie uzdolnieni), oddając do dyspozycji swą imponującą nieraz erudycję i godny pełnego uznania wysiłek twórczy, wydały już poważne owoce. Dowodem tego był wysoki poziom referatów (m. i. Wł. Czaplińskiego, J. Dąbrowskiego, M. Friedberga, R. Grodeckiego, K. Górskiego, K. Tymienieckiego, Stan. Zajączkowskiego) oraz dyskusyj poświęconych wielu kwestiom z dziejów Śląska i Pomorza i związanym z nimi tak ściśle zagadnieniom stosunków polsko-niemieckich w bliższej i dalszej przeszłości.

Jednym z ważnych wyników dyskusyj było zgodne stwierdzenie konieczności podbudowy dalszych badań przez dokładne przepracowanie podłoża społeczno-gospodarczego procesu ekspansji niemieckiej na ziemiach polskich. W ogólności obrady w sekcji I (jak i w innych, gdzie w wielu referatach omawiana była tematyka historii Ziem Zachodnich) dały niezły przegląd dotychczasowego dorobku naszej nauki historycznej w tej dziedzinie, zarazem zaś pozwoliły zorientować się, ile jest jeszcze na tym polu do zrobienia. Tak więc, o ile opracowanie dziejów Śląska czy Wielkiego Pomorza w zakresie średniowiecza jest u nas już bardzo daleko posunięte, sprawa przedstawia się odmiennie w zakresie doby nowożytnej i najnowszej, gdzie stosunkowo mało zagadnień zostało dotąd przepracowanych.

Rzecz łatwa do wyjaśnienia, gdyż główną podstawą dla badań mediewistów stanowiły i stanowią liczne wydawnictwa źródłowe, polskie i niemieckie, zawierające przeważnie materiał do średniowiecza, rzadko tylko obejmujące również materiał nowożytny. Z natury rzeczy tedy badania nad dziejami nowożytnymi oparte być muszą na studiach archiwalnych, które jednak dotąd — jeśli chodzi o materiały archiwów na terenie Ziem Zachodnich — były dla historyków polskich prawie zupełnie niedostępne. Wiele z tych materiałów zostało dla nas straconych, gdyż zniszczyła je lub rozproszyła burza wojenna. Trochę jednak pozostało, sporo odzyskano już drogą rewindykacji, ale znaczna ich część pozostała jeszcze na terenie Niemiec. W związku z tym Zjazd uchwalił nader pilny postulat w sprawie rewindykacji dalszych materiałów źródłowych do dziejów naszych Ziem Zachodnich, podobnie jak i dóbr kulturalnych dawnych ziem Polski, wywiezionych do Niemiec, które winny nam być bezwzględnie zwrócone. W szczególności rewindykacja materiałów źródłowych stanowi zasadniczy warunek poważniejszego posunięcia naprzód naszych badań i studiów nad dziejami Śląska czy Wielkiego Pomorza w dobie nowożytnej.

W naturalnym związku z tematyką Ziem Zachodnich pozostawały w znacznej mierze obrady sekcji II, gdzie zwłaszcza zagadnienie genezy państwowości polskiej budziło szczególne zainteresowanie (w związku z referatami, które wygłosili: J. Kostrzewski, W. Hensel, K. Tymieniecki). Dyskusja wykazała m. i. konieczność zacieśnienia współpracy w tej dziedzinie między historykami i prehistorykami. W sekcji tej poruszono nadto szereg zagadnień z dziedziny stosunków kulturalnych polsko-rosyjskich (wymienimy zwłaszcza referat Wł. Tomkiewicza), polsko-czeskich oraz stosunków kulturalnych Polaków ze Słowianami Południowymi. Z dużym zainteresowaniem śledzili tok obrad i brali żywy udział w dyskusji nad tymi tematami nasi goście, historycy radzieccy oraz czescy. Przy tej okazji pragniemy zaznaczyć, że Zjazd zaszczycili swą obecnością historycy radzieccy: P. Tretiakow, A. Sidorow, I. Udalcow oraz czescy: J. Charvát, J. Macurek, W. Husa, W. Cejchan, A. Klima, O. Riha[1]). Wracając do obrad sekcji II należy zaznaczyć, iż wiele omawianych tam problemów znaleźć może pełne wyświetlenie dopiero przy ścisłej współpracy historyków słowiańskich, co stanowi jeden z najpilniejszych postulatów na przyszłość.

Nie inaczej zresztą przedstawia się zbadanie stosunków między narodami słowiańskimi w r. 1848, które omawiano na sekcji III, poświęconej Wiośnie Ludów, w referacie H. Batowskiego i w koreferacie M. Jakubca: szereg nasuwających się tutaj

[1]) Historycy radzieccy i czescy brali żywy udział w dyskusjach także i w innych sekcjach Zjazdu.

Z gości zagranicznych bawił nadto na Zjeździe prof. Charles Morazé z Paryża, sekretarz generalny Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych.

zagadnień może być w pełni wyświetlonych dopiero przez pracę zespołową historyków różnych krajów słowiańskich, przy czym rzeczą niezbędną będzie posłużenie się metodą materializmu historycznego (na stosunki między narodami słowiańskimi należy spojrzeć od strony stosunków między ich poszczególnymi klasami). Szereg innych referatów, wygłoszonych na tej sekcji, dotyczących zagadnień r. 1848 na ziemiach polskich (m. in. referaty St. Kieniewicza, W. Knapowskiej, K. Popiołka, M. Tyrowicza) wykazało przede wszystkim, jak ważne jest dokładne przepracowanie problemów politycznych i społecznych na ziemiach Polski w tej dobie w ścisłym powiązaniu z ogólnym nurtem rewolucji r. 1848; wykazało zarazem, jak wielką wagę przedstawia problematyka Wiosny Ludów dla zrozumienia całego procesu rozwojowego naszych dziejów w wieku XIX.

Interesujący przegląd „przemian postawy historyków francuskich wobec Wiosny Ludów" — z którego wynikało jasno zwłaszcza świadomie tendencyjne przedstawianie wydarzeń przez historyków francuskich, reprezentujących klasowy światopogląd burżuazji francuskiej — dał w tej sekcji J. Dutkiewicz. Szczególnie zaś aktualne dla dzisiejszej rzeczywistości akcenty przyniósł referat C. Bobińskiej-Wolskiej „Twórcy naukowego socjalizmu wobec sprawy polskiej", w którym autorka w oparciu o gruntowne przepracowanie tekstów wykazała ścisły związek między sprawą polskiej walki narodowo-wyzwoleńczej a zagadnieniem rewolucji europejskiej, zwłaszcza rewolucji rosyjskiej. Zaznaczywszy, jak wielkie znaczenie miała sprawa niepodległości Polski w oczach Marksa i Engelsa, jak to od początku istnienia „Międzynarodowego Towarzystwa Robotniczego" jednym z głównych aspektów jego polityki zagranicznej była właśnie sprawa polska, zwróciła uwagę na wielokrotnie podkreślaną myśl twórców naukowego socjalizmu, „że całkowite i demokratyczne rozstrzygnięcie sprawy polskiej, że wskrzeszenie Polski takiej, jaka najbardziej odpowiadałaby polskiej demokracji i klasie robotniczej, może być dokonane nie tylko przy poparciu proletariatu Europy, lecz w ścisłej łączności z rewolucją rosyjską".

W sekcji IV poruszone były tematy z historii politycznej, dotyczące spraw polskich w związku z zagadnieniami wielkiej polityki europejskiej (K. Piwarski „Geneza Monachium", A. J. Wilder „Rozgrywka dyplomatyczna o polską granicę zachodnią"): w referatach tych uwzględniona została w znacznej mierze problematyka historii powszechnej (zwłaszcza historii dyplomacji) ostatniej doby. Przeważały jednakże w sekcji IV tematy z historii społeczno-gospodarczej, poświęcone zagadnieniom podziału dochodu społecznego do końca XVIII wieku (J. Rutkowski, W. Kula), sprawie robotniczej w Polsce w XIX i XX wieku (N. Gąsiorowska, J. Durko) oraz sprawie chłopskiej w tymże okresie (St. Inglot).

Nie trzeba uzasadniać, że właśnie dla wyjaśnienia genezy współczesnego społeczeństwa i Państwa Polskiego będzie miało kapitalne znaczenie przebadanie dziejów społeczno-gospodarczych XIX i XX wieku, przy czym podkreślić należy, iż ta dziedzina badań była u nas dotąd mocno zaniedbana, zwłaszcza w nauce przedwojennej (albo też jednostronnie i tendencyjnie naświetlana). Z zadowoleniem tedy musimy przyjąć fakt wzrostu zainteresowania naszych historyków dla tej tematyki.

Tutaj jednak wysunęła się w całej swej ostrości kwestia właściwych metod pracy. Dotychczasowe badania dziejów społeczno-gospodarczych w Polsce wydobyły na jaw sporo materiału szczegółowego, dostarczyły wielu cennych przyczynków, ale nie dały i dać nie mogły syntezy pozwalającej na zrozumienie istotnego

sensu procesu dziejowego, wyjaśnienie teraźniejszości i wytyczenie linii przyszłego rozwoju społecznego — w oparciu o znajomość całokształtu praw rozwojowych. Nie mogła, gdyż — ulegając wpływom historiografii światopoglądu kapitalistycznego, wraz z jej spekulacjami idealistycznymi, zamazującymi i wypaczającymi obraz rzeczywistości historycznej — nie umiała znaleźć właściwej naukowej podstawy dla swych badań.

Wyjście z tego impasu, w którym grzęźli historycy polscy bądź świadomie, bądź — jak sądzimy — w większej części ulegając sugestiom kierunku tradycjonalistycznego oraz hołdując koncepcjom indywidualistycznym, jest tylko jedno: zastosowanie w naukach historycznych teorii materializmu historycznego i wypływających z niej metod dialektycznego ujmowania zjawisk dziejowych. Takie wnioski narzucały się same przez się w wyniku dyskusyj nad tymi w szczególności referatami sekcji IV, które dotyczyły zagadnień społeczno-gospodarczych, gdzie potrzeba nowych, postępowych metod naukowych zarysowała się w całej wyrazistości (tak np. ostrej dyskusji poddano referat St. Inglota).

Rzecz prosta, iż sprawa ta stanowiła przedmiot obrad sekcji V, gdzie tematem kilku referatów były właśnie kwestie metody historycznej, przy czym niektóre z tych referatów (Stan. Śreniowskiego, B. Leśnodorskiego, M. H. Serejskiego) wykazały dążność do wyzwolenia się od tradycjonalizmu i do szukania nowych dróg postępowych w dziedzinie metody badań (jak też rewizjonizmu w dziedzinie periodyzacji dziejów Polski)[3]).

W wyniku obrad uchwalono na tej sekcji rezolucję, przyjętą następnie na plenarnym posiedzeniu końcowym, żądającą utworzenia w ramach P. T. H. sekcji metodologicznej, której zadaniem będzie prowadzenie prac i dyskusyj nad problemami dotyczącymi metodologii badań historycznych z szczególnym uwzględnieniem materializmu historycznego. Przyjęcie tej rezolucji świadczy o poważnym przełomie, dokonującym się w świecie historycznym polskim. Zgłoszona z inicjatywy grupy historyków-marksistów, która wyraźnie zaznaczyła swą aktywność na Zjeździe, spotkała się z aprobatą historyków innych, którzy — jakkolwiek dalecy przeważnie od światopoglądu marksistowskiego — zajęli postawę pozytywną wobec postulatów potrzeby grutownego zaznajomienia się z metodami materializmu dziejowego i podjęcia na szeroką skalę prób zastosowania tych metod w badawczej pracy historycznej.

Niewątpliwie wiele materiału myślowego w tej sprawie dostarczył zebranym referat Stan. Arnolda „Zadania polskiej nauki historycznej po drugiej wojnie światowej", w którym autor wprowadził zebranych w problematykę materializmu dziejowego i sformułował wyraźnie postulat poddania gruntownej analizie z punktu widzenia materializmu historycznego całokształtu naszych dziejów, wskazując najważniejsze zagadnienia, podając niektóre możliwości praktycznego zastosowania metody dialektycznej, podkreślając wreszcie konieczność ustalenia nowych zasad periodyzacji rozwoju społeczno-gospodarczego dziejów Polski.

Postulaty te mogą być zrealizowane jedynie tylko w ramach racjonalnego planowania w zakresie badań historycznych oraz organizacji pracy zespołowej. Rzecz prosta, że wiele,

[1]) Szerszą dyskusję w sekcji V wywołało nadto zagadnienie upowszechniania wiedzy i kultury historycznej, poruszone w referatach E. Maleczyńskiej oraz W. Moszczeńskiej.

Niektóre zagadnienia, związane z r. 1848, omawiane były również na podsekcji wychowania, a to w referatach A. Knota, J. Enderówny i I. Szaniawskiego, który w referacie „Diesterweg i Wiosna Ludów" dał interesujący przyczynek do historii wychowania i szkolnictwa w Prusach w dobie Wiosny Ludów, na tle konfliktu między kiełkującym prądem demokratycznym (reprezentowanym na terenie pedagogiki szkolnictwa przez Diesterwega) a skrajnie reakcyjnym prusactwem, tłumiącym brutalnie każdy powiew postępowej myśli.

bardzo wiele na tym polu możemy nauczyć się od historyków radzieckich, z którymi kontakt — i to najbliższy — będzie konieczny przy wprowadzaniu naszej historiografii na nowe tory. Wystarczy wskazać na szereg kapitalnych osiągnięć, do jakich doszła nauka radziecka dzięki zastosowaniu metody dialektycznej przy badaniu zasadniczych problemów z historii Rosji, w ramach planowej, zespołowej pracy; z wynikami tymi zapoznawali nas historycy radzieccy goszczący na Zjeździe, prof. Uniw. w Moskwie P. N. Tretiakow, rektor Uniw. w Moskwie A. L. Sidorow oraz współpracownik Akademii Nauk w Moskwie dr I. I. Udalcow, a to tak w dyskusjach zjazdowych, jak i poza Zjazdem, w szeregu odczytów zorganizowanych w ośrodkach uniwersyteckich polskich. Pragniemy dodać, że dalszą świetną ilustrację ostatnich wyników nauki historycznej radzieckiej stanowiły prelekcje przybyłego w październiku 1948 r. na jubileusz Polskiej Akademii Umiejętności akademika prof. B. D. Griekowa.

IV

W swym przemówieniu na inauguracji Zjazdu minister Oświaty dr Stanisław Skrzeszewski wyraził uznanie dla dotychczasowego dorobku naukowego historyków polskich, wykazującego bezsprzecznie wielkie walory erudycyjne i wysoki poziom twórczości naukowej; zarazem jednak wysunął mocno postulat wyzwolenia polskiej nauki historycznej z pęt tradycjonalizmu, jakie jej narzucał interes panujących grup i klas społecznych, hamując pełny, prawdziwie postępowy rozwój naszej historiografii, utrudniając dojście do prawdziwie obiektywnej, naukowej syntezy, wpędzając historiografię w impas przyczynkarstwa. Nadszedł teraz czas, aby historiografia polska wkroczyła śmiało i zdecydowanie na nowe drogi, w oparciu o marksizm jako „metodę naukową najbardziej syntetyczną, racjonalną, opartą na dorobku naukowym całej ludzkości". Tego wymaga wzgląd na prawdę naukową, tego wymagają potrzeby narodu i państwa, gdyż „marksizm w Polsce jest ideologią przodujących naszego ludu pracującego i naszej przyszłości — Polski Socjalistycznej". Potrzebna jest Polsce marksistowska szkoła historyczna i taka szkoła przy zbiorowym wysiłku winna powstać.

Apel ten spotkał się z oddźwiękiem już w toku Zjazdu Wrocławskiego, gdzie ukonstytuowało się Zrzeszenie Historyków-Marksistów, które na jednym ze swych zebrań poddało dyskusji wyniki Zjazdu i wyłoniło Komitet Organizacyjny: zadaniem jego będzie skupienie historyków polskich stojących na gruncie marksizmu celem podjęcia zespołowych badań historycznych w oparciu o metodyczne założenia materializmu historycznego. Zrzeszenie objęło na razie kilkudziesięciu historyków, w tym szereg profesorów i docentów wyższych uczelni. Dalsze poczynania organizacyjne w poszczególnych ośrodkach uniwersyteckich zapowiadają już znaczne powiększenie zastępu historyków-marksistów oraz wzrost zainteresowania dla tej akcji w szerokich kołach historyków dobrej woli, pragnących zapoznać się z teorią i metodą materializmu dziejowego.

Tak więc Zjazd Wrocławski, który przyniósł przegląd dotychczasowego dorobku nauki historycznej polskiej, stał się równocześnie impulsem do wprowadzenia jej na nowe tory. Historycy-marksiści stanowić będą z natury rzeczy awangardę nowej, postępowej i demokratycznej nauki historycznej polskiej, która — przez gruntowne przepracowanie poszczególnych zagadnień naszych dziejów w związku z dziejami powszechnymi — pozwoli z czasem wznieść gmach nowej syntezy dziejów Polski, godny wielkiej chwili dziejowej, jaką przeżywamy. Nauka historyczna polska winna w ten sposób spłacić należny dług narodowi w chwili jego zasad-

niczych przemian politycznych i społeczno-gospodarczych, winna dać prawdziwy obraz jego przeszłości, wyjaśnić proces dziejowy łączący przeszłość z teraźniejszością.

Wysiłek ogromny czeka historyków polskich. W pracy tej nie powinno braknąć nikogo. Historycy-marksiści podadzą tutaj rękę tym wszystkim kolegom, także i niemarksistom, także i „tradycjonalistom", którym droga jest przede wszystkim obiektywna prawda naukowa, którym leży również na sercu rozwój polskiej nauki historycznej. Na tej płaszczyźnie winni spotkać się przy warsztacie pracy wszyscy historycy dobrej woli. Jesteśmy przekonani, że owocna współpraca zjednoczy ogromną większość historyków polskich pod hasłem prawdziwego, pełnego rozwoju nauki polskiej. Pragniemy posunąć ją mocno naprzód, przy zachowaniu bez szwanku całego jej dotychczasowego dorobku, wszystkich naukowych wartości, godnych pełnego uznania, jakie dotąd zdołała wytworzyć. Wierzymy bowiem głęboko, że właśnie połączenie gruntownej znajomości materiału faktycznego z zastosowaniem właściwej, płodnej i twórczej metody badawczej zapewni świetny rozwój naszej nauce historycznej.

Kazimierz Piwarski

III NAUKOWY ZJAZD ZWIĄZKU KÓŁ POLONISTYCZNYCH

I

III powojenny Zjazd Naukowy Związku Kół Polonistycznych Polskiej Młodzieży Akademickiej, który obradował w Łodzi w dniach od 30 października do 3 listopada 1948 roku, odbił się szerokim echem w prasie. Ta obfitość wypowiedzi ukazujących się na łamach najpoważniejszych czasopism społeczno-literackich świadczy, że zjazdowy krąg polonistycznych zagadnień doniosłością swą przekracza ramy środowiska studenckiego, stanowiąc ważną część ogólnej problematyki kulturalnej. Sam zaś fakt trzeciego już zjazdu naukowego dowodzi, że z wszystkich dyscyplin humanistycznych na naszych uniwersytetach postępowy ruch umysłowy najżywszy jest jednak pośród młodych polonistów — nie słyszymy bowiem, by młodzież na innych kierunkach studiów zdobywała się na podobnie samodzielne manifestacje naukowe. I to zdobywała się na nie co rok, w sposób ustalający już tradycję, że święto umarłych dla młodych polonistów każdego roku oznacza — „święto" umarłych i umierających metod literackich.

Sprawozdawca „Twórczości", z racji swego czasowego następstwa (jego głos sprawozdawczy będzie prawdopodobnie ostatni) — może sobie pozwolić na wyliczenie poświęconych zjadowi artykułów. Podaję w porządku chronologicznym:

1. Jan Cywil — „Po zjeździe polonistów („Po prostu", nr 6/1948)
2. Jacek Woźniakowski — „Dyskusje akademickie" (Tyg. Powsz.", nr 46/1948)
3. Henryk Markiewicz — „Sporu o metodę ciąg dalszy" („Odrodzenie", nr 47/1948)
4. Kandyd — „Zjazd polonistów" („Kuźnica", nr 47/1948)
5. Maria Żmigrodzka — „Igraszki z diabłem" („Po prostu", nr 8/1948; w numerze tym znajdują się także zjazdowe głosy dyskusyjne: Tadeusza Borowskiego „Od mieszczańskiego radykalizmu do nihilizmu" oraz Wiktora Woroszylskiego „Liryka i polityka")
6. Zygmunt Lichniak — „Walka o metodę" („Dziś i Jutro", nr 48/1948)
7. Zbigniew Wasilewski — „Polonistyczne zwycięstwo marksizmu" („Wieś", nr 48/1948)
8. Maria Janion — „O eklektyzmie i obiektywizmie" („Kuźnica", nr 49/1948).

Prócz delegatów siedmiu uniwersyteckich ośrodków polonistycznych w dyskusjach wzięli czynny udział wybitni przedstawiciele nauki i publicystyki literackiej. Przemawiali także: robotnik łódzkiej fabryki włókienniczej i delegat robotniczej emigracji polskiej we Francji. Obaj, w imieniu świata pracy, głównego konsumenta dóbr kulturalnych w państwie ludowym, domagali się od zgromadzonej młodzieży polonistycznej tworzenia i kształtowania sztuki dostępnej najszerszym kręgom społecznym. Były to więc postulaty pod adresem przyszłych pisarzy, krytyków i teoretyków literatury, działaczy i polityków kulturalnych.

Trzy powojenne zjazdy polonistyczne charakteryzuje pewna ewolucja ideowa, w której widzieć należy symptomy ogólniejszych procesów: sposoby pojmowania twórczości literackiej tłumaczą się w znacznej mierze różnymi postawami ideologicznymi młodzieży w latach 1946—48. Na pierwszym zjeździe krakowskim, odbywającym się jesienią 1946 roku pod hasłem „frontem do rzeczywistości", nawiązano bezpośrednio do jej politycznych pozycji. Okazało się wówczas, że „urazy poakowskie" i powojenna niechęć do wzięcia udziału we współczesności jest cechą znacznego odłamu młodych. Zasadniczym jednak akcentem zjazdu było przezwyciężenie „emigracji wewnętrznej", czego najlepszym dowodem stało się dalsze, wcale aktywne, istnienie Związku.

To, co na pierwszym zjeździe powiedziane zostało w języku polityki, powtórzono za następnym krakowskim spotkaniem już w języku teorii literackiej. Obrady tego zjazdu były, jak je nazwano później, „piekłem teoretycznym". Zarzewiem dyskusji stał się spór między zwolennikami marksistowskiej metody badań a formalistami. Marksiści przedstawiali dzieło literackie jako specyficzny wyraz ideologii klasowej autora, formaliści negowali związki literatury z rzeczywistością, traktując dzieło jako izolowany, niezależny od niej byt.

O politycznym obliczu powojennego formalizmu pisał sprawozdawca „Twórczości" H. Markiewicz: „Formalizm, traktujący literaturę jako autonomiczny szereg kulturalny, jest w obecnej sytuacji doskonałym odpowiednikiem metodologicznym pewnej postawy ideologicznej, którą najogólniej i najspokojniej można by określić ako absenteizm, niechętne odsunięcie się od spraw dzisiejszej rzeczywistości, wyobcowanie się z niej".

Koncepcje te, dzięki sile argumentacyjnej łódzkich marksistów, zostały w dyskusjach przezwyciężone. Na zjazd łódzki nie przysłano ani jednego formalistycznego referatu.

Zwrot ku problematyce genetycznej, dokonany w ciągu 48-ego roku, odbył się niewątpliwie za przykładem marksizmu, pod naciskiem konieczności przeciwstawienia marksistowskiej interpretacji ewolucji literatury — jakiegoś innego sposobu wyjaśnienia jej dynamiki rozwojowej. Tłumaczenie bowiem owego rozwoju w obrębie izolowanego szeregu estetycznego powszechnie uznano za błąd. Na jakie bezdroża zawiodła ta konieczność przeciwników marksizmu — o tym dalej.

Ostatni rok przyniósł także inne, symptomatyczne zmiany: poloniści łódzcy, którzy w latach ubiegłych byli jedynymi przedstawicielami marksistowskiej myśli literaturoznawczej, na ostatnim zjeździe wsparci zostali przez polonistów Krakowa i Wrocławia. Można już mówić o jednolitym froncie lewicowej polonistyki, górującej nad przeciwnikami jeżeli nie liczebnością, to — jak się w obradach zjazdowych okazało — gruntowniejszą znajomością założeń metodologicznych, precyzyjniejszymi narzędziami poznania naukowego, duchem ofensywnym. Najlepszym wyrazem owej przewagi był przebieg zjazdu, który prawie bez reszty wypełnił nieustanny, frontalny atak marksistów na pozycje

starych metod literackich. Przeciwnicy nie podejmowali zgoła całościowej dyskusji, zgłaszali jedynie zastrzeżenia, że nie podobna im przyjąć ontologicznych założeń marksizmu. W rezultacie nie mogli zaprzeczyć powszechnej zastosowalności i zwartości metody marksistowskiej.

Przyczyn stosunkowej nieliczności zwolenników tej metody nie można dostatecznie wytłumaczyć samymi niechęciami ideologicznymi czy religijnymi. Winowajcą jest tu także tradycja naukowa nie dla wszystkich łatwa do przezwyciężenia. Jeżeli dodamy, że owe psychologizujące, biografizujące, mistycyzujące etc. tradycje są wspierane autorytetem i osobistym oddziaływaniem profesorów większej części środowisk uniwersyteckich — wówczas dopiero uzupełnimy obraz sił i możliwości.

II

Zjazd łódzki poświęcony był zagadnieniom liryki dwudziestolecia. O wyborze tematu zadecydowała zarówno jego ważkość, ze względu na znaczenie tej liryki, jako historycznie najbliższego zaplecza powojennej twórczości, zarówno konieczność rozróżnienia martwych i godnych przejęcia nurtów kulturowej tradycji, jak i wyzwanie rzucone w krakowskich dyskusjach marksistom. Wyzywający cieszyli się w duchu nadzieją, że marksistowska, rzekomo zbyt „gruba" metoda nie zdoła się zadowalająco uporać z materiałem liryki.

Dyskusje i referaty łódzkie przyniosły zawód tym oczekiwaniom. Trafna i precyzyjna analiza ideologii artystycznej skamandrytów ujawniła historyczną i klasową treść ich poezji. Okazało się, że i kształty poetyckie są nosicielami określonych sensów społecznych. Mimo słusznej zasadniczo oceny jakościowej nurtu skamandryckiego sprawa nowych kanonów estetycznych nie została jednak explicite dostatecznie sformułowana. Stronienie od skomplikowanych zagadnień wartościowania, właściwe wszystkim referentom i dyskutantom, było głównym niedostatkiem tak poza tym ciekawych i owocnych obrad.

Jedyną próbą utworzenia swoistej estetyki normatywnej był referat Z. Lichniaka (Warszawa) pt.: „Poezja Broniewskiego". Za wyznacznik wartości poetyckiej uznał on nurt „niepokoju metafizycznego", warunkujący rzekomo stosowanie finezyjnych środków poetyckich. Tak te fałszywe estetyczne ideały jak i wykroczenia przeciw poprawności logicznej wywodów ostro zaatakowane zostały przez lewicę zjazdową. Ze smakowaniem w metafizyce trudno walczyć — kryterium „metafizycznego niepokoju" trzeba było zostawić autorowi referatu dla własnego użytkowania.

Drugi, formalny moment wartościowania znalazł się w referacie dzięki tendencyjnie symplifikatorskiemu wnioskowaniu. Te zabiegi zostały również obnażone. Uproszczenie pierwsze polegało na rażącym swym schematyzmem podziale poezji Broniewskiego na lirykę „społeczną" i „osobistą". Po tej wiwisekcji ułatwił sobie Lichniak problem utożsamiając lirykę „osobistą" z liryką „niepokoju metafizycznego", co miało mu pomoc w stwierdzeniu, że tylko na materiale tej ostatniej rozwinąć można „alchemię słowa" i „maestrię formalną", natomiast poezja nie-metafizycznych treści dysponuje tylko ubogim zasobem środków literackich właściwych odezwom, plakatom itp. Nawet obóz pokrewny ideologicznie autorowi zaniechał obrony tez referatu.

Mimo ściśle wyodrębnionego historycznego okresu dyskusje stale obracały się wokół spraw metody, ontologii, teorii poznania. Z grubsza dzieląc, wyodrębnić można trzy grupy spornych zagadnień:

1. Sprawa monometody i eklektyzmu metodologicznego beztrosko zestawiającego zespoły sprzecznych sądów o rzeczywistości dla uzyskania „pełni" poznania, 2. sprawa koncepcji człowieka — twórcy kultury, i wy-

pływająca stąd — 3. sprawa wyjaśniania dynamiki rozwoju literatury. Zjazd stał się więc, jak poprzednie, czterodniowym seminarium teoretycznym, lub raczej, jak je wobec aktywności jednego tylko partnera przemianowano — marksistowskim.

Eklektyzm metodologiczny zastosowany w idealistycznych referatach i zrazu uporczywie broniony w dyskusjach towarzyszył omawianemu już zwrotowi ku problematyce genetycznej. Referaty opracowane na zasadzie aliażu metodologicznego — wymienię dwa najbardziej dla tego typu reprezentatywne: „O poezji Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej" (M. Skuszanka, Poznań) i „Czechowicz na tle grupy „Reflektor" (Z. Kośmiński, Lublin) — jaskrawo uwydatniły błędy i nieścisłości konstrukcji myślowych, w których równolegle budowano ciągi przyczynowości psychologicznej, biograficznej, socjologicznej. Idealistyczne w zasadzie założenia współwystępowały z rażącym naturalizmem, np. specificum poezji Pawlikowskiej wyjaśniano szczególnymi dyspozycjami psycho-biologicznej natury kobiecej, kształtowanie się stylu poetyckiego Czechowicza — faktami jego biografii.

Teza anty-marksistów, że dla uzyskania „pełnego" i „wszechstronnego" obrazu dzieła literackiego konieczne jest stosowanie wszystkich metod bez względu na to, że pochodzą one z krańcowo różnych koncepcji rzeczywistości, nie mogła długo służyć za pozycje obronne. W ostatnich dniach obrad mówiono o konieczności utworzenia katolickiej metody badań. Rąbka tajemnicy uchylił i zarazem wiele wyjaśnił Z. Lichniak, zapowiadając w sprawozdaniu zjazdowym, że w zasobie narzędzi badawczych znajdzie się także moment łaski, grzechu pierworodnego i innych dogmatów teologii katolickiej. Stosunek takiej „metody" do rygorów nauki jest co najmniej wątpliwy. Tym niemniej zapowiedziano na następny zjazd polonistyczny prowadzenie z pomocą tej broni „świętej wojny" przeciwko marksizmowi.

Spory ontologiczne, które są nieuchronną konsekwencją krytyki metod, nie mogły — rzecz jasna — zostać rozstrzygnięte na zjeździe. Można było natomiast dowieść stopnia naukowości, większej empirycznej ssprawdzalności, na jaką zezwalają metody. Ta próba, dokonana na zjeździe, wypadła zdecydowanie na korzyść marksizmu.

Na zjeździe wyjaśniano niejednokrotnie, że żaden z teoretyków i badaczy marksistowskich z prawdziwego zdarzenia nie przeczy, iż każdy fakt literacki jest rezultatem niesłychanie skomplikowanego splotu czynników, w którym udział mają także momenty psychologiczne i biograficzne. Każdy z nich natomiast stara się sprowadzić udział tych momentów do właściwych im wymiarów, za nić przewodnią badania przyjmując linię dynamiki społecznej. Jej poprawna analiza dopomaga do wyrwania się z błędnego koła przyczynowości psychologicznej, pozwalając odkryć w mgławicy splątanych i niejasnych stosunków — czynnik zasadniczy i podstawowy.

Fałszywe wnioski, do jakich doprowadziły autorów prac o poezji Broniewskiego i o ewolucji poetyckiej grupy Żagary-Piony abstrakcyjne rozważania o osobowościach twórczych wyciętych z ich społecznego kontekstu, sprostowane zostały w koreferatach marksistowskich.

Traktowanie dynamiki rozwoju poetyckiego jako wyniku całkowicie uniezależnionych od rzeczywistości społecznej prywatnych przeżyć autora niewątpliwie nie pozwala na właściwe zrozumienie rozwoju twórczości literackiej, a wydaje ją na łup dowolnych machinacji i fantasmagorycznych domysłów. Przeoczony zostaje cały społeczny sens i rodowód poezji jako ideologicznego wyrazu sytuacji społecznej twórców.

Ubocznie i na marginesie głównych obrad pojawił się referat o dy-

daktyce poezji w nauczaniu szkolnym, który nie wywołał rzeczowej dyskusji. To stałe — w perspektywie trzech zjazdów — usuwanie problemów pedagogicznych w cień jest poważnym niedostatkiem młodej polonistyki. Jest także odbiciem struktury studiów polonistycznych, o których uzawodowieniu mówi się od dawna i bez skutku.

III

Poprawnej marksistowskiej interpretacji dynamiki rozwoju poetyckiego dokonali autorzy pracy (Maria Janion — Maria Żmigrodzka — Tadeusz Drewnowski) o poezji pięciu czołowych poetów Skamandra: Tuwima, Iwaszkiewicza, Słonimskiego, Wierzyńskiego i Lechonia, od ich wspólnego debiutu w „Picadorze" (poeci drobnomieszczańskiej codzienności), poprzez rychłe rozłączenie dróg poetyckich i kryzys artystyczny w okresie wzmożonych ruchów społecznych i różnicowania politycznego inteligencji — do odległych postaw klerka, liberała i faszysty w przededniu drugiej wojny światowej. Tak wytyczony kierunek rozwojowy grupy poetyckiej ma swój początek i sprawdzian nie w dowolnych domysłach i ulotnych złudzeniach badacza, lecz w obiektywnej rzeczywistości społecznej.

Omawiany referat obalił także insynuację, jakoby w obrębie tej metody mieściło się jedynie badanie sfery ideologicznej utworu przy zupełnym zapoznawaniu jego formalnego kształtu. Przyjmując za zasadę badania pojęcie dialektycznej jedności treści i formy, autorzy objaśniali pewne zjawiska formalne wyższego rzędu, np. schemat sytuacyjny liryki erotycznej, typ anegdoty u Tuwima, ich rodowodem w sytuacji społecznej. Najskrupulatniej też — w stosunku do autorów innych prac — uwzględnili oddziaływanie tradycji i konwencji literackiej.

Oceniając poziom referatów i dyskusji przyznać trzeba, że z dwóch ścierających się na zjeździe stron marksistowska wykazała lepsze przygotowanie teoretyczne w dyskusjach i bardziej konsekwentne realizowanie dyrektyw metodologicznych w referatach. Nikt nie brał i nie bierze tej przewagi za skutek nierównomiernego rozłożenia talentów. Strona przeciwna dysponuje niemałą grupą zdolnych ludzi. Jej kryzys, jej dezorientacja, jej słabość jest bankructwem światopoglądu, jest kompromitacją metod nie wytrzymujących krytyki faktów.

Eklektyzm stanowi nie tylko — jak pisze M. Janion — „aktualny metodologiczny manewr odwrotowy antymarksistowskiego odłamu młodej polonistyki". W kategoriach zjawisk społecznych jest on następną fazą rozwojową ideologii grup młodzieżowych, które rok temu jeszcze nie chciały wyjść poza formalistyczny absenteizm. Wolno w tym widzieć akt akcesu tych grup do rzeczywistości. Z rozdroża eklektyzmu ścieżki prowadzą w różnych kierunkach. Ci, którzy pojmą element naukowego postępu, zawarty w nowatorskim kierunku marksistowskim, przejdą na jego pozycje i wezmą udział w budowaniu wiedzy o literaturze odpowiadającej stopniowi naukowego rozwoju i potrzebom socjalistycznego społeczeństwa. Innym — nikt nie odbierze prawa do zadowalania się naukową starzyzną. Muszą tylko pogodzić się z tym, że będzie się im wytykać ich żółwi chód za nauką i postępem.

Jak na razie — przeciwnicy marksizmu w ostatnich dniach sporów zróżnicowali się poglądami. Jedni zapowiadali socjologiczną, ale nie marksistowską metodę badań literackich, drudzy wspomnianą już metodę katolicką. Byli i tacy, którzy obstawali przy eklektyzmie.

Czwarty zjazd polonistyczny w Warszawie pokaże, czy osiągnięcia będą równie dobre jak zapowiedzi. Tematem tego zjazdu będzie proza powieściowa dwudziestolecia.

Andrzej Wasilewski

TWÓRCZOŚĆ POLI GOJAWICZYŃSKIEJ

POLA GOJAWICZYŃSKA: *Powszedni dzień* (1933), *Ziemia Elżbiety* (1934), *Dziewczęta z Nowolipek* (1935), *Rozmowy z milczeniem* (1936), *Rajska jabłoń* (1937), *Słupy ogniste* (1938), *Dwoje ludzi* (1938). — *Krata*. Powieść. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", Warszawa, 1945; str. 207 i 1 nl. *Stolica*. Warszawskie Towarzystwo Wydawnicze, Warszawa, 1946; str. 301 i 3 nl. *Dom na Skarpie*. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", Warszawa, 1947; str. 160.

I

Lata międzywojenne w Polsce były tragicznym okresem przechodzenia od postępu ku wstecznictwu, od rządu Lubelskiego do jawnego faszyzmu. Silna i namiętna walka między endecją a partiami rewolucyjnymi, która w pierwszych latach XX wieku i w czasie pierwszej wojny światowej pozwalała optymistycznie patrzeć w przyszłość, przeszła w fazę ustępstw, wycofywania się i prób ugody. Wprawdzie istnieli więźniowie Berezy, wprawdzie strajki i represje świadczyły ciągle o żywotności idei i bezkompromisowości jej prawdziwych wyznawców, ale w państwie zapanował „porządek", który dobry obywatel winien był co najmniej uznawać, jeśli nie był na tyle państwowo-twórczy, aby popierać go czynnie pracą w pamiętnym B. B. W. R. i Ozonie.

Dzieje inteligencji polskiej tego okresu są dziejami tragicznymi. Właściwie zrozumiałe było jej pragnienie aprobowania za wszelką cenę samego faktu niepodległości i wolnej ojczyzny, cokolwiek by się w niej działo. Wynikało to z długoletnich tęsknot, z długoletnich nienawiści do rządów zaborczych, z przekonania, że każda forma niepodległości jest lepsza od niewoli. Było też skutkiem zmęczenia i tęsknoty do pokoju. Skłonność do łatwych ustępstw mogła też rodzić się z braku orientacji politycznej, ze złej oceny postaci i roli Piłsudskiego, z wygodnej wiary w ładne hasła, które zwalniały od samodzielności myślenia. Jedną z najbardziej uderzających cech tego okresu jest właśnie łatwa kompromisowość, nie wymagająca radykalnych decyzji i postępków. Kompromisowość ze skłonnością bardziej na lewo lub bardziej na prawo, często zależna od sympatii dla przewódców partii, czasem związana z tradycjami środowiska, zawsze łatwa do usprawiedliwienia trudnościami koniunktury gospodarczej i politycznej.

Brak jakiejś zdecydowanej postawy, wynikająca stąd jałowość w dziedzinie kultury, znalazły symptomatyczny wyraz w najpoczytniejszym wśród szerokich kręgów inteligencji czasopiśmie — *Wiadomościach Literackich*. Dobrze redagowane i żywe pismo zamiast o swobody polityczne walczyło o nieskrępowaną niczym swobodę erotyczną, w miejsce rewizjonizmu historycznego i politycznego propagowało dosyć sensacyjny rewizjonizm literacki. Tak zwane „odbrązawianie" nie było próbą nowego spojrzenia na twórczość ani na rolę pisarza w społeczeństwie, chodziło tu tylko i jedynie o zniszczenie mitów rozsnutych wokół postaci twórców, o pokazanie prawdy psychologicznej żywego człowieka. Nad problematykę przekładano ciekawostki, zamiast dyskusji o prawie do swobody myślenia i wyznania zajmowano się zacofaniem kleru i reglamentacją urodzin. Jeśli spojrzeć na te sprawy dzisiaj z historycznego punktu widzenia, trzeba przyznać, że w trudnej atmosferze zacofania, w jakiej niewola pozostawiła Polskę, wszystko to było też potrzebne. Wnosiło pewien niepokój intelektualny, stanowiło jakąś formę walki z wstecznictwem i drobnomieszczańskim ideałem życia. Było jednak ucieczką przed zdecydowanymi rozstrzygnięciami i śmiało określonym poglądem na świat.

Równie kompromisowe były postulaty krytyki literackiej, domagającej się „nowego realizmu". Chodziło tu przede wszystkim o jednostkową prawdę wewnętrzną człowieka, o pokazanie jego świadomości

i „podświadomości", o szacunek dla „osobowości", która ma prawo domagać się za wszelką cenę pokoju na świecie, gdyż rości sobie prawo do pełnego życia i „wyżycia się". Humanitaryzm tego okresu odziedziczył wiele z filantropii poprzednich pokoleń. Umiał się rozczulać nędzą nieślubnych matek, umiał wołać głosem często zbyt histerycznym o ubóstwie suteren, ale nie widział środków zaradzenia złu. Śledząc objawy, cofał się przed wykryciem przyczyn. Cała apoteoza „szarego człowieka" była w dużej mierze takim rozgrzeszającym rachunkiem sumienia, taką usprawiedliwiającą samą siebie dobrocią, która spłaca to, co komu należy. „Szary człowiek" nie był określony żadną przynależnością klasową. Czasem występował w roli skromnego urzędnika, nękanego kłopotami finansowymi i bezrobociem, kiedy indziej reprezentował stan rzemieślniczy, rzadko przemawiał w imieniu robotników. Był to znowu przede wszystkim „człowiek jako taki", zgnębiony życiem, pozbawiony prawa do pełnego „przeżycia" swego — chociaż żałosnego, ale jedynego i niepowtarzalnego — istnienia.

Realizm ówczesny gubił się w szczegółach codziennego życia, roztkliwiał skromnym „menu" obiadowym, podpatrywał drobne porażki pożycia małżeńskiego i wyraźnie skłaniał się do fizjologizmu i naturalizmu. Problemem stawała się „pierwsza krew", szczegółowo opisywano doznania erotyczne szarego człowieka, z upodobaniem śledzono zaburzenia psychiczne i stany chorobowe. Temat „szarego człowieka" był właściwie bardzo ubogi, trudno tu było o głębszą problematykę, o bogactwo zagadnień. Na pomoc przychodził kontstruktywizm. *Całe życie Sabiny* opowiedziane od początku do końca było już znane aż za dobrze, a więc Boguszewska rozpoczęła powieść od chwili zbliżającej się śmierci. Wówczas łatwiej o dreszcz zaciekawienia. *Państwo Kowalscy* opowiadali o swym życiu w formie krótkich pogadanek. Efekty burzy i wiatru urozmaicały jakże banalną historię zazdrości w książce Choromańskiego.

Konstruktywizm miał z pewnością głębsze przyczyny, był wyrazem schyłku kultury mieszczańskiej i krzewił się w tym okresie bujnie w całej Europie. U nas przyjął się łatwo i wyrodził szybko w manierę właśnie przede wszystkim dlatego, że był jednym z „chwytów" pokrywających ubóstwo problematyki. W powieści społecznej, w powieści, w której paralelizm wątków jest usprawiedliwiony bogactwem tła i akcji, był potrzebny i organicznie związany z tematyką. W powieściach Kuncewiczowej stawał się sztucznym urozmaiceniem, „nadbudówką formalną", bo w obu paralelnych motywach chodziło przecie o pokazanie „szarego człowieka" i jego komplikacyj psychicznych.

Życie i psychika szarego człowieka, pozbawione jakichś szerszych widnokręgów, ogołocone z powiązań z problematyką społeczną, są czymś ponurym i beznadziejnym. Stąd rodził się przytłaczający pesymizm, który nigdzie nie znajdował ratunku. Pesymizm ten wyrażał się często w przykrych formach sentymentalizmu, nadużywał melodramatycznych efektów, chcąc w ten sposób wzruszyć czytelnika i jakoś coś zmienić. Ale jak? Krytyka istniejącego stanu była najczęściej formą obrony porządku społecznego i politycznego, dlatego nie docierała do przyczyn i źródeł zła, poprzestając na stwierdzeniu i opisie objawów. „Nowy realizm" żądał więc dokładnej obserwacji codziennego życia, szczegółowych analiz psychologicznych, wierząc że tędy prowadzi droga do połowicznych reform.

Na tym bardzo beznadziejnym tle wyróżniali się ci pisarze okresu międzywojennego, którzy nawet przyjmując i uznając za własne postulaty „nowego realizmu" umieli bądź to poszerzyć i pogłębić problematykę swych utworów, bądź też wyjść poza drobnomieszczański kult „szarego człowieka".

2

Pola Gojawiczyńska, pisarka związana bardzo silnie z ówczesnymi prądami literackimi, wychodziła przynajmniej w niektórych swych utworach poza skromne postulaty „nowego realizmu". Zaczęła twórczość od zbioru opowiadań — *Powszedni dzień*, których tytuł, określając zamierzenia autorki, wskazywał wyraźnie kierunek jej drogi pisarskiej. Zarówno ten tom jak i następna powieść *Ziemia Elżbiety* opowiada o wydarzeniach rozgrywających się na terenie Górnego Śląska. Wprowadzenie problematyki narodowościowej i zagadnień społecznych dało *Ziemi Elżbiety* konkretne tło, na którym losy szarych ludzi uzyskały głębszy i prawdziwy sens.

Już ten pierwszy duży utwór Gojawiczyńskiej zdradza pewne typowe właściwości techniki pisarskiej autorki. Występuje tu wyraźnie zainteresowanie problematyką społeczną, które wprawdzie nie zmierza ku zdecydowanym rozstrzygnięciom i konse-

kwentnemu wyciąganiu wniosków, ale jest żywą uczuciową reakcją na sprawy raniące poczucie sprawiedliwości i sensu życia. W *Ziemi Elżbiety* problematyka społeczna nie stanowi osi utworu, autorce chodzi o zarysowanie tła obyczajowego, o przedstawienie ciekawych postaci, zrośniętych z tamtejszymi warunkami życia i środowiskiem, lecz problematyka ta rodzi się z kilku mocnych obrazów, które — zdradzając prawdę obserwacji — świadczą o emocjonalnym stosunku autorki do opisywanego życia.

K. Czachowski w *Obrazie współczesnej literatury polskiej* (t. III) zarzuca pierwszej powieści Gojawiczyńskiej, że „...wymowa społeczna zakończenia jest mechanicznie doczepiona do niezwiązanej z nią niczym akcji powieściowej". Jest w tym sądzie pozór słuszności, bowiem istotnie *Ziemia Elżbiety* ma raczej charakter epickiej opowieści, pozbawionej silniejszych akcentów społecznych. Świadczy to jednak właśnie o tym, że autorka nie wychodzi z gotowych koncepcyj i że zajmuje postawę obserwatora, który żywo reaguje na pewne niepokojące objawy życia społecznego. Taki właśnie stosunek tłumaczy to, że powieść ku końcowi nabrzmiewa akcentami buntu i goryczy, że spokojni i pracowici górnicy stają się w okresie bezrobocia rozgoryczonymi buntownikami, którzy gotowi są pójść wszędzie tam, gdzie dymią kominy fabryczne. Dopiero nędza i brak żywności dla głodnych dzieci sprawiają, że ci spokojni ludzie zaczynają dostrzegać fałsz i obłudę haseł, jakimi ich karmiono, że odczuwają krzywdzący i lekceważący stosunek sfer uprzywilejowanych. Ostatnie strony powieści są jednym z silniejszych oskarżeń, jakie pisarze lat międzywojennych rzucili w obronie robotników. Siła tych zarzutów tkwi nie w logicznej argumentacji, lecz właśnie w żywym poczuciu dojmującej krzywdy, w ludzkiej solidarności ze słabszymi i wyzyskiwanymi.

„Cóż im dał świat — pisze autorka — he, he, cywilizacja, kultura — itepe? Cóż to im dał? Przechodzili koło lśniących witryn sklepowych i ujrzeli swe osoby w wielkich szybach. Wszystko najgorsze, co ma handel, sztuka, nauka! Ogryzki, odpadki! Wydasz ciężko zapracowane grosze na tandetny garniturek, który ci za pierwszym deszczem zzielenieje, niczym trawa, skurczy się i z „szykownego" w mig zrobi się łachman. Masz tu najgorszy gatunek mąki, najgorszy cukier, najohydniejsze ochłapy mięsa. Masz tu wszelakie kostki na zupę, proszki na leguminę, palony groch i żyto na kawę. Ze szpalt gazetki wyleje się na twą głowę żądną mądrości cały kubeł plugastwa i nienawiści partyjnej. Pójdziesz swe krzywdy ofiarować Panu Bogu, a tu usłyszysz, w jakim to ogniu piekielnym będziesz gorzał jeszcze po tej straszliwej wędrówce ziemskiej. Wyliczą ci na dokładkę, jaka kolekta dziś będzie — masz dać, jeśliś chrześcijaninem. Zabrzmi radio w świetlicy i między jedną a drugą piosenką modną a miauczącą opowiedzą ci rzecz o tobie samym — o tobie Francku, Gustliku, Alojzie. Naśladując twoją wymowę i twoje obyczaje, twoje przypuszczalne myśli i sądy, człek uczony, twój „przyjaciel radiowy", ukaże cię w grubej dykteryjce „zdrowo i jędrnie", aż wybuchniesz gromkim śmiechem, zanim się spostrzeżesz, że to o tobie mowa, że zrobili z ciebie głuptaka, bułę, durnia i filuta".

W żadnym ze swoich późniejszych utworów autorka nie rzuciła tak ostrego i bezkompromisowego oskarżenia, może dlatego, że osłabiała siłę swych zarzutów zainteresowaniami psychologicznymi. Bronka z *Dziewcząt z Nowolipek* i *Rajskiej jabłoni* umie dostrzegać fałsz życia, krytykuje mocno i dosadnie poczynania różnych towarzystw opieki społecznej, widzi zdradę Ignacego, który rozbija jedność związków zawodowych — ale ostrze jej krytyki zostaje stępione przez jakiś dziwny, anarchistyczny stosunek do życia. Gojawiczyńska w postaci Bronki stworzyła typ urodzonej nihilistki, człowieka bezsilnego wobec własnych instynktów, który gubi się i szamoce w poczuciu „zła istnienia". Bronka sama marnuje swe życie i młodzieńczą miłość Ignacego. Bronka — mamy to przekonanie — w każdym ustroju byłaby niezadowolona i zbuntowana. To Bronka właśnie według dość niefortunnego sformułowania autorki „rzuciła swego trupa wewnętrznego, którego przecież czuła, że nosi w sobie, na jego głowę, na jego rachunek, na jego konto". Dlatego jej ostre słowa i krytykę ustroju można traktować także jako wyraz chorobowych stanów psychicznych.

W ogóle wymowa ideologiczna *Dziewcząt z Nowolipek* została osłabiona przez nadmierny patos. Gdy Cechna, jedna z bohaterek powieści, tuli do piersi buteleczkę z niedonoszonym płodem i szepcze płacząc — „mamo, nie mogłam pozwolić, by wyrzucono je na śmietnik, mamo..." — to jesteśmy już nie o krok, ale w samym sednie melodramatyzmu. Tego melodramatyzmu, który kazał na scenie starcom rwać włosy z gło-

wy, a czułym kochankom patetycznie umierać z powodu zdradzonej miłości. Franka i Bronka z Nowolipek też umierają groźnie i patetycznie. Pierwsza zabita przez córkę ukochanego mężczyzny — druga kończąc bezimiennym samobójstwem na ulicy. Melodramatyzmem tchnie pozornie tragiczna postać Marii, pięknej dziewczyny o rudych włosach, zakochanej w tajemniczym panu i usychającej z miłości nad skromną maszyną do szycia. Wieje on z ponurej izdebki Czarnej Wikty obarczonej małym bratem idiotą i pozbawionej możności normalnego zaspokajania instynktów. Wybucha z kontrastowych zestawień marzenia o życiu i „prawdy" życia zamkniętego między rogiem ulicy, po którym krążą „te dziewczyny", a światem dostatku, fałszu i filantropii.

Melodramatyzm *Dziewcząt z Nowolipek* ma charakter społeczny, jest tą formą tendencyjności, która nie przemawia do rozumu i nie perswaduje, lecz bije pięścią w stół a nawet histerycznie krzyczy. W uniesieniu gniewu, choćby najsłuszniejszego, łatwo popaść w przesadę. Można wówczas traktować prostytutkę jako najbardziej pokrzywdzonego członka społeczeństwa, można każdą zdradę mężczyzny uznać za wynik złego ustroju społecznego. Można wreszcie dojść nawet do tego, że wszelkie nieporozumienia erotyczne mają głębokie uwarunkowanie społeczno-ekonomiczne. Gojawiczyńska w *Dziewczętach z Nowolipek* zatrzymuje się zaledwie o krok od takiego postawienia sprawy. W powieści jej istnieje niewątpliwy patos, ale jest i budzące szacunek pragnienie odkrycia przyczyn zła i cierpienia, bowiem taki nieco histeryczny krzyk rodzi się tu z głęboko ludzkiego współczucia, z rzetelnej chęci zaradzenia i pomocy.

Charakterystyce rzeczywistości zawartej w *Dziewczętach z Nowolipek* na pewno można by wiele zarzucić. Jest ona nie tylko fragmentaryczna, ale i częstokroć fałszywa. Ustala niewłaściwe proporcje zjawisk, ocenia rzeczywistość zbyt ciasnymi sądami niedokształconych półinteligentek, miesza kryteria emocjonalne z poznawczymi, wikła sprawy czysto instynktowych potrzeb kobiety z porządkiem ustrojowym i społecznym. Naiwne wydaje się złudzenie, że ustrój jest winien nawet cierpieniom intymnie osobistym, typowo inteligenckie jest wyolbrzymianie spraw erotycznych do roli ocen mierzących sprawiedliwość porządku społecznego. Melodramatyzm zawsze prowadzi do zniekształcenia perspektyw. Wyolbrzymia rzeczy małe, pomija wielkie, godzi w mniej istotne, pozostawiając na uboczu to, co domaga się surowego sądu.

Ocenie poznawczej przeciwstawia się jednak w tej powieści wyraźna ocena emocjonalna, mierząca rzeczywistość kryteriami moralnymi uczciwego człowieka. I ta ocena — co stanowi duży sukces pisarki — jest słuszna i jest przekonywająca. Chętnie przyznajemy autorce prawo nawet do zmiany normalnych perspektyw, chętnie godzimy się nawet na przesadę i patos, bo gdzie jest krzywda, tam należy wołać o pomoc, choćby głosem zbyt silnym i podrażnionym. I to jest zasługą Gojawiczyńskiej, że wyszła poza skromny obiektywizm „nowego realizmu" i nawet, rezygnując z umiaru artystycznego, przemówiła głosem oskarżyciela i krytyka międzywojennej rzeczywistości. Pokazała tragiczną dolę dziewcząt urodzonych w suterenach, które napotykają w życiu bądź ohydny wyzysk, bądź upokarzającą filantropię. Wskazała na wyraźne pokrewieństwa między małomieszczańskimi formami bytu inteligencji a tęsknotą rodzin rzemieślniczych do takich sytych i układnych kształtów egzystencji. Wydobyła tragiczny motyw tego okresu, który sądził, że „nigdy nie będzie całkowitego święta zmartwychwstania" i że strach przed śmiercią „kończy wszelkie braterstwo między ludźmi."

W *Słupach ognistych* autorka próbowała krytycznie przedstawić właśnie te sfery uprzywilejowane, przeciw którym buntowała się z oddalenia Bronka. Można było przypuszczać, że wprowadzając Piotra, człowieka bez wykształcenia i „niewiadomego pochodzenia", posłuży się tą postacią, jak np. zrobił Stendhal w *Czerwonym i czarnym*, dla tym ostrzejszej, bo dokonywanej przez „intruza" krytyki. Piotr miałby wiele danych po temu. Był człowiekiem nowym w tym środowisku, wnosił początkowo dużo zapału i dobrej wiary, mógł nie będąc związanym z żadną z grup uprzywilejowanych właśnie powiedzieć trafnie i po prostu, co sądzi o tych metodach zdobywania władzy i pieniędzy. Gojawiczyńska jednak nie podjęła tego sposobu krytyki. Zamiast bardzo przydatnego w powieściach o charakterze społecznym bohatera pozytywnego, bohatera, który góruje bądź to postawą moralną, bądź przynajmniej, jak u Stendhala, wyostrzonym zmysłem krytycyzmu—autorka przedstawiła człowieka wykolejonego. Piotr robi karierę, Piotr traci wszelkie skrupuły w pogoni za władzą i dobrobytem, wreszcie popełnia nadużycia i przechodzi w więzieniu jakiś skomplikowany, pseudo-tołstojowski proces „odrodzenia" moralnego. Dość

żałosna i banalna psychika karierowicza na pewno nie zasługiwała na skrupulatną pieczołowitość autorki, lecz przypiszmy to wymaganiom epoki, która tak bardzo pragnęła wnikać w tajniki psychiczne.

Gorszy jest fakt, że tak zbudowana postać zniweczyła wartość społeczną utworu. Bo nie wiadomo, czy należy cenić społeczeństwo, które dopuszcza do najwyższych stanowisk człowieka mogącego się wykazać tylko własnymi, a nie odziedziczonymi prawami, które ceni nie dyplomy, lecz zdolności i energię, czy też właśnie ostrze satyry autorki godzi w taki liberalizm, wykazując smutne konsekwencje nadmiernej tolerancji. Piotr wykorzystał wszelkie ułatwienia bez żadnych skrupułów, Piotr zdobył sygnet wchodząc w środowisko arystokratyczne, Piotr przewyższył swych kompanów bezczelnością i karierowiczostwem.

Czy ten rodzaj „awansu społecznego" był jedynie możliwy w tamtych okolicznościach? Powieść nasuwa i takie pytanie. Ale niesposób na nie odpowiedzieć. Bohater Gojawiczyńskiej miał za mało cech uczciwego człowieka, aby można było ustrój obarczać odpowiedzialnością za jego żałosne losy wykolejeńca. Piotr w każdych warunkach próbowałby robić karierę i w każdym ustroju w końcu dostałby się do więzienia. Konflikt, który wyglądał początkowo na zasadniczy dysonans między nieprzeciętną jednostką a wadliwą organizacją ustroju, został sprowadzony do banalnych i w gruncie rzeczy jałowych nieporozumień między policją i zręcznym przestępcą.

W powieści tej Gojawiczyńska podjęła i inne ciekawe zamierzenie, które okazało się ponad jej ówczesne możliwości twórcze. W postaci Piotra wyrażała protest przeciw banałowi „szarego człowieka". Była to niewątpliwie próba wyjścia poza „nowy realizm", próba stworzenia tragicznej psychiki, której droga rozwoju zamykała się między zbrodnią a „odkupieniem przez mękę". Autorce nie udało się jednak stopić w postaci Piotra tych zbyt różnorodnych elementów. Bohater okazał się za mały, nie budził wiary w możliwość wielkich wzlotów, był raczej na swoim miejscu wówczas, gdy kupował „antyki" i sprowadzał podejrzane kochanki. Miał w sobie za wiele cech Nikodema Dyzmy, aby w przekonywający sposób zejść ze sceny jako człowiek „oczyszczony".

Słupy ogniste są utworem, w którym tylko pewne wyraziste fragmenty świadczą o talencie i zmyśle obserwacyjnym Gojawiczyńskiej. Są zresztą konsekwentnym etapem w rozwoju jej twórczości, gdyż realizują tęsknotę autorki do tworzenia wybitnych indywidualności. Tylko że postacie jej poprzednich utworów, mniej romantycznie tragiczne, były bardziej ludzkie i bardziej prawdziwe. Może dlatego, że autorka przedstawiała pewien powtarzający się typ kobiecy, któremu umiała nadać wyrazisty kształt literacki. Agnieszka z *Ziemi Elżbiety* i Kwiryna z *Dziewcząt z Nowolipek* i *Rajskiej jabłoni* są bardzo sobie bliskie. Obie niesłychanie zaborcze i zaradne, umieją pracować i gromadzić dostatki. Kierowane silnym instynktem władzy i posiadania nie mają zrozumienia ani dla słabości, ani dla lęku przed grozą życia. Właściwie w ogóle nie rozumieją ludzi innych, tak są zamknięte w kręgu własnych zainteresowań i namiętności.

Wartość literacka tych postaci jest tym większa, że są one zbudowane niezwykle konsekwentnie, a wszelkie ich konflikty z otoczeniem wynikają z istotnych cech charakteru. Pełen powagi i napięcia dramatycznego konflikt między Kwiryną i Romanem jakże daleko odbiega od tradycyjnych małżeńskich nieporozumień erotycznych. Istotę jego stanowi tak rzadko dostrzegana przez pisarzy odmienność postaw wobec życia. Roman jest człowiekiem uczuciowym, typowym humanitarystą lat dwudziestych, który „przeżył" wojnę i nie może pogodzić się z żadną nędzą i cierpieniem. Ten trochę wykolejony idealista czyni dobrze wokół siebie, raduje go każdy uśmiech wdzięczności. Nie chce niczego zmieniać, ale pragnie we własnym skromnym zakresie pomagać ludziom. Całe życie Kwiryny jest buntem przeciwko takiej postawie. Bolesny konflikt znajduje rozwiązanie w zharmonizowaniu obu postaw. Kwiryna po śmierci Romana przyjmuje i realizuje ideał czynnej miłości bliźniego, ale wkłada weń całą swą zaradność życiową i umiejętność organizacyjną.

Agnieszka i Kwiryna, świetna postać pani Raczyńskiej, zanurzona w atmosferze dulszczyzny i nieugięta w swym zakłamaniu — to są te istotne osiągnięcia Gojawiczyńskiej, które stanowią o sukcesie jej powieści. Górują one nie tylko nad przeciętnym poziomem literatury okresu dwudziestolecia — przewyższają też konwencjonalne postacie inteligentek w powieściach autorki. Ta dysproporcja pomiędzy rzetelną prawdą postaci kobiet ze sfery drobnomieszczańskiej a konwencjonalizmem postaci inteligentek przetrwała do ostatnich, wydanych po wojnie utworów Gojawiczyńskiej. W *Stolicy* jakąś istotną

umiejętność życia i świadomość jego sensu reprezentuje pani Kamińska, która dzielnie podejmuje trud bytowania w zrujnowanej Warszawie i wiedziona głęboko ludzkim instynktem zawsze postępuje najsłuszniej. W *Kracie*, pomimo całej odmienności problematyki tego utworu, najplastyczniej występują epizodyczne postacie kobiet prostych.

Czy przyczyną tej różnicy w technice budowania postaci są jakieś klasowe sympatie autorki? Czy istotnie najbardziej pozytywnymi i artystycznie wartościowymi postaciami są te, które wcielają pełnię cech mieszczaństwa? Taką opinię sugeruje artykuł R. Matuszewskiego *Wartości realizmu pesymistycznego*. Wydaje się, że trudno byłoby tym tłumaczyć wartość artystyczną postaci Gojawiczyńskiej, gdyż autorka wszystkich ludzi swoich powieści brała ze środowiska mieszczańskiego. I kto wie, czy nie więcej cech mieszczaństwa u schyłku jego kultury zdradza rozhisteryzowana Bronka, której pesymizm jest jałowym pesymizmem negacji i niewiary, niż pełna sił żywotnych Agnieszka czy Kwiryna.

Dość rozpowszechnionej opinii o pesymizmie Gojawiczyńskiej zaprzecza wymowa jej postaci. Najciekawszymi i najpełniejszymi bohaterami są ci, którzy aprobują i kochają życie. Kwiryna, Agnieszka, pani Kamińska — tkwią w życiu niezwykle mocno, nie boją się pracy ani cierpień i umieją podołać każdemu zadaniu. Czy jest to uznanie dla ich mieszczańskich ideałów i mieszczańskich form egzystencji? Na pewno wyraża się w tym uznanie autorki dla siły biologicznego instynktu, szacunek dla energii organizującej życie w każdych warunkach i okolicznościach. To są te pozytywne cechy mieszczaństwa, których kult przetrwał od czasów pozytywizmu i które istotnie stanowiły o żywotności klasy. „Szary człowiek" literatury międzywojennej był najczęściej degeneratem wyjałowionym z żywotności i energii i zwalającym winę swych niepowodzeń na wszystkich i wszystko wokoło. Gojawiczyńska szukając jakichś wartości w życiu — w ślad za najlepszymi tradycjami literatury mieszczańskiej raz jeszcze wydobyła cechy stanowiące podstawę prężności i sił żywotnych mieszczaństwa.

W powieściach Gojawiczyńskiej występuje wyraźna sprzeczność pomiędzy niechęcią do pewnych form egzystencji mieszczańskiej i bezwiedną aprobatą wartości pozytywnych ustroju kapitalistycznego. Tendencje reformistyczne autorki nie wynikają bowiem ze zdecydowanego zrozumienia wadliwości ustroju kapitalistycznego, lecz są ciekawymi obserwacjami człowieka buntującego się przeciw cierpieniu i krzywdzie. Stąd rodzi się uznanie dla pozytywnych i przydatnych w codziennym życiu wartości, choćby reprezentowała je arystokratka; stąd dość śmiała w okresie międzywojennym niechęć wobec inteligencji, służącej wedle autorki w sposób nieudolny sprawie wyrównania odwiecznych krzywd społecznych.

3

Okres przedwojennej twórczości Gojawiczyńskiej zamyka cykl opowiadań *Dwoje ludzi* i zbiór krótkich impresji *Rozmowy z milczeniem*. Trzy powojenne utwory: *Krata, Stolica* i *Dom na Skarpie* właściwie nie wnoszą niczego nowego do twórczości autorki.

Krata stanowi typowy dla pierwszego okresu po wojnie rodzaj powieści-reportażu, w którym prawda tragicznych wydarzeń ogranicza fikcję pisarską, a indywidualność autora znajduje swobodę jedynie w interpretacji przeżyć osobistych. Gojawiczyńska korzysta chętnie z tego prawa, aby zagłębiać się w doznania swych bohaterek i śledzić spustoszenia wewnętrzne, jakie pozostawia tragiczny okres więzienia. Tutaj znowu zgodnie z całokształtem jej twórczości na plan pierwszy, obok zainteresowań psychologicznych, wysuwa się aprobata zaradności życiowej. Autorka z zainteresowaniem i uznaniem śledzi umiejętności organizacyjne więźniarek, osłabia nawet tragizm i grozę wydarzeń zbyt wnikliwymi obserwacjami pracy i życia w pralni więziennej, zbyt szczegółową relacją o skomplikowanych metodach palenia papierosów itp.

Jest to ten sam motyw radzenia sobie w trudnych okolicznościach, który jako dydaktyzm pedagogiczny przemawia z kart *Domu na Skarpie*. Dzieci urządzają sobie wspólne zabawy — dorośli lżej znoszą nędzę wspomagani życzliwością sąsiadów. *Dom na Skarpie*, jakkolwiek wydany po wojnie, najściślej ze wszystkich utworów Gojawiczyńskiej wiąże się z epoką międzywojenną. Należy bez reszty do tej mieszczańskiej literatury kształcącej, która — często wbrew świadomym zamierzeniom — stwierdza, że w każdych warunkach człowiek może być dobry i żyć znośnie, o ile nie ma zbyt wygórowanych żądań i umie zorganizować swoją biedę.

W *Stolicy* motyw zaradności życiowej wyraża zgodę autorki na nową organizację życia, ale został tak wysunięty na plan pierwszy, że przesłonił sobą jakąkolwiek szerszą problematykę. Wizja nowej rzeczy-

wistości rozpłynęła się w drobnych, codziennych troskach i kłopotach. Pomimo powiem zmienionych okoliczności życia Gojawiczyńska nie wniosła niczego nowego do tego utworu. Pozostała wierna zarówno swej metodzie tworzenia postaci, jak i apoteozowaniu pozytywnych cech mieszczaństwa. Najplastyczniej przedstawiła znowu ludzi z Woli, którzy wiedzeni trafnym instynktem szybko wracają do zwykłych form życia, utraconych z powodu wojny i klęski. Nowością jest skierowanie uwagi na pracę robotników w fabrykach i zakładach pracy, lecz tutaj Gojawiczyńska nie zdołała dać niczego ponad dość sztuczny entuzjazm i schematyczny, kronikarski opis. *Stolica* jest interesująca raczej jako dokument tragicznego i pięknego okresu, niż jako dzieło sztuki wymowne artyzmem i problematyką.

Właściwie w twórczości Gojawiczyńskiej widać nawrót do tych postulatów „nowego realizmu" okresu międzywojennego, ponad które wielokrotnie umiała się autorka wznieść, kierowana zawsze prawdziwą troską o człowieka. „Szary człowiek" bez określonej przynależności klasowej śmiało wkroczył na karty *Domu na Skarpie*; szary człowiek wprawdzie podziwia z entuzjazmem odbudowę stolicy, ale zatopiony w swych kłopotach codziennego życia nie dostrzega poza rekonstrukcją budynków śmiałego tworzenia nowych form ustrojowych. Ten sam szary człowiek sprawił, że konflikty w *Kracie* sprowadziły się do konfliktów siły i słabości, terroru i sprytu w miejsce walki o prawo do życia godnego człowieka. W takim ujęciu zatarła się rola Pawiaka jako więzienia politycznego, jako kaźni tych, dla których śmierć nie kończyła braterstwa między ludźmi, wbrew wcześniejszym opiniom autorki. W *Kracie* wszystkie więźniarki bez względu na charakter swego przewinienia zasługują na to samo współczucie. Są tylko mniej lub bardziej łatwymi we współżyciu towarzyszkami, oddają większe lub mniejsze usługi innym uwięzionym. Jest to znowu powrót do humanitaryzmu dwudziestolecia, dla którego każde cierpienie było jednakowo ważne i który propagował pacyfizm w imię prawa jednostki do spokojnej egzystencji.

Powszedni dzień i *Dom na Skarpie* — pierwszy i, jak dotychczas, ostatni utwór Gojawiczyńskiej — wykazują zasadniczy poziom możliwości pisarskich autorki, które zamykają się w kręgu spraw „szarego człowieka", codziennych kłopotów i apoteozy dzielnego radzenia sobie w życiu. Dzieje twórczości Gojawiczyńskiej mają jednak okresy śmiałych wzniesień ponad tę przeciętną poprawność, charakterystyczną dla epoki. Żywotność jej utworów rodzi się właśnie z tych śmiałych prób przezwyciężenia „nowego realizmu" i z szlachetnej postawy moralnej autorki, zawsze gotowej do wystąpienia w obronie słabych i krzywdzonych.

Ewa Korzeniewska

SYLWETKA BRONIEWSKIEGO

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI: *Wiersze zebrane*. Warszawa 1948. Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza". Str. 287 i 1 nl.

1

Warto wymienić na początku bibliografię dzieł poetyckich Władysława Broniewskiego. Wydany w r. 1925 tom *Wiatraki* stanowi debiut, łącznie z książką zbiorową *3 salwy* (oprócz Broniewskiego — St. R. Stande i W. Wandurski). Już w następnym roku ukazał się tom drugi, *Dymy nad miastem* (1926) oraz przekład poematu Sergiusze Jesienina *Pugaczow*. Z r. 1929 pochodzi poemat *Komuna Paryska*, skonfiskowany, którego jednak znaczna część została włączona do zbioru *Troska i pieśń* z r. 1932. Dopiero po siedmiu latach przerwy zjawia się *Krzyk ostateczny* (1939). Z okresu wojny i emigracji pochodzą jerozolimskie wydania nowych utworów: *Bagnet na broń* (1943) i *Drzewo rozpaczające* (1945).

Wiersze zebrane są zsumowaniem całego tego dorobku, prócz przekładów; wydanie zostało uzupełnione skonfiskowanymi fragmentami *Komuny Paryskiej* oraz *Magnitogorskiem*, wykreślonym przez cenzurę z *Krzyku ostatecznego*. Książka zamyka się sześciu najnowszymi utworami z lat 1946—1947. Nie ma natomiast opowieści poetyckiej o czasach przedwrześniowych *Bania z poezją*, drukowanej fragmentarycznie w czasopismach emigracyjnych.

2

Broniewski jako poeta nie jest wytworem środowiska proletariackiego, lecz ideologii proletariackiej w znaczeniu socjalisty-

znym. Jest to oczywiście nieobojętne rozróżnienie. Poprzednikami Broniewskiego byli ci pisarze z okresu Młodej Polski, którzy sami nie będąc ludźmi partii sympatyzowali jednak z ruchem robotniczym i wprowadzali do literatury tematy rewolucyjne oraz postacie działaczy socjalistycznych, — dla przykładu wymienię G. Daniłowskiego, A. Niemojewskiego, Marię Markowską, St. L. Licińskiego, nie zapominając oczywiście o *Płomieniach* St. Brzozowskiego i *Róży* Żeromskiego. To była raczej literatura „zapowiadająca", i dopiero utwory Andrzeja Struga można określić mianem prozy socjalistycznej. Poezja spóźniła się aż do chwili, gdy Władysław Broniewski wypełnił rolę, która wcześniej przypadła Strugowi w zakresie powieści.

Broniewski jest więc pierwszym i głównym przedstawicielem ideologii proletariacko-socjalistycznej w poezji okresu międzywojennego.

We wstępie do *Trzech salw* naszkicowana została ideologiczna strona jego twórczości: „Jesteśmy robotnikami słowa. Musimy wypowiedzieć to, czego inni ludzie warsztatu wypowiedzieć nie mogą. W bezlitosnej walce proletariatu z burżuazją stoimy zdecydowanie po lewej stronie barykady. Gniew, wiara w zwycięstwo i radość — radość walki — każą nam pisać... Walczymy o nowy ład społeczny. Walka ta jest najwyższą treścią naszej twórczości".

Odtąd poeta nieustannie przypomina sobie obowiązek przyjęty w punkcie wyjścia, — przypomina tak często, jak rzadko który poeta — i, co znamienne, nie szkodzi to wcale przystępności jego wierszy. „Credo" poetyckie Broniewskiego możemy śledzić w najrozmaitszych postaciach, bądź w formie pełnych utworów, poświęconych zadaniom sztuki poetyckiej, bądź w drobniejszych wyrażeniach i zdaniach, rozsianych w wielu utworach w ciągu całego okresu twórczości. Sporą antologię można by zebrać z tych różnych wypowiedzi, rozległych lub fragmentarycznych; — wszystkie jednak odznaczają się podobną zasadą naczelną:

Powszedniego chleba słów daj nam,
i stań przy nas, i rozkaż — bić!

(Poezja)

„Robotnicy słowa" nie tylko mają dostarczyć „powszedniego chleba słów", obowiązkiem poetów („podpalaczy serc, dynamitardów sumień, recydywistów marzenia, gniewu i entuzjazmu") jest uzbrojenie słów-wojsk w wielkość i sławę:

by się prawem stały i siłą
ponad Ziemią, Europą i Polską,
trwalsze od tablic praw Rzymu,
wyższe niż Wawel.

(Do przyjaciół-poetów)

Niesposób cytować, tyle jest tych wypowiedzi, tak zrośniętych z poezją Broniewskiego, tak widocznie koniecznych dla zaznaczenia ważności przypisywanej przez autora „robotnikowi słowa", że wszystkie niemal sprawy, sytuacje, tematy, wszystkie jego troski łączą się organicznie z funkcją społeczną poezji. Najlepszy, syntetyczny prawie wyraz tego spotykamy w tytule tomu, który mógłby być najwłaściwszym określeniem całokształtu twórczości autora: troska i pieśń.

3

Rygorystyczne uwzględnianie zasady wyłożonej w *Credo* wykluczałoby pierwiastek liryki osobistej lub tych motywów i tematów, których do „chleba powszedniego" zaliczyć nie można. Jest u Broniewskiego dążenie do podporządkowania się temu rygorowi, co widzimy chociażby w charakterystycznym usprawiedliwianiu się z wynurzeń osobistych w wierszu *Listopady:*

Ten wiersz napisałem przemocą
i ten wiersz mówi tylko o mnie.

Niezależnie od tej tendencji możemy rozróżnić w twórczości Broniewskiego dwie strefy, rozgraniczone tematycznie, przy czym granica tematu staje się tu prawie (zwłaszcza w okresie przedwrześniowym) granicą niezależności artystycznej.

Wiersze rewolucyjne, wezwania, śpiewy bojowe, opowiadania i gawędy więzienne, poezja buntu i ideologii — to główna, właściwa strefa Broniewskiego, w której poeta jest samoistnym władcą, twórcą własnego kodeksu i realizatorem własnych metod artystycznych. To, co poeta świadomie uznał za naczelny swój obowiązek, odwdzięczyło się w całej rozciągłości. Poezja „obowiązkowa" poddana pod rygor ideologiczny — przyniosła Broniewskiemu niezależność artystyczną.

Poza tą granicą spotykamy wiele wierszy wtórnych, oddźwiękowych, powstałych z inspiracji pokrewnego zespołu, z zapatrzenia się, z sugestyj towarzyskich lub książkowych, modnych zainteresowań, z drobiazgów nastroju pewnego klanu poetyckiego, które przenoszą się z osoby na osobę, z poety na poetę, jako przyzwyczaje-

ia wprawdzie nieważne, ale w danej chwi- przyjemne, w swoim zespole i okresie znawane, cenione i przeceniane. W tej trefie Broniewski był „wasalem obcej ko- ony". Mowa tu przede wszystkim o ska- nandryzmach. *Skamander* był pod wielu względami akademią poety, grupą poetycką ajbliższego języka, zaprzyjaźnioną ideolo- icznie i artystycznie. W dodatku była to rupa starsza w dziele poetyckim, grupa nistrzów w momencie, gdy niewiele od ich młodszy Broniewski rozpoczynał „start". Broniewski byłby epigonem *Skamandra*, gdy- y nie jego rewolucyjność i poczucie obo- wiązku społecznego, wyznaczającego mu emat i niemieszczańskiego odbiorcę jego iryki.

Różne *Peruny, Marzanny, Cienie, Kon- erty* z pierwszego tomu, skłonność do wy- aźnym tuwimizmem trącących *Biesów* i na- trojów „barwistańskich" (jeszcze w okre- ie palestyńskim widoczna), nawet wiersz parągrafie w bardziej już jednolitej *Troc- e i pieśni*, nawet impresje pijackie z *Krzy- u ostatecznego* wywodzą się w prostej li- ii ze *Skamandra*, nie mówiąc o wątpliw- zej genealogii takiej np. *Kabały:*

Ten walet schnie z miłości, a ty go dręczysz
wzgardą,
Dwa serca wyrwał z piersi i przekłuł
halabardą.

Tym nurtem ubocznym, jako zjawiskiem odrzędnym, nie będę się zajmował. Nie- nniej warto było go jednak wymienić z tego także względu, że w miarę po- tępu czasu maleje on; strefa „wasalna" kur- zy się i niknie prawie zupełnie z wrze- niem 1939 r. W wierszach powrześnio- wych, wojennych i emigracyjnych, tematy- zne „ja" poety rozrasta się i staje się isto- nym wykładnikiem jego poezji, jak o tym ędzie mowa w dalszych wywodach.

4

W założeniach poety, który pragnie być rybunem ludu i rzecznikiem idei, nie leży igdy autobiografizm. Toteż może się wydać jawiskiem dziwnym, że zbiorowa księga iryków Broniewskiego, spełniając właści- wie postawione przez autora postulaty, sta- e się niezależnie od nich również życio- ysem własnym poety. Ten autobiografizm wbrew woli wynika chyba z tego, że poe- a wyraża poprzez utwory nie tylko przy- ętą przez daną grupę ideologiczną po- tawę społeczną, lecz także całkowicie z nią godną postawę własną. Poeta, wyrażając siebie, wyraża grupę dokładniej i pewniej, niż gdyby musiał stylizować się, naginać pióro do wymagań ideologicznych, działać treściami dostosowanymi do koturnu try- buńskiego.

I podobnie jak niezliczone wypowiedzi Broniewskiego na temat poezji-pieśni nie rozbijają nurtu rewolucyjności jego wier- szy, ani nie hamują wyobraźni słuchacza czy czytelnika przez postawienie zagadnie- nia sztuki, również liczne motywy auto biograficzne celom jego poezji nie tylko nie szkodzą, lecz chyba dodają wezwaniom i hasłom niemało wartościowego miąższu, który poezję propagandy i agitacji czyni poezją przeżytej prawdy życiowej.

Jak wiele jest tego autobiografizmu, po- zwolę sobie udowodnić tak zestawionym cytatami z poszczególnych wierszy, by tworzyły one krótki życiorys poety. Tym bardziej to warto uczynić, że jest to zara- zem życiorys radykalnego odłamu pokole nia legionowego. Lecz posłuchajmy poety:

Stał nad Wisłą stary dom z ogrodem na wysokim wzgórzu mazowieckim. Tępo walił — czternasty, piętnasty, szesnasty Drużyniacy, siedmioklasiści, konspiracja (już było się w kozie). Kradliśmy karabiny Niemcom w dziewięćset piętnastym. Ja po- szedłem stamtąd na wojnę. Z pękniętym głupim sercem siedemnastoletnim. Jeszcze byłem zupełny szczeniak, kiedym wziął ka- rabin do garści. Dowiedziałem się, o czym milczy czarny Styr i zielony Stochód. Pod Jastkowem leży pokotem połowa Czwartego Pułku. A potem — wołyńskie Koszyszcze

Wisłą, wiatrami Mazowsza przeszumiało mi dzieciństwo i młodość. Słyszałem żywe serce bruku — ten krzyk na placu Tea- tralnym i szelest krwi plamiącej chodnik. W dwudziestym czwartym, piątym, szó- stym ja byłem w tłumie wśród masakry.

Drzwi zamknięte, drzwi okute, w wą skim oknie żelazna krata. „Towarzyszu Broniewski, napiszcie coś o celi dwudzie- stej pierwszej". Nawet mury więzienia ob- rastają poezją, jak pnączem. Siedzę z Ja- nem w trzynastej celi na Ratuszu, pośrod ku miasta. Siedzę od piątku, mogę siedzieć tak choćby miesiąc. Cóż, że nieraz smako- wał gorzko na tej ziemi więzienny chleb!

Dom mój — ruiny i zgliszcza. Siedem niemieckich granatów mój dom rozwalo we Wrześniu. Córeczko moja, ja z więzie- nia do ciebie piszę list. Co mi tam obóz więzienia, głód, poniewierka, szkorbut. Śniegiem sypie orenburski wiatr nocą na polskie namioty.

W Damaszku — jak w Zawichoście. Pa-

raduję tu w battle dressie, captain of Polish Forces.

Mieszkam tam, gdzie pieprz rośnie. Ja tu chodzę, depczę jerozolimskie ulice i gryzę palce. Co dzień koniak, tęsknota, malaria.

5

Przedwojenną twórczość Broniewskiego można rozpatrywać warstwami. Ułatwiają to w znacznym stopniu cykle-tomiki, od *Wiatraków* do *Krzyku ostatecznego*, przedzielone znacznymi odstępami czasu, w których następowało zauważalne przeształcanie się.

Warstwa *Wiatraków* jest formacją młodzieńczą, związaną z obciążeniem kulturalno-historycznym odziedziczonym po lewym skrzydle Młodej Polski. Główny nacisk pacyfistyczno-antymilitarny splata się z silnym motywem antyreligijnym. Pacyfizm odpowiadał czasom *Hymnów* Wittlina i przeciwwojennym wypowiedziom skamandrytów, motywowany jeszcze po młodopolsku hasłem miłości, którym kończą się z reguły i poniekąd zdawkowo wszystkie wypowiedzi pacyfistyczne, jak np. w *Soldat inconnu:*

ziemia
zakwitnie różą
kwiatem płomiennym —
MIŁOŚCIĄ.

Poezja buntu, zwrócona przeciw militaryzmowi i religii, wchodzi na estradę ideologii proletariackiej jako poezja-manifest i poezja-czyn, obydwie wymierzone w ustrój kapitalistyczny.

Silnie zaznaczana postawa antyreligijna wpada w ten rodzaj patosu i bezkompromisowości, którym działał Andrzej Niemojewski w *Polonia irredenta.*

Motyw religijno-społeczny w poetyckim rozrachunku przyniósł ostatecznie znacznie uspokojoną refleksję w znakomitym zharmonizowaniu z frazą poetycką w *Spowiedzi.* Zaprzeczenie chrześcijanizmu i równoczesne „uchrześcijanienie" Chrystusa — to niebanalna rekonstrukcja poetycka o przekonywającej ekspresji.

Poezja młodzieńczego buntu, rozterek i skłonności do nastrojów katastroficznych przekształca się szybko w pełny optymizm rewolucyjny *Dymów nad miastem.* Broniewski występuje jako poeta dojrzałej wiary w zwycięstwo ruchu robotniczego. Najwymowniej chyba zaznaczyła się ta postawa w wierszu *Pionierom:*

Cóż, że depczą? Cóż, że są siłą?
Cóż, że miażdżą kolbami twarz?
W mur głowami! Serca przez wyłom!
W dni Bastylię zwycięski marsz.

Pełną dojrzałość poezji rewolucyjnej przynosi dopiero *Troska i pieśń.* Poprzednie utwory wynikały jakby z improwizacji partyzanckiej, bojówkarskiej, silne nieraz w ekspresji, jak zamach lub napad, jak krzyk manifestacji lub rewolty ulicznej. *Troska i pieśń* — to działanie planowe, uspokojone, organizowanie pełne żarliwości i wiary w przyszłość. Trybun uliczny przybiera postawę stratega, nie wystarcza mu już doraźna wybuchowość, zapał pragnie uchwycić w karby obliczeń, rozbudować świadomość tradycji rewolucyjnej, odwołać się do poprzedników, wypracować skalę porównań historycznych. Coraz częściej Broniewski działa planowymi ujęciami, opowiadaniem, gawędą, nawet humorem. Z tej spokojnej atmosfery wyrosły utwory o nieprzedawnionym znaczeniu: *Elegia o śmierci Ludwika Waryńskiego, Księżyc ulicy Pawiej* — ogólnie i słusznie uznane najważniejsze pozycje w twórczości Broniewskiego.

Od *Troski i pieśni* z r. 1932 do *Krzyku ostatecznego* z r. 1939 rozciąga się rozległy okres siedmiolecia fatalnych przemian, które musiały roznieść z trudem uformowany spokój rewolucyjnego poety. Ale nie od razu. Jeszcze *Twarde ręce,* dojrzała poezja pracy twórczej robotnika, może jeden z najlepszych wyrazów poetyckich w tej dziedzinie — jeszcze spokojny, więzienny uśmiech *Magnitogorska,* aż poeta ostatecznie utraci postawę spokoju. Stąd *Krzyk ostateczny* jest formacją poezji grozy, zwątpienia, rozpaczy, przeczucia katastrofy, zjawiskiem o tyle charakterystycznym, że łączy się z ogólną tonacją prawie całej poezji polskiej w ostatnich latach przedwrześniowych. Czas, potwierdzając przeczucia poetów, usprawiedliwił ich całkowicie.

6

Całość twórczości Broniewskiego można rozłożyć na dwie kondygnacje, przedzielone rokiem 1939. Ten podział chronologiczny okaże się istotny i łatwo sprawdzalny przy zestawieniu atmosfery i artyzmu utworów. Z r. 1939 kończy się okres poezji „jeszcze młodej", nacechowanej tężyzną uczuć, która zdaniom poetyckim nadawała wyraz niezłomności, siłę wypowiedzi i wiarę w przyszłość — czego ostatnim wyrazem był *Bagnet na broń.* W parze z tym szła czujność artystyczna, domagająca się wykończenia obrazu, nieraz może nawet aż przesadnie, zwłaszcza w tematyce dla au-

tora drugorzędnej. Tak czy inaczej, były to wprawdzie utwory niespokojnej, rozpalonej głowy, ale ostatecznie, nawet mimo więziennych przeżyć poety, utwory znad spokojnego — można powiedzieć — biurka, utwory człowieka osiadłego, który znalazł czas i warunki do wnikania w drobiażdżki pracy, do cyzelowania nawet tych zestawień, które symbolizują lawę myśli, uczuć, odruchów.

Katastrofa wrześniowa i jej długotrwałe następstwa, zawiłe drogi losu poety wpłynęły modyfikacyjnie na jego twórczość. Postawa żarliwego i skupionego w swej żarliwości trybuna została zachwiana, choćby z tego względu, że nie czas było występować z „rachunkiem krzywd". Trybunę rewolucyjną należało zamienić na rów strzelecki, należało „nastroić lutnię żołnierską" („nie opuści cię polski żołnierzu/ tylko poezja polska"). Młodzieńczy niegdyś antymilitarysta, przeciwnik wojen „radość żołnierską ładuje, jak chleb i naboje do torby".

Pieśniarstwo żołnierskie to jednak inny rodzaj niż ten, w którym zaprawiał się poeta. Niewątpliwie i w tym zakresie Broniewski przewyższył wszystkich poetów emigracji nawołujących do walki i wytrwania, a jego jeden wiersz „Byleby w garści karabin, taki co w boju nie chybi, /co mi tam śniegi Syberii, co mi tam piaski Libii" — więcej znaczył niż wszystkie tomy wydane w Jerozolimie i w Londynie. A jednak nie był to rodzaj właściwy dla Broniewskiego.

Poza tym poeta podpadł pod „prawo nostalgii", rozsadzającej psychikę. Nostalgia, połączona z „kompleksem września" i późniejszymi zawiłościami losu polskiego, przybrała postać poważnej choroby, rujnującej przede wszystkim spokój myśli poety, rozsadzającej stan skupienia, tak przedtem właściwy Broniewskiemu. Nie bez znaczenia był także sposób życia żołnierskiego, daleki od formy osiadłej, zbliżony do nomadyzmu i koczownictwa.

W tych okolicznościach zrozumiała jest odmienna atmosfera twórczości Broniewskiego w okresie wojenno-emigracyjnym. Nie mogąc spełniać roli poety rewolucyjnego, Broniewski oddaje się w ogromnym stopniu nostalgicznemu „ja": „Co dzień koniak, tęsknota, malaria". Zawikłania psychiczne wpływają na szkicowość ujęć. Powstają rzeczy od ręki, wolne od laboratorium, wykończeń, cyzelowań, wygładzań. Nie chcę przez to powiedzieć, że są gorsze pod względem artystycznym, gdyż nie zawsze ścisły system pracowniany wpływa dodatnio na jakość utworów. W każdym razie są to utwory inne. I raczej dodatnio inne, jeżeli uwzględnimy, że w okresie przedwojennym strefa, do której poeta schodził z trybuny ze swoim „ja", poddana była mocno pod wpływ Skamandra. Tego w utworach emigracyjnych nie ma, przeszło bez śladu. Poeta dokonał zdobyczy artystycznej, usamodzielniając się, w sposób może partyzancki, na obszarze dawniej uzależnionym.

Przejawy nostalgii u Broniewskiego są na ogół typowe. Zamroczenie psychiki, nieustanne, na każdym miejscu i w każdym czasie, odwoływanie się do zapamiętanych szczegółów kraju ojczystego, ocena napotykanych zjawisk wyidealizowanymi sprawdzianami rzeczy krajowych, — w następstwie niedocenianie, lekceważenie, ośmieszanie nawet, jakiś ujemny stosunek do egzotyzmu, nonszalancja wobec wszystkich zjawisk obcych.

Ja nie chcę Palestyny,
Syrii, Iraku, Egiptu,
od cyprysów wolę kaliny,
wolę brzozę niż eukaliptus.
Sosny tutejsze — nie te,
kwiaty tutejsze — nie tamte,
innego przyślijcie poetę,
żeby się cieszył Lewantem.

Narastanie przypomnień: krajobrazu, ludzi, rzeczy, sprowadza do wyobraźni czasy przeszłe, nostalgia zabawia się przeglądem dawnych drobiazgów życiowych, przywołuje (najczęściej) okres i okolicę dzieciństwa, uświęca je i poddaje nieustannemu działaniu wyobraźni. Stając się naczelnym nurtem myślenia odsuwa w cień nieraz niezmiernie ważne sprawy, stwarza skłonność do życia w gestach, do uprawiania kultu przypomnień i podsycania się tęsknotą.

Wyjątkowo zdołał Broniewski oderwać się od tej postawy w wierszach bojowych, rzadziej w krajobrazowych *(Pejzaże palestyńskie)*.

7

Technika poetycka Broniewskiego jest na ogół tradycyjna, korzystająca z dobrodziejstwa wyboru różnorodnych odmian metryki, swobodna jednak, bez specjalnego przywiązania do „foremek" (w tym znaczeniu, że raczej poeta nagina wybrany układ formalny do celów treściowych, niż odwrotnie). Na pulsujący język poetycki i „dynamit" jego ujęć nie wpływa dobór schematów formalnych, ani miły autorowi dzie-

więciozgłoskowiec jambiczny, ani czterowiersze „akcentowe". O jego stylu, o energii jego poezji, porównywanej do materiałów wybuchowych, o jej właściwościach „komunikatywnych", tak chętnie przyjmowanych przez odbiorcę, wreszcie o cechach odróżniających Broniewskiego od innych poetów stanowi przede wszystkim fraza.

Budowa wiersza oparta na zdaniach krótkich i urywanych jest swoista dla Broniewskiego. Mało tego. Jego technikę można nazwać metodą trybu rozkazującego, połączonego ze zdaniami wykrzyknikowymi i pytajnymi (z wydźwiękiem wykrzyknikowym). Słusznie autor porównał swój wiersz do strzałów z manlichera, jeszcze słuszniej byłoby nazwać go serią strzałów z karabinu maszynowego.

Poezja zdań rozkazujących i wykrzyknikowych — zwłaszcza w pierwszej, przedwrześniowej fazie twórczości Broniewskiego — dynamizująca nawet wiersze historyczne (ileż wykrzykników w poemacie o Komunie Paryskiej!), w miarę wyczerpywania się energii młodzieńczej przechodzi w poezję zdań pytajnych (stąd mnóstwo pytajników w wierszach palestyńskich).

Pewną odmianą metody wykrzyknikowej są wyrażenia „klątewne", które jednak nie mają już bezpośredniej mocy dawnych wezwań bojowych, lecz są raczej materiałem zastępczym, typowo stylizacyjnym, np. w wierszu *Ze złości*:

Kochałbym cię (psiakrew, cholera!)

lub

Kochałbym cię (sto tysięcy diabłów!)
kochałbym (niech nagła krew zaleje!)

§

Stosując pewną miarę porównawczą, Władysława Broniewskiego można nazwać Niemcewiczem, Polem i Syrokomlą polskiej poezji proletariackiej — w jednej osobie.

Jako autor rewolucyjnych *Śpiewów historycznych* o Komunie Paryskiej, Ludwiku Waryńskim i Bakuninie, stał się Broniewski nauczycielem dziejów rewolucji. Fragmenty jego poetyckiego podręcznika historii zdobyły popularność, którą w pewnym sensie można zestawić z wziętością śpiewów Niemcewicza w swoim czasie.

Zestawienie z Polem wydaje się nieprawdopodobne, tak daleki jest bojowy Broniewski od rozsentymentalnionego kontuszowca. Ale nie chodzi o podobieństwo sylwetek, lecz o podobieństwo roli, o podobieństwo popularności. Najważniejsze jednak podobieństwo wynika z dużej zbieżności metod. *Pieśń o wojnie domowej*, rozdzielona czasem i tematem od *Pieśni o ziemi naszej*, w sposobie „podania" przypomina Pola, jak i niektóre inne utwory, choćby zwroty z *Pieśni Majowej*:

Znasz ty Warszawy oblicze,
jej nieśmiertelne piękno...

lub

A znasz ty Łodzi oblicze,
Łodzi złej, robotniczej,
w walce o chleb, o warsztat,
o wolność, o bruki miasta?

Wreszcie gawędy proletariacko-więzienne *Księżyc z ulicy Pawiej, Magnitogorsk* czynią z Broniewskiego Syrokomlę poezji socjalistycznej.

Oczywiście te porównania nie kładą znaku równości pomiędzy Broniewskim-artystą a tamtymi poetami. Nie wyczerpują też roli Broniewskiego, która w odgałęzieniu, określanym w okresie międzywojennym jako poezja proletariacka, jest ogromna i niemal bezkonkurencyjna. Broniewski był dla niej prawie wszystkim.

Stanisław Czernik

PAMIĘTNIK MIŁOŚCI

STANISŁAW WYGODZKI: *Pamiętnik miłości*. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", Warszawa, 1948; str. 54 i 6 nl.

I

Może nigdy nie stawało przed poezją z taką siłą jak obecnie zagadnienie stosunku między fantazją a rzeczywistością. Nie stawało z bezwzględnością tak twardo i stanowczo zmuszającą poetów do podjęcia tego problemu. Poezja nieraz żyła wśród przesądów i idiosynkrazji, zwłaszcza w zakresie spraw tzw. rzeczywistości. Chyba naczelnym przesądem, podnoszonym najczęściej do znaczenia dogmatu, jest rzekoma wyższość fantazjotwórstwa nad poetycką relacją i refleksją o rzeczywistości. Fantazjotwórstwu przypisywało się bogactwo, piękno, podniosłość, nadzwyczajność; poezji wyprowadzonej z bezpośredniej rzeczywistości — ubóstwo, szarość, przeciętność, niewielką wartość.

Gdy czytamy dziś dawniejsze wywody o poezji, stwierdzamy, z jaką siłą aksjo-

natu wprowadzano tezy o domniemanych antazjotwórczych celach poezji. Np. J. B. Vico mówi, że „wielka poezja powinna znaleźć baśni podniosłe, odpowiednie dla myslowości ludzkiej, a które byłyby zdolne wstrząsnąć do głębi słuchaczy, aby osiągnąć cel zamierzony". Wcześniejszy jeszcze Filip Sidney zdecydowanie twierdził, że „imaginacyjne przykłady bardziej pouczają niż rzeczywistość".

Czytając to czujemy, że jesteśmy w pełnej niezgodzie z podobnymi twierdzeniami. Żadna baśń chyba nie potrafi tak wstrząsnąć do głębi słuchaczy", jak najprostsze sprawozdanie więźnia z Oświęcimia, jak relacja świadka zagłady getta lub uczestnika powstania warszawskiego. Nie możemy uznać twierdzenia, że „imaginacyjne przykłady bardziej pouczają niż rzeczywistość", gdyż epoka nasza dostarczyła mnóstwa nadzwyczajnych dowodów na wprost przeciwne twierdzenie, że tzw. rzeczywistość prześcignęła najbardziej nieprawdopodobne pomysły fantazjotwórców, że nie powstała w ich wyobraźni ani jedna baśń", która by nie zbladła i ostała się wobec potężniejszej i bardziej fantastycznej wymowy faktów.

Poeta czasów dzisiejszych, o ile nie jest dobrowolnym zbiegiem z kręgu rzeczywistości, staje wobec niezwykle trudnego obowiązku: mówienia o swoich czasach „ponadfantastycznych", dania świadectwa prawdzie — przedstawienia rzetelnie, po ludzku wydarzeń nieludzkich. Może to są obowiązki ponad siły, może ich ciężaru nie wytrzyma instrument poetycki. Może o tych obowiązkach" wypada raczej mówić jako o zamiarach spełnienia obowiązku — u jednych, o zaniechaniu nawet zamiaru — u drugich. U tych w takim wypadku, jeżeli podobne uchylenie się wynika z braku siły i z poczucia nieważności własnego słowa wobec rzeczywistości.

Zawiła to jednak sprawa — stosunek poety do rzeczywistości. Mówiąc o przesądach poezji pod względem wartościowania fantazji nie mam zamiaru niedoceniać tej. Jakakolwiek relacja poety o faktach minionych, ograniczona do choćby najbardziej poetyckiego zsumowania, nie stanie się pełną poezją, jeżeli pozbawimy ją odziaływania bezpośredniej lub pośredniej refleksji. A refleksja — to rachunek oparty na projekcję w przyszłość, o koncepcję rozwiązania, wymagającą twórczego współdziałania wyobraźni. W ten sposób zazębiają się jakby dwie rzeczywistości: przeszła i teraźniejsza, będąca rzutowaniem w przyszłość. Następuje rodzaj skrzyżowania dwóch realizmów: autentyzmu (jeżeli chodzi o przeszłość) i projekcjonizmu (gdy przeciwstawia się rzeczywistości zastanej rzeczywistość inną, taką jaka być powinna).

W tych warunkach współczesna twórczość poetycka obciążona jest poważną odpowiedzialnością. Nowy tom utworów Stanisława Wygodzkiego *Pamiętnik miłości* wiąże się silniej z zaznaczonymi tutaj problemami, niż którakolwiek inna powojenna książka poetycka.

2

Przedwojenna twórczość Stanisława Wygodzkiego obejmuje trzy książki. Pierwszy tom *Apel*, wydany w roku 1933 w Moskwie (PWLP), był właściwie w Polsce nieznany, nie dotarł do krytyków ani do wykazów bibliograficznych. Toteż ogłoszony w roku 1934 *Chleb powszedni*, zawierający zresztą znaczną część utworów umieszczonych w *Apelu*, uważany był za debiut. Następna książka *Żywioł liścia* pochodzi z r. 1936.

Obydwa tomy spotkały się z przychylną oceną poważnej krytyki. Surowy nieraz dla debiutantów K. W. Zawodziński powitał *Chleb powszedni* w *Roczniku Literackim* jako dzieło „prawdziwego poety", odróżniającego się od „snobów idących na lep radykalizmu i łatwizny haseł". Hieronim E. Michalski w rozległej krytyce *Żywiołu liścia* wyraźnie podkreślił artystyczną wartość książki, zaznaczającą się niezależnie od ideologii i ujęć tematycznych.

Cechą charakterystyczną pierwszych książek Stanisława Wygodzkiego jest stanowczo postawione zadanie poezji społeczno-politycznej, w znaczeniu ideologii proletariackiej. Przy tym akcent tej twórczości był poniekąd nowy, w znacznym stopniu odmienny od tonacji rozpowszechnionej wówczas w tzw. poezji proletariackiej, której głównym przedstawicielem był Broniewski. Wygodzki wnosił żywą atmosferę proletariacką, poznaną z autopsji, z bliskiego zetknięcia się, z bezpośredniego przeżycia. Jeżeli u innych działał głównie koturn, u Wygodzkiego — zwyczajna postawa szarego raczej człowieka, cierpiącego fizycznie i psychicznie w ówczesnych zawiłościach gospodarczych, politycznych i społecznych. Poza tym Wygodzki — mniej obciążony tradycją młodopolską w swoim pojmowaniu sztuki i języka poetyckiego — łatwiej niż inni przyjmował nowe formy ujęć, nie bez pewnego zresztą poddawania się wzorom rewolucyjnych poetów rosyjskich.

Świadome ograniczanie w liryce momentu osobistego na rzecz spraw i zagadnień

o znaczeniu ogólnym, wprowadzanie raczej czynnika „on, oni", umiejętność przekładania własnych przeżyć na język problemów pozaosobistych — oto rygory, którym poeta poddawał się z pełną wolą i chęcią, chociaż nieraz widać, jak trudno przychodziło autorowi rozbrajanie własnego „ja". Idea pokojowego współżycia narodów, przeciwstawianie się propagandzie militarystycznej, obnażanie istoty kapitalizmu, a przede wszystkim cierpienia grup i jednostek pokrzywdzonych. Poezja wezwań „do wojny przeciw wojnie" i nader częsty motyw człowieka tropionego:

sądy i kary grożą mu wieczne
za przewinienia straszne i ważne,
na niebie grozi sąd ostateczny,
na ziemi grożą sądy doraźne

W tej atmosferze odczuwania krzywdy, w wypracowanej postawie bojowego sprzeciwu, zadaniem poety jest związanie się raczej z ideologią walki niż z hasłem wolnej sztuki, jak to autor zaznaczył w *Dwu kalamburach na temat wierszy* (*Apel*):

Krytyk powiada:
twój wiersz nie jest wolny
i według prawideł nie jest nawet biały.
A ja odpowiadam:
ty wciąż zapominasz, że nie będzie wolny
wiersz mój, dopóki szaleje terror biały.

Nie bez znaczenia będzie przypomnienie fragmentu wiersza *Spojrzenie na mapę*, w którym spotykamy jakby rzut oka w przyszłość:

ja ujrzałem na mapach krew płynącą miękko
pod obłokiem dymu i trującego gazu.

3

Po dwunastu latach nowa książka poety. *Pamiętnik miłości.* Niepodobna do któregokolwiek ze znanych w poezji „pamiętników miłości". Tytuł książki jest nie tylko manifestacją uczuć ojcowskich i synowskich, czy nawet rodzinnych w pełniejszym znaczeniu, lecz zakres jego jest niewątpliwie szerszy. Książkę otwiera wiersz *Urna*, który w tych okolicznościach ma charakter podobny do ekspozycji w utworze dramatycznym:

Urna ta będzie z gliny palonej
ziemi ojczystej, z Polski, z kraju.
Prochy rodziców wewnątrz trwają
i moich braci, córki i żony.

Mowa o tragedii oświęcimskiej, a więc związek poezji z przeżyciami wyjątkowymi, z faktami ponad miarę jakiejkolwiek analogii wśród znanych inspiracyj poetyckich.

Jeżeli w poezji spotykamy walkę artysty ze słowem (nie o słowo), to czasy dzisiejsze stawiają poecie szczególne trudności. Chodzi o stosunek między doświadczeniem i przeżyciem a uchwyceniem tych zjawisk przez wyraz, frazę poetycką, styl wypowiedzi. Wieczne „niedoformowanie", stała usterka dzieła sztuki musi się szczególnie wyrażać wobec zjawiających się wyjątkowych zagadnień naszego wieku. Poeta staje wobec zobowiązujących wymagań, wobec konieczności nieustannych rozrachunków z samym sobą, ze światem, z przeszłością, teraźniejszością i projekcjami w przyszłość. Obciążenie świata musi poeta uznać za własne, a własne zawikłania przetłumaczyć na język ogólny. Suma doświadczeń ujemnych i urazów jest tak wielkim obciążeniem dzisiejszego człowieka, że nie łatwo może się spod jego nacisku wyzwolić. Stąd inny niż dawniej stosunek do słowa.

W dawniejszych okresach „małych przeżyć" poeta na ogół czuł się ubogi, stawał się poszukiwaczem interesującego materiału treściowego, posiłkował się fantazjotwórstwem, gromadząc i rozbudowując zmyślenia, wypracowując poetyczność. Była to postawa ułatwionego stosunku do słowa. Poeta nie krępował się sprawą ścisłego zespolenia wyrazu z treścią-zagadnieniem, wyraz sam właściwie stwarzał coś w rodzaju zagadnienia, jakiś świat, którego sprawdzalność nie była ważna, świat zawsze usprawiedliwiony, przy największym nawet wybryku wyobraźni, gdyż w tej grze poetyckiej chodziło o pozory stwarzania, o postać przypominającą tylko jakąś rzeczywistość. Poeta mógł przyjmować tylko artystyczną odpowiedzialność za użycie słowa, jak zawsze bywa w tej sferze poezji, która nazywa się poetycznością. Tymczasem poeta dzisiejszy na dalszym planie stawia artystyczną odpowiedzialność, może zresztą pozornie — martwi się najwięcej odpowiedzialnością „w ogóle", wychodząc ze słusznego zapewne założenia, że spełnienie warunku odpowiedzialności „w ogóle" daje pełną satysfakcję odpowiedzialności artystycznej.

Taki surowy stosunek do słowa szczególnie daje się zauważyć w obecnych utworach Wygodzkiego. Autor przyjmuje tę postawę z pełną świadomością, programowo. „Powolna i bolesna strofa" — to określenie własne najlepiej chyba oddaje właściwości tej poezji.

4

Poezja epitafium i trenu jest najważniejszą częścią składową *Pamiętnika miłości*, chociaż — jak widać z układu i wykonania — autor nie postawił sobie zadania utworzenia jednolitego cyklu, w zharmonizowanej pod względem ujęcia całości, na wzór tradycyjnych trenów. Jednakże główny motyw wspomnień o najbliższych osobach wiąże bardzo silnie poszczególne utwory i przynosi ostatecznie wrażenie ujęcia poematowego.

Utwór poświęcony ojcu jest wypowiedzią o surowej prostocie zestawień, będących równocześnie portretem i dokumentem:

A gdy odjeżdżał mój ojciec w podróż ostatnią,
a gdy odjeżdżał z matką i dwoma synami,
pewnie był taki surowy ze zmarszczką na czole jak zawsze,
siwy, schylony jak wtedy, gdy czytał po raz ostatni
książki Pawła de Kruifa i wiersze Chaima Bialika.

Ale dalszy ciąg epitafium zawiera również utajone do pewnego stopnia określenie własnego stosunku do tak wyjątkowego zadania: liryzm ujęty w karby świadomego, celowo nakazanego sobie ograniczenia wypowiedzi, prawie milczenia, jako najwłaściwszej reakcji:

Ale na pewno nie wiedział, że pozostanę jedyny,
by świadczyć o jego zadumie nad sprawą życia i śmierci,
by świadczyć o głodzie serca, o bólu niemego cierpienia,
o którym mówić nie mogę, o którym mówić nie trzeba,
tak jakby ginąc mi kazał poprzez komorę gazową:
żyj i milcz i cierp.

Poeta stosuje bardzo rygorystycznie założenie, że o wielu rzeczach bezpośrednio „mówić nie trzeba". Unika świadomie „mocnych" słów, chociaż stawia sobie jako jeden z celów „biografię ciszy i pogromu, śmierci i pożogi" jako „dziejopis ludzi, butów, sukien po mych spalonych i po twoich", odsuwa od siebie jakąkolwiek postawę kaznodziejstwa, wyklucza z wierszy niejeden ważny ale ostry wyraz:

Pewnieś zauważył, przyjacielu,
żem nie napisał słowa: krew,
żem nie napisał nic o zwłokach...

lub

i pewnieś spostrzegł, że nie umiem krzyczeć,
że nie potrafię mówić głośno...

Wiersz staje się w wyobraźni i przeżyciach poety poniekąd istotą organiczną, posiadającą własne odczucie bólu i męki — jest to właśnie „powolna i bolesna strofa".

5

„Była maleńka jak wiotkie drzewko — / brzózka, jodełka, jabłonka"... „Mała dziewczynka, co dali ją w płomień, / to moja córka."... „Powróciły wiersze, jaśmin i niepokój, / ale ciebie nie ma, moja mała córko."... „dziś jeszcze ocieram ukradkiem / łzę po tej małej, biednej dziewczynce, / co dawno spłonęła w Oświęcimiu."

Motyw córki jest najgłówniejszym motywem *Pamiętnika miłości*, przewija się przez większość utworów w postaci bezpośrednich wzmianek, jak zaznaczyliśmy w cytatach, lub pośrednio przez atmosferę, w której emocja nie jest wprawdzie wyrażona — stosownie do rygoru poety, trzymającego słowo na uwięzi — jednakże treść związana z naczelnym motywem jest wszędzie wyczuwalna

Nie można pominąć trudnego dziedzictwa literackiego, trudnego, gdy się zważy wielkie imiona poprzedników i dzieła w tradycji literackiej wysoko postawione. Możliwe, że Słowacki w tym wypadku najmniej zobowiązuje, jako poeta przeżyć tylko przez wyobraźnię poznanych, poeta wnikania w obcą psychikę, raczej poetyzujący domniemane uczucia niż wyrażający własne. Wygodzkiego nie mógł zobowiązywać romantyzm ujęcia, który byłby sprzeczny z narzuconą mu sytuacją. Natomiast Kochanowski siłą artyzmu i pokrewieństwa problemu musiał działać wiążąco. Wygodzki bez zastrzeżeń poddał się pod patronat Jana z Czarnego Lasu, ale tylko w pewnym zakresie, stosując renesansową metodę trenu w kilku wierszach, jak *Dziś wróciły łzy i wiersze wrócą*, *Jakże tam biega w naszym ogródku*, a nade wszystko w oświęcimskim wierszu z 1943 roku *Wszystko mi ciebie przypomina:*

Wszystko mi ciebie przypomina:
w błękit nieba rozwarte okno,
wiotka trawa, gdy wiatr ją zgina,
dalekie drzewa, co w deszczu mokną.

Wszystko mi ciebie przypomina:
daleki świst lokomotywy,
smuga dymu błękitno-sina,
krzew przydrożny, w wichrze krzywy.

Wszystko mi ciebie przypomina:
serce, gdy lekarz rano je bada,
i szmer śmiertelny, co się wspina
w idącè noce listopada.

Wszystko mi ciebie przypomina:
w nocy Ryba, Skorpion, Orion,
za dnia — dymiący szczyt komina
krematorium.

Motyw miłości ojcowskiej jest głównym refrenem *Pamiętnika;* ale poddany pod działanie refleksji podlega znamiennemu procesowi przekształcania się. Jest to odrywanie się poety od bezpośrednich uczuć osobistych i przenoszenie motywu do wyższego wymiaru — zagadnienia ponadosobistego, ogólnoludzkiego. Zasięg uczucia rozszerza się, refleksja przenosi je z zagadnienia jednostki na problem ogólny, jak to zauważamy m. in. w wierszu *Dzieciątka moje, ptaszyny*:

Zostańcie, moje jedyne,
obce, dalekie, nieznane,
jak wiew, co poruszył trzcinę,
nad nocą i blisko przed ranem.
Zostańcie na Węgrzech i w Czechach,
na Łotwie i w Polsce, na Litwie,
dzieciątka z wonnym uśmiechem
rzezi wydane i bitwie.

Jeżeli zastosować przy rozpatrywaniu dzieła metodę poszukiwania najwyższych wyrazów refleksji i uczucia, uzgodnionych w wysokiej formie artystycznej, to za punkt kulminacyjny *Pamiętnika miłości* bezsprzecznie trzeba uznać *Modlitwę*, której początek cytujemy:

Matko trwogi, która mieszkasz
w Ravensbrücku,
w Oranienburgu, w Dachau i Oświęcimiu,
w lasach wymarłych i strzaskanych
krzewach,
w ciszy, która zalega po zdławionym
krzyku,
w trzcinach stawów parujących malarią;
matko trwogi, co się nazywasz jak nasze
dzieci,
a nasze dzieci na stosach płoną i dymią;
jakkolwiek się zowiesz, matko; Chano,
Katiuszo i Mario,
nie opuszczaj nas,
bo oto nadszedł spóźniony dla twego syna
czas,
gdy proszę —
nie opuszczaj nas.

6

Pamiętnik miłości jest wyrazem rzetelnej i surowej postawy poety wobec siebie i świata. Poeta nie oskarża bezpośrednio, nie podnosi głosu nienawiści, nie poniża wrogów, nie wypowiada ani jednego słowa potępienia w stosunku do niewątpliwych złoczyńców, raczej zamilcza ich winę, nie chce mówić o zbrodni, jakby przez tę — najtrudniejszą zapewne postawę — chciał uszanować człowieka nawet w najgorszej kreaturze człowieczeństwa, jakby postawienie zarzutu nieludzkości, mimo najtragiczniejszych uprawnień do tego, było wytoczeniem procesu nie jednostkom czy grupom, lecz człowiekowi w ogóle.

Poeta jakby nie chciał przyjąć do wiadomości pełnego wymiaru faktów, zastępując to złudzeniem, że mimo ich niewątpliwości nie zaszły jednak w całej pełni, że mimo rzeczywistości niezupełnie są rzeczywiste. Z tej irracjonalnej postawy wyrasta niewątpliwy optymizm poety, jeżeli w tych okolicznościach można tak nazwać zaznaczającą się mimo wszystko wiarę w człowieka. Jeżeli Wygodzki potępia, to chyba sytuację, okoliczności, które zmuszały człowieka do zapominania o swym człowieczeństwie.

Cierpienie fizyczne w mniejszym stopniu podkreślane jest w tych utworach, z konieczności raczej wzmiankowane, a jeżeli jest o nim mowa, to jako relacja stanu, z którego następuje przejście na stopień ważniejszy: cierpienie wewnętrzne, psychiczne. Fakty z czasów wojennych, zaprzeczające wybitnie dogmatowi „człowiek jest człowiekiem", wymagały ciągłego przezwyciężania siebie, ciągłej walki o zachowanie dobrej wiary, że mimo wszystko istota człowieczeństwa jest wartością moralną.

Poeci posiadający postawę religijną mają ułatwione rozwiązanie dzięki wierze w mit, który sprawę męczeństwa i kaźni tłumaczy kategoriami mistycznymi i dla ofiar niesprawiedliwości tego świata wprowadza nagrodę w postaci zadośćuczynienia w życiu pośmiertnym. Autor *Pamiętnika miłości* takiej „pociechy" nie może osiągnąć. Dla swego zwycięstwa nad nocą musi szukać innych, trudniejszych rozwiązań w kategoriach wyłącznie ziemskich i ludzkich. Poeci typu chrześcijańskiego pod wpływem mistyki łatwiej przekształcają uczucie gniewu i nienawiści w postawę przebaczenia, kierując się irracjonalną stroną religii, łatwiej zwalczają zwątpienie i bunt przeciw losowi, przywołując rezygnację i postawę pokory wobec Absolutu,

który, według ich przeświadczenia, jedyny wie, dlaczego tak się stało.

W warunkach autora *Pamiętnika miłości* zwycięstwo okazuje się trudniejsze. Postawa rezygnacji i pokory wobec losu nie może go zobowiązywać. Toteż poezja Wygodzkiego wykazuje pod tym względem odmienny charakter. Nie jest „usprawiedliwieniem" w kategoriach pozaziemskich, ale jest swego rodzaju ofiarą z własnego gniewu, nienawiści, rozpaczy i żalu na rzecz wiary w przyszłego człowieka, któremu prawdziwe uczucie człowieczeństwa, wyhodowane w innych warunkach (wiara w twórczą pracę przekształcania człowieka przez nowy ustrój), nie pozwoli na akcję antyludzką. Jest to stanowisko niewątpliwie najsłuszniejsze pośród doświadczeń wyniesionych z lat okupacji, bo sprawy odbudowy człowieczeństwa nie przerzuca w rejony od niego niezależne i niesprawdzalne. Dla autora *Pamiętnika miłości* noc ogni krematoryjnych jest doświadczeniem realnym, które nakazuje szukać drogi odrodzenia człowieka zupełnie ziemskimi sposobami. Trudniejsza postawa, trudniejsza wiara.

Umieszczone w tytule słowa oznaczają nie tylko osobistą tragedię poety; wiążą się one głęboko z procesem przemiany własnych doznań w wiarę w przyszłą wartość człowieka.

Stanisław Czernik

MIĘDZY REWOLUCJĄ A LITERATURĄ

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI: *Pióro na wichrze*. Wiersze wybrane. Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza", Warszawa, 1946; str. 165 i 3 nl.

1

Pióro na wichrze to wybór bogaty ilościowo. Jest to po prostu całość oryginalnej twórczości poetyckiej St. R. Dobrowolskiego (najwięcej stosunkowo odpadło tłumaczeń), pomniejszona o kilka zaledwie wierszy. Opuszczenia są na ogół słuszne, z wyjątkami — o których dalej.

2

W antologii Frydego i Andrzejewskiego, w notkach dotyczących poszczególnych poetów, czytamy o St. R. Dobrowolskim: „Głosiciel hasła sztuki uspołecznionej". Zapoznawszy się nieco bliżej z twórczością poety znajdujemy programowe potwierdzenie tego zdania we wstępie do *Powrotu na Powiśle* pt. *O polską ewangelię poetycką* (1935), gdzie Dobrowolski stwierdza nierealność programu „artystowskiego", jaki literaturze polskiej próbowano nakreślić po odzyskaniu niepodległości.

Jak wygląda realizacja owego hasła „sztuki uspołecznionej"?

Istnieją dwa aspekty tej sprawy: tematyka i wyraz artystyczny. Obydwom możemy się przyjrzeć w otwierającym tom wierszu *Przez zęby zaciśnięte:*

Przez zęby zaciśnięte ostre ciskać słowa,
Prażyć nimi i chłostać i ciąć najboleśniej,
Dopóki pośród ulic czerwienią majową
Nie rozkrwawią się w wichrze purpurowych pieśni —
I tak przez całe życie w słowach się rozmiatać —
Oto jest miłość moja i gniew mój do świata.

Więc: poezja jako zaczyn fermentu rewolucyjnego. Więc: poetyka patosu i słowa działającego bezpośrednio.

Odgraniczmy najpierw wiersze, które są najbliższe temu programowi: to większość liryków z *Pożegnania Termopil* (1929), zajmujących w omawianym tomie strony 7—39 (z grubsza), *Powrót na Powiśle* i niektóre z rzeczy najnowszych. Zatrzymajmy się przy *Pożegnaniu*.

Praca jest siłą, która — poprzez cierpienie — zwycięży. Wtedy szczęście zapanuje nad światem. Oto skrót myślowy tej liryki.

Od razu nasuwa się porównanie z Broniewskim. To dokładnie ta sama atmosfera poetycka, to wydźwięk tej samej ideologii. O ileż jednak silniej szarpią człowiekiem wiersze Broniewskiego. Dlaczego?

Obydwaj poeci pragną tu po prostu mówić do ludzi. Poezja społeczna. Treści, które przeżywają, są dla nich tak silne i powszechne, że w założeniach ich — nie wiemy czy świadomych — leży nadanie im wyrazu niewyszukanego, różniącego się od prozy jedynie podniesieniem tonu, jedynie jego słowną patetyzacją.

Ale Dobrowolski w uspołecznieniu tego nurtu swej poezji idzie nieraz zbyt daleko.

Nie wieńczy ciebie sława barykad paryskich,
Lecz zaszumią nad tobą laurowe wieńce
(Warszawa)

Alegorie. Każdy przecież wie, co oznaczają barykady paryskie i co symbolizują laurowe wieńce. Pod wspólny mianownik ogólnika podciąga się z wartości emocjonalnych, przeżyć poety i czytelników, do których poeta pisze. Ale w ten sposób zostają owe przeżycia od wiersza odcięte. I pozostaje frazes. To błąd takich wierszy jak *Przez zęby zaciśnięte, Krzyk, Gniew, Warszawa.*

Szkodzi tu i skłonność do banału literackiego, która także odbiera charakter subiektywny, a nadaje natomiast ogólnikowy wygląd tym wierszom, zniżając się niekiedy i do banału dziennikarskiego, jak np. w wersecie z *Pieśni o idącej sławie*: „I gdy kipi tak życie twórcze"...

To już jednak sprawa i trudniejsza i charakterystyczniejsza zarazem dla poety, a przynajmniej dla wierszy z *Pożegnania.* Z samego bowiem założenia poety wynika konsekwentnie jego obojętność dla prób i poszukiwań formalnych. Toteż — do pewnych granic — krytyk nie ma prawa domagać się od poety unikania form „ogranych" w poezji. I tak — w epoce panowania „Skamandra" nie zdziwią nas wiersze pisane „pod" skamandrytów, boć to aktualna atmosfera poetycka. Ale już wczesnostaffowska *Jeszcze jedna pieśń o jesieni,* niemiłosiernie rozciągnięta, a zwłaszcza tak częsta u poety w tym okresie hipertrofia anaforyzmu (*O zmroku, O drżący niepokoju*) i paraleliżmu *(Krzyk)* — to już są rzeczy, które trudno przebaczyć.

Niedociągnięcia idące w tym kierunku obejmują i drugi nurt wczesnej poezji społecznej Dobrowolskiego. To już nie monolit, pewność swojej prawdy i swego zwycięstwa, wtopionych w prawdę i zwycięstwo ludu. Poeta tu jest bardziej samotny, mówi o sobie bezpośrednio — i jest słabszy jako człowiek.

Nie wiemy, gdzie uderzyć, gdzie skryć się
przed ciosem

— mówi w prawie katastroficznej *Herezji.* „Nowe" nie jest już radosnym i niewątpliwym — jest nieznanym (*O drżący niepokoju).*

Więc może i tu odnajdziemy źródło wyższości liryki rewolucyjnej Broniewskiego. Jego ludzkie słabości — to przede wszystkim erotyka. Jego rewolucjonizm jest z jednego kruszcu. Dobrowolski bywa tu czasem głębszy (demonizm rewolucji w *Apostrofie),* ale nie jest w ujęciu tej rewolucji jednolity. Znamienną rzeczą bywa także i to, że ciekawiej wypadają u niego bardziej literackie ujęcia tego tematu (*Heroica*).

Przejdźmy jednak do niewątpliwych plusów tej liryki. Są to dwa jej odłamy, w pierwszym zbiorze traktowane raczej pobocznie — odłamy, które rozrosły się w dalszej twórczości poety i nadal rokują mu ciekawe osiągnięcia. To pieśń i pamflet.

Wiatr po drogach z wierzbami się targał,
Wlókł się traktem i deszczem pluł —
W takt żołnierskich melodyj szła skarga,
Wiechcie błota bryzgały spod kół —
(Pieśń o wojnie i pokoju)

Dobrze się musi iść z taką piosenką. I to jest niewątpliwie dobra literatura. Mniej tu już razi — gdy pamiętamy o gatunku literackim — nadużywanie „krwi", „krzywd" i „chlustania".

Dowód, że jest to dobra liryka znajdujemy również poza tekstem omawianego tomu. St. R. Dobrowolski dostąpił zaszczytu stania się bezimiennym autorem. *Szturmówka* została napisana przez niego. Dlaczego nie znajdujemy jej w tym wyborze?

A pamflet? Weźmy wiersz *Pacyfistan.* To jedyny przedstawiciel tego gatunku w pierwszym zbiorze.

Ty karmelkowo-słodki seraficki łoju — to już nie jest ogólnikowe, blade, nijakie. Dlatego szkoda także, że w zbiorze tym nie znalazł miejsca dość znany wiersz *Na ojczyznę romantyków pamflet (Autoportret).*

3

Następny podług chronologii fragment poezji społecznej (tematycznie) St. R. Dobrowolskiego — to wydany po raz pierwszy w r. 1935 *Powrót na Powiśle.*

Powiedzmy sobie z góry — jest to jedno z piękniejszych osiągnięć poety i jedno z piękniejszych osiągnięć poezji społecznej dwudziestolecia. Dobrowolski odszedł tu od ogólników — poemat ten jest przepojony konkretem. Aby walczyć wraz z jego światem — musimy go poznać i pokochać. Obydwa zadania wypełniają pierwsze partie poematu, po „pan-tadeuszowsku", przez pryzmat wspomnień opisujące środowisko Powiśla. Akord liryczny otwiera ten poemat — i zamknie go.

Poezja społeczna poety wzbogaca się przez odkrycie poezji pracy — tu należy zwłaszcza *Ballada kowali,* może tylko nazbyt zadziwiająca swym zacięciem barokowym.

Nadchodzi „ojciec konspiracji" —

ierzch, nadchodzi wiec, nadchodzi po-
d pierwszomajowy — doskonale kom-
ycyjnie przygotowany, oczekiwany przez
telnika. Z ram lirycznych wyzwala się
ka — tworzenie legendy 1 maja 1905.
cisk położony na moc i gniew ludu.
óg narodowy i społeczny zlekceważony —
cie wystarczy pogarda:

ieszone na balkonach różowe falbanki
amywały dłonie w patetycznym geście

rzez nagie rebelii piersi przeszła z wyciem
dacka defilada wyczernionych butów.

Brak akcentów bezpośredniej nienawiści
daje poematowi mocy.
A po tym najwyższym napięciu dramaz-
nym poematu — odprężenie liryczne.
eta powraca na plan pierwszy. I —

Noc. Opada znużona głowa
na rozlany po stole atrament.

Dodajmy jeszcze do tej pobieżnej analizy
kawą metaforykę, urozmaicenie rytmicz-
udatne — i powiedzmy sobie: Dobrowol-
w tym poemacie znalazł najlepszą dro-
dla swojej poezji społecznej.

4

Nowsze liryki należące do nurtu społecz-
go nawiązują szczęśliwie raczej do *Po-
otu na Powiśle* niż do *Pożegnania Ter-
pil.* Charakteryzuje je jeszcze silniejszy
pływ Broniewskiego. W takim np. *Rodo-
dzie* — w jego połączeniu haseł lewico-
rch z lekko ironicznym autoportretem —
dno byłoby odkryć autora nie znając go.
Wiersze wojenne przynoszą odmienny nie-
ton: nacisk położony na sprawy naro-
we. Wracają tu stare grzechy. Bardzo
ocny, pobudkowy wiersz *Rozkaz dla War-
wy* psuje np. w taki sposób zakończe-
. [Warszawo] *jutro nową uwieńczym cię
wą.* Tak się pisało wiersze mając 15 lat.
e: utwory te powstawały w walce. Treść
ała prawo zwyciężać formę.
Droga została już poprzednio znaleziо-
. Może służyć nie tylko St. R. Dobro-
olskiemu.

5

Jeżeli pierwszym tytułem poetyckim St. R.
obrowolskiego jest: poeta społeczny, to
raz potem należałoby wymienić tytuł dru-
— poeta literatury.
Tytułem tym łatwiej będzie wytłumaczyć
ewątpliwą „bluszczowatość" poety, z ty-
tułu tego wyprowadzimy tendencje stylizacyjne i te, które dążą do traktowania innych organizacji twórczych jako materiału poetyckiego.

Wyjątkowo liczne u tego poety stylizacje, stojące niekiedy na granicy *pastiche'u*, dowodzą z jednej strony dużej kultury literackiej, z drugiej jednak — w połączeniu z podatnością na wpływy — wskazują na niezbyt silną indywidualność poetycką. Tu należą wiersze *W siennicy Różanej* („Ano już w faskach bigos, ano więc i ryby"), *Ballada staroskandynawska, Ballada* (Villonowska), większość wierszy z cyklu *Nad Norwidem (Autoportret* 1932 i *Wróżby* 1934).

Z wyjątkiem może stylizacji rejowskiej, pozostałe drobne stylizacje mają raczej charakter zabawy. Inaczej rzecz się ma z Norwidem. Moglibyśmy już to przesądzić z góry, pamiętając o poważnym zwrocie do Norwida, jaki cechował wszystkich poetów „Kwadrygi"! Obok stylizacji mamy tu do czynienia z Norwidem i jego problematyką, jako tworzywem poetyckim.

To trójpłaszczyznowe zetknięcie się z Wielkim Samotnikiem polskiej poezji jest zamierzeniem bardzo ambitnym i niejednokrotnie przerasta siły Dobrowolskiego. Sam Norwid jako temat — to osiągnięcie raczej udałe, ukoronowane trafnym: „Im większa nawa, większa głębia ją przywala" *(Wróżby).*

Gorzej jest ze stylizacjami myślowo-formalnymi. W jednej z recenzji *Autoportretu* (Stefana Napierskiego w nr 12 *Wiadomości Literackich* z 1933 r.) podano jako cechę charakterystyczną cyklu *Nad Norwidem* — wtórność, bo łatwiej Norwida podpatrzeć niż realizować. Zgodzimy się na to ujęcie, z pewnymi jednak zastrzeżeniami. Pierwsze — czy tego rodzaju nietwórcza poezja jest naprawdę potrzebna. Drugie — sugerowane zresztą i przez Napierskiego — podpatrzenie jest powierzchowne. Norwidowska metaforyka przepuszczona przez pryzmat wtórności, norwidowska myśl wydłużona tasiemcowato — oto pierwsze wrażenie po przeczytaniu tych wierszy.

I jakże mogłoby być inaczej. Już samo zestawienie intelektualisty i poety elitarnego z emocjonalistą-społecznikiem powinno nas o tym przekonać.

Bez wątpienia jednak ta swego rodzaju szkoła poetycka wpłynęła dodatnio na poetę. Szkoła to przede wszystkim ekonomii słowa — pod tym względem widzimy ogromny krok naprzód od *Pożegnania Termopil* do *Autoportretu* i *Wróżb*

z których pochodzą omawiane wiersze. Wzrasta i odpowiedzialność za obraz poetycki, którym Dobrowolski zbyt hojnie szafował w lirykach takich jak *Heroica*, wzrasta — mimo wszystko — oryginalność poety. I tak będąca jeszcze w kręgu Norwida *Pieśń o kalinie (Wróżby)* — przez opowiedzenie znanej piosenki „Ty pójdziesz górą...", przez powtórzenie jej słów i wreszcie: przez prostą pointę, która stanowi konkluzję lirycznego nastroju, wywołanego wspomnieniem tej piosenki — wprowadza nowy, świeży i uroczy ton.

Dobrowolski — poeta literatury — to jeszcze: ballada o Villonie, *Rozmowa z cieniem* (Lermontow) i wpływy, wpływy, wpływy. Przebiegnijmy jeszcze raz rozrzucone po recenzji nazwiska, dodając nowe. Broniewski, Tuwim, Słonimski, Norwid *(Św. Cecylia!)*, Iwaszkiewicz (wiersz *Do poety z Wróżb* zakrawa już na pastiche), Staff, Gałczyński. Wpływy to zbyt często niezrównoważone tonem oryginalnym — stąd liryka osobista Dobrowolskiego robi często wrażenie trochę nijakie, ponieważ zbyt literackie.

Natrafiliśmy już w liryce społecznej na podobne cechy — tam przełamane *Powrotem na Powiśle*, także piosenkami.

Przyjrzyjmy się z kolei tym utworom, które wyzwolą nas spod owego wrażenia na terenie liryki bardziej osobistej.

6

Wiersze, które pragnąłbym teraz omówić, nie są liczne. Pochodzą przeważnie z *Autoportretu*. Najlepsze z nich to *Pod miedzianym księżycem* i *Wezwanie poety do Sergiusza Kułakowskiego*.

Odnajdujemy w nich dalekie pokrewieństwo z nurtem pamfletowym. Poeta zrywa z poważnym (w sensie „ludzkim", „życiowym") stosunkiem do tematu. Traktuje go poważnie w sensie jedynie poetyckim. Jesteśmy jak najdalej od patosu. To już budowanie s z t u k i o typie — nazwijmy to górnie — dionizyjskim. To są wakacje poety po pracy, traktowanej z pasją i zamiłowaniem, ale jednak jako obowiązek, nie zawsze może zgodny z wrodzonymi dyspozycjami; wakacje po utworach społecznych. Nie było w nich tej swobody — bogatego słownictwa, różnorodności postaw poetyckich, samoswojego wyboru wartości. Niekonieczne byłyby w tych wierszach wzmianki o Konstantym, by odnaleźć wspólność tonu z Gałczyńskim. Trochę to poetyzowanie, trochę ustawianie teatralnych dekoracji, ale — używając odpowiedniego tu języka — zauroczenie.

W tej małej ilościowo grupie wierszy spotykamy się z dużą stosunkowo ilością środków wyrazu poetyckiego. I tak wiersz *Pod miedzianym księżycem* jest prawie prostym wyliczeniem.

Pozdrawiam ilutnie grające w liliowe
zmierzchy wieczorne
i szpady twoich śpiewaków i flet smutnego
studenta

Tu decyduje tylko umiejętność wyboru realiów poetyckich — z tego samego środowiska przestrzenno-czasowego. Poetyka umiaru.

A już przerzuciwszy parę kartek dalej natrafiamy na *Wezwanie poety do Sergiusza Kułakowskiego*, w którym realia poetyckie czerpane są ze środowisk przeróżnych — realnych i mitologicznych, traktowane przy tym w sposób niejednolity — od spojrzenia karykaturzysty („profesor nie ósme dzwonko ulika, lecz ósmy już dzwon je") poprzez umiejętny prozaizm („Sergiuszu! Takiej Warszawy nie znajdziesz na całej ziemi!") po metaforykę zbudowaną na fantastycznym podłożu:

na rdzawym ogierze srebrny, stary
słowiański witeź
dziurawi szybę dzirytem, jak popróchniałe
rzeszoto!

Poetyka krańcowości.

7

Ostatni dział twórczości Dobrowolskiego pozostały do omówienia — to epika poetycka: *Janosik z Tarchowej*.

Przewaga opowiadania, kompozycja fragmentaryczna, wprowadzenie opowiadających osób trzecich — a obok tych cech sam charakter bohatera: jednostki wyrastającej ponad ogół, swym postępowaniem przedziwnie żonglującej z pojęciami zła i dobra, jednostki o wielkim uroku osobistym, wszystko to oczywiście przywodzi na pamięć romantyczne powieści poetyckie w stylu Byrona. (Podkreślił to już K. W. Zawodziński w recenzji z *Janosika* — *Wiadomości Literackie*, 1938, nr 25).

Poeta kładzie nacisk na zagadnienia społeczno-ekonomiczne, których wytworem jest Janosik-zbójnik, nie pogłębia ich jednak specjalnie, idąc raczej po linii tetmajerowskiej tradycji — kultu żywiołowego temperamentu i dzikiego umiłowania swobody. Nie

rawdza się wskutek tego zapowiedź li-
cznego wstępu, że śpiew to będzie ten
m, co wzrósł „pośród Powiśla ulic". Sam
dnakowoż fakt, że Dobrowolski pragnie
terpretować legendę Janosika tak, jak ją
mują badania uczonych radzieckich (por.
an Reychman: *Zbójnictwo karpackie w no-
ym, oświetleniu, Kuźnica*, nr. 47/1948), jako
viadectwo buntu społecznego wyrażonego
oprzez mit o wybitnej jednostce, wyróżnia
go poemat i sprawia, że młodopolska
onwencja literacka nie zdołała w nim za-
umić tego słusznego stanowiska.

Obrazowanie czerpane ze świata przy-
ody, lekkość rytmiczna, żywość opowia-
ania, doskonałe w swej dyskrecji uczu-
owej zakończenie — wszystkie te walory
tystyczne zostały harmonijnie zespolone
łatwym dla mniej rozczytanego w poezji
zytelnika ujęciem tematu. Stawiają też one
oemat na poziomie dobrej poezji i pozwa-
ją mu osiągnąć w całej pełni programowy
ostulat Dobrowolskiego — poezji uspołecz-
onej.

8

Jesteśmy u kresu. Najważniejsze działy twórczości lirycznej i epickiej St. R. Dobrowolskiego usiłowaliśmy rozpatrzeć.

Bogata to skala uczuć, bogata skala reakcji na życie. Bunt przeciw niesprawiedliwej rzeczywistość społecznej, walka o inną rzeczywistość. Miłość ojczyzny i kultury. A także ukochanie radości życia i wina. Cześć dla heroizmu Termopil i mit pracy codziennej. Zrozumienie pasji życia i pasji myślenia. Bacchus i Okrzeja. Janosik i Norwid. Wiersze to łatwe i czytelne. Każdy je zrozumie.

Dobrowolski pozostanie poetą-popularyzatorem. Nie tyle przez wiersze tematycznie najbardziej zbliżone do ludu, ile przez całość swej humanistycznej twórczości, będącej pierwszą placówką poezji trudniejszej, jaką napotka nowy czytelnik.

Tak więc — oddajmy poecie sprawiedliwość tą miarą, jaką sam dla siebie wybrał.

Jerzy Kwiatkowski

HISTORIA, METAFIZYKA I MAGIA

LESŁAW BARTELSKI: *Przeciw zagła-
zie*. Poemat. Skład główny: Oficyna Księ-
arska, Warszawa, 1948; str. 23 i 1 nl.

I

W przedmowie do tomu *U poetów* pi-
e Miriam: „Gdyby nie względy wyda-
nicze, niezależne odemnie, rad usunąłbym
książce nazwisko swoje i nazwiska tłu-
aczonych poetów, aby pozostała rzecz sa-
a: poezja. Ta — choćby była bezimienną
bezdatową — *is a joy for ever*". Zdanie
zamyka w sobie całą filozofię sztuki.
ierwsze twierdzenie, jakie z tego skrótu
ożemy rekonstruować, brzmi: istnieje ja-
ś wyraźna linia demarkacyjna, oddziela-
ca — nie tylko w odczuciu czytelnika,
e obiektywnie, w sensie najzupełniej po-
apsychicznym i ponadsubiektywnym —
oezję i nie-poezję; drugie: to, co raz stało
ę poezją, zostaje nią na wieczność, nie
oże się już zdewaluować i przejść z po-
rotem do nie-poezji; trzecie: poeta wa-
ny jest jedynie jako medium, za którego
ośrednictwem nieuformowany materiał po-
ycki konkretyzuje się w dzieła sztuki.
iemną pozostaje tylko sprawa, czy poezja
erpie swoje tworzywo z nie-poezji czy
ż z jakiegoś specjalnego materiału pre-
poetyckiego rozproszonego we wszechświecie, a ujawniającego się i kondensującego w akcie twórczości poetyckiej (i w jednym i w drugim wypadku znajdujemy się na ziemiach własnych „wiedzy tajemnej"): w pierwszym mamy do czynienia ze zjawiskiem analogicznym do alchemicznej przemiany metali nieszlachetnych w szlachetne, w drugim — z czymś przypominającym mocno objawianie się „duchów" na seansach spirytystycznych, a w każdym razie niewątpliwie obcujemy bezpośrednio z tzw. (panie zecerze: koniecznie wersalikami!): TAJEMNICĄ.

Ale żart na stronę. Po cóż to wywlekać na światło dzienne owe pseudomistyczne mistyfikacje ś. p. Młodej Polski i jej duchowego wodza? Przecież nie ma okresu literatury polskiej, którym nasi współcześni ludzie pióra pogardziliby z równym zapałem i energią, jak modernizm. Ba! tu właśnie leży sedno zagadnienia: od niczego nie odżegnujemy się tak gorliwie jak od pokrewieństwa, które wydaje się nam kompromitujące. A pokrewieństwo jednak istnieje: symbolizm w rozmaitych transformacjach wraca raz po raz, raz po raz odżywa „poezja nastroju" i raz po raz twórczość poetycka przemienia się w pukanie do drzwi Absolutu, w zerkanie przez

dziurkę od klucza za bramę raju utraconego.

Wieczność, życie, śmierć, miłość, nienawiść, grzech, cnota... Cóż zrobić z tymi zagadnieniami? Czy jest wśród nas ktoś, kto nie poświęciłby im w swoim życiu ani chwili uwagi? Ktoś, kto myśląc o ogromie wszechświata i kryjących się w nim zagadek nie powtórzyłby za Pascalem: „Wiekuista cisza tych nieskończonych przestrzeni przeraża mnie"? A któż inny jak nie poeta ma nie tylko prawo, ale i obowiązek ruszać na odkrywcze wyprawy w głąb tego *mare tenebrarum*? Otóż w tym właśnie sęk, moi panowie, w tym sęk: r u s z a ć n a o d k r y w c z e w y p r a w y. Nie ma nic wspólnego z żadną odkrywczością tryumfalne wykrzywienie, że tu tajemnica i tam tajemnica, no a gdzieś tam jeszcze, to już taka tajemnica, że bij głową o mur, a i tak nic nie zrozumiesz. Człowiek z ubocza zaczyna wtedy powątpiewać w tę tajemniczość, zaczyna podejrzewać, że owe zasłony narzucone są nie na treści rzeczywiście w stosunku do naszych ludzkich spraw transcendentne, ale że potrzeba posługiwania się tego rodzaju kotarami wynika z niechęci P. T. tropicieli tajemnic do jasnego i trzeźwego myślenia o rzeczywistości tego świata i że kryje się za nią bezsilność wobec problemów najnormalniej doczesnych.

Modernistyczny bunt przeciw historii nie był bynajmniej protestem „głębi" przeciw „powierzchni", „ducha" przeciw „materii", „anielskich" pierwiastków duszy ludzkiej przeciwko „zwierzęcym". Takie rozumienie sprawy usiłowali w nas wmówić pp. moderniści. Twórczość ich jednak świadczy najlepiej, że i u nich te wszystkie sprzeczności mieszały się ze sobą i współżyły jakoś. Bezustannie podejmowane próby łapania Absolutu za ogon nie uczyniły z modernistów bynajmniej takich kapłanów i wieszczów, za jakich pragnęli uchodzić. Modernistyczna rewolucja przeciw historii była faktem historycznie zdeterminowanym, miała zupełnie określony charakter i sens społeczny (przypominam tu świetne i do dziś nie pozbawione aktualności studium Jana Ludwika Popławskiego O *modernistach*).

Ale nie poświęcajmy zbyt wiele miejsca i uwagi rzeczom powszechnie znanym. Ważniejsze dla nas będzie spojrzenie z perspektywy miriamowskiej teorii poezji na zagadnienie praktycznego stosunku modernistów do własnej pracy pisarskiej: praca ta przestaje być pewną sumą działań technicznych, przy pomocy których pisarz realizuje swoje zamiary estetyczne, staje się ona rewelowaniem Absolutu (według przybyszewszczyków „nagiej duszy"), seansem spirytystycznym, na którym za pośrednictwem medium-autora przemawia „poezja jako taka". Oczywiście, i moderniści stosowali technikę poetycką, i to wysoko wykształconą, ale odmawiali jej znaczenia poezjotwórczego. Była ona w ich rozumieniu czymś równie zewnętrznym jak np. ortografia czy interpunkcja. Praca artysty przestała być traktowana jako określona dziedzina technicznej działalności człowieka, stała się misterium, a raczej pseudomisterium, bowiem misteria we właściwym tego słowa znaczeniu to już domena religii. Ściśle mówiąc było to p s e u d o m i s t e r i u m m a g i c z n e. Pozwolę tu sobie zacytować podaną przez duńskiego uczonego Alfreda Lehmanna definicję magii: [1]) „Magią jest każde działanie mające na celu wywarcie wpływu na świat nadzmysłowy lub zmysłowy, które nie może być zaliczone ani do czynności z zakresu kultu religijnego, ani też do czynności technicznych". Na tym właśnie terenie znaleźli się moderniści, gdy odrzucili rozumienie twórczości artystycznej jako pracy ludzkiej, a działalność artysty zaczęli traktować jako natchniony bełkot delfickiej Pytii, przez której usta przemawiał rzekomo sam Apollo.

Magia jest jednak naturalnym dzieckiem okresu niedorozwoju umysłowego i duchowego, wypełnia w sposób naturalny tę pustkę, w którą kiedyś wejdzie wiedza naukowa. Ale magia zjawiająca się wtedy kiedy owa wiedza istnieje? Magia tego typu jest oznaką kulturalnego regresu, symptomem niezdolności do radzenia sobie z konkretną problematyką swoich czasów. Jednym słowem: wobec żadnego typu literatury nie powinien krytyk być tak czujny i ostrożny, jak wobec literatury mistykującej i metafizykującej. W każdej formie laickiej mistyki i pozanaukowego filozofowania mamy prawo podejrzewać magię, a więc: b u n t p r z e c i w k u l t u r z e.

2

Neoekspresjonizm „szkoły warszawskiej", której najwybitniejszymi przedstawicielami byli Gaycy i Baczyński, jest zjawiskiem zasługującym na osobne omówienie. Szczegółowsza jednak analiza tego tak intere-

[1]) Cytuję według przekładu niemieckiego: Alfred Lehmann *Aberglaube und Zauberei*, Stuttgart, 1908.

jącego zagadnienia przekraczałaby ramy niejszego szkicu. Poprzestanę więc na vróceniu uwagi na jedną tylko, ale bar-:o ważną okoliczność. Gdyby ktoś z za-odowych „wpływologów" zabrał się do czenia naszego neoekspresjonizmu z eks-esjonizmem niemieckim, wykryłby praw-podobnie dużo rozmaitych „zależności", zapożyczeń" itp. i nie uwierzyłby np. ratnemu, który uroczyście zapewnia, że e czytał w ogóle Kaisera, Brechta, Wer-a, Heyma ani nikogo innego z ich kręgu. jednak jest faktem, że pomiędzy dwoma okrewnymi kierunkami literackimi (z któ-rch drugi zresztą nie rozwinął się w peł-), działającymi w odstępie czasowym za-dwie około dwudziestu lat, nie było łącz-ości genetycznej. O ich pokrewieństwie decydowała analogiczność sytuacji histo-cznej oraz kręgu kulturowego i bazy spo-cznej: w obu wypadkach odegrała rolę ojna i to właśnie wojna niemiecka, edąca szczytowym natężeniem realizacji eałów pruskiego militaryzmu i nacjona-zmu; w obu wypadkach przeciwstawia-cą się tej rzeczywistości sztukę tworzyli łodzi inteligenci, czujący się spadkobier-mi ogólnoeuropejskiej tradycji kulturo-ej, zagrożonej przez germańskie barba-yństwo. Ale wojujący germanizm wyra-ał z tego samego pnia, co i przedstawi-ele obu ekspresjonizmów, był marnotra-nym dziedzicem tej samej wspaniałej i — ich mniemaniu — jedynej tradycji go-nej szacunku i obrony. I oto źródło głę-okiego tragizmu, źródło zwątpienia i lę-u: wojna między narodami Europy była a nich do pewnego stopnia wojną domo-ą, stwarzała sytuację, w której nasuwały ę wątpliwości co do sensu kultury w ogó-, co do sensu historii w ogóle, a więc ostatecznych konsekwencjach — co do ısadniczej wartości świata i życia. Kry-ys ten w mniejszym lub większym stopniu rzeżyć musieli wszyscy, którzy ideologi-znie związani byli z tradycyjnymi syste-ami światopoglądowymi czy też religij-ymi. Jedynymi, którzy na wojnę mo-i patrzeć jako na fakt wyłącznie histo-rczny, nie ulegając wirowi metafizycznych wątpień, byli komuniści — i w tym wła-ie leżała ich siła podczas wojny i leży ziś.

Na tle owego wielkiego kryzysu szcze-ólnego znaczenia nabiera dorobek litera-ki „szkoły warszawskiej". Zamknięty jest nim trud olbrzymiej walki duchowej najpotworniejszym kataklizmem historii, ysiłek nadwątlony u podstaw tragicznym zwątpieniem — a przecież nie uginający się w kapitulacjonizmie rezygnacji czy rozpaczy. Ta bohaterska walka ze swoim czasem nie była zwycięska — i zwycięska być nie mogła, nie podobna jednak myśleć o niej bez szacunku i wzruszenia.

Jednym z reliktów tego okresu jest wydany dopiero w roku bieżącym poemat Lesława Bartelskiego *Przeciw zagładzie*. Trzeba dzisiaj już sporo wysiłku, żeby utwór ten należycie odczuć i zrozumieć, tak mocno zrośnięty on jest z momentem swojego powstania. Bartelski jako poeta wyszedł już daleko poza krąg problematyki intelektualnej i artystycznej właściwy tej pierwszej jego większej ambicją i rozmiarami pracy, ale tym nie mniej ogłoszenie jej drukiem uważam za zupełnie uzasadnione. Pomijam tu już wzgląd, że pisarz najlepiej się uczy na własnych błędach i że dzięki wydaniu książki zyskuje skalę porównawczą dla dalszych swoich prac. *Przeciw zagładzie* jest utworem ważnym jako dokument historyczny. To, co w pracach artystycznie dojrzalszych mogło być trudniejsze do uchwycenia i zbadania, u Bartelskiego rysuje się jasno i wyraźnie. Debiutancki brak umiaru polegający na wpychaniu w utwór wszystkiego, co się wie i myśli o świecie, okazał się w tym wypadku bardzo pożyteczny dla każdego, kto zechce zainteresować się tym ciekawym okresem naszej literatury, do jakiego poemat ów należy.

Co szczególnie uderzyć musi czytelnika przy lekturze tego utworu — to nikłość akcji i ubóstwo realiów. O bohaterze poematu wiemy tylko, że nazywał się Krzysztof, brał udział w walce podziemnej z Niemcami, został przez nich uwięziony i rozstrzelany podczas jednej z egzekucji ulicznych w Warszawie. Ale i te nawet fakty nie są opowiedziane wprost, autor o nich tylko napomyka, każe czytelnikowi domyślać się ich. Zamiast opowieści epickiej mamy w *Przeciw zagładzie* cykl wizji o apokaliptycznym tonie i zabarwieniu uczuciowym. Akcja realna zastąpiona została obrazami stanów duchowych, wewnętrznych zmagań się człowieka z sensem faktów, których cechy konkretne autor zaciera, jakby je lekceważąc.

Błędem byłoby widzieć w tym wyłącznie manierę, schlebianie panującej modzie literackiej. A jeżeli nawet jest tu takie schlebianie, to nie wynika ono ze snobizmu, lecz z wewnętrznego zsolidaryzowania się z wyrażaną przez tę modę postawą pisarską wobec świata. Tkwi poza tą manierą lirycznego wizjonerstwa niewypowiedziane gło-

śno przeświadczenie, że nie fakty same przez się są straszne i niepokojące, ale ich wewnętrzny sens, ich ukryty mechanizm. Normalną drogą powinno być badanie owych zagadkowych faktów, ale właściwie świadomość poety zdaje sobie sprawę, że wie o tych faktach coś niecoś i że ta wiedza może podważyć system wartości i mniemań, który się uznało za swój. I stąd wybieg: odrealnić fakty, wydobyć z nich ich sens najbardziej, najabstrakcyjniej metafizyczny, rozprawę z nimi przenieść na teren sporu sprzecznych ze sobą ideologii i postaw duchowych, traktowanych niemal jak platońskie idee. Irrealizm utworu ma znaczenie nie tylko formalne, jest realizacją utajonego założenia ideologicznego: ocalić siebie takim, jakim się jest, uniknąć bezpośredniej konfrontacji z bieżącą historią, degradując ją na rzecz metafizyki.

Że ta metafizyka Bartelskiego nie wytrzymałaby najłagodniejszej nawet krytyki metodologicznej, to już sprawa zupełnie inna. Jest to w gruncie rzeczy praktyczna metafizyka poetycka, preparowana *ad hoc* jako środek ochronny przeciw niebezpieczeństwu moralnego załamania się, „przeciw zagładzie". Centralnym dla poematu jest zagadnienie śmierci, tej okupacyjnej śmierci pod murem warszawskiej kamienicy, śmierci, której akcesoriami były: papierowa koszula i gipsowy knebel w ustach. Nie darmo partie przedegzekucyjne poematu wkłada poeta w usta Krzysztofa. Krzysztof staje się tu „rolą" liryczną autora. Autor utożsamia się ze swoim bohaterem: przecież te przedśmiertne monologi Krzysztofa są absolutnie nieprawdopodobne psychologicznie, zbyt abstrakcyjne i teoretyczne, to nie opis zmagania się żywego człowieka z widmem bliskiej, nieuniknionej śmierci, to poetycko-filozoficzne dywagacje na temat: co się w takiej sytuacji czuć powinno. Śmierć ukazuje się tu nie jako fakt, ale wyłącznie jako problem.

Takie przesunięcie ma znaczenie podwójne: wymija jednostkowy, psychologiczny aspekt zagadnienia (normalna trwoga przed śmiercią jako przed utratą swojej osobowości) oraz aspekt historyczny (fakt, że taka właśnie śmierć, z jaką spotykamy się w poemacie, jest śmiercią spreparowaną przez niemiecki faszyzm). Bartelski chce odebrać potworność zagładzie, jaka grozi Krzysztofowi, każąc mu wewnętrznie pogodzić się z własną śmiercią, potraktować ją jako ofiarę. Ofiara ta jednak złożona jest na ołtarzu abstrakcyjnych koncepcyj i dlatego usiłowania Bartelskiego wydają się chybione. Jego hasło „przeciw zagładzie" nie brzmi: przeciw zagładzie, jaką niesie hitleryzm, ale: przeciw zagładzie, jaką jest załamanie się wewnętrzne w obliczu świadomości klęski i śmierci. Czy to jest pogłębienie zagadnienia? Z pozoru: tak. W gruncie rzeczy jednak nie; Bartelski dociera do schematu, który mógł być identyczny w wielu epokach i na wielu miejscach naszego globu, ale który przecież w każdym konkretnym wypadku wypełniał się inną treścią. To, co dawało tylu męczennikom siłę w obliczu śmierci, nie płynęło z abstrakcyjnych rozważań, było przeżywaniem konkretnych problemów stworzonych przez aktualnie istniejące warunki. Bartelski „uwieczniając" problem wyrwał go z kręgu historii. W podobny sposób można by opisać sytuację duchową męczennika chrześcijańskiego, więźnia inkwizycji, rewolucjonisty dziewiętnastowiecznego. Zmieniałyby się za każdym razem tylko akcesoria, koncepcja poetycka i myślowa pozostawałaby bez zmian.

Jakiż więc był ostateczny sens tego poetyckiego metafizykowania? Przezwyciężenie rzeczywistości za pomocą słowa. Sugestia poetycka miała rozładować grozę, ukazać śmierć jako proste przejście drzwi, poza którymi zaczyna się wieczność. Miała odebrać śmierci charakter zagłady, nadać charakter wypełnienia ofiary. Ale tu nie mogło być mowy o ofierze we właściwym tego słowa znaczeniu! Męczennicy chrześcijańscy szli na śmierć dobrowolnie: mogli się oni wykupić od niej uczczeniem bogów rzymskich. Męczennicy z lat okupacji byli osądzeni i skazani z góry. To, co oni myśleli prywatnie, nie pozostawało w żadnym stosunku do faktycznego stanu rzeczy: byli oni tylko danymi statystycznymi w wykazach stwierdzających postęp biologicznego wyniszczania naszego narodu.

Słowo poetyckie Bartelskiego chce wpłynąć na rzeczywistość przekształcając jej sens. I dlatego słowo to staje się zaklęciem magicznym. Rzeczywistość może przekształcać tylko słowo nazywające ją po imieniu i wskazujące człowiekowi drogi realnego działania. Słowo poety zaś chce wmówić w nas, że rzeczywistość jest inna, odmienna od tej, którą pokazuje nam doświadczenie i trzeźwa myśl, chce ją zinterpretować tak, abyśmy ginąc pod naciskiem tej rzeczywistości mogli jednak do końca zachować godność. Tytuł poematu zapowiada więcej niż sam poemat dotrzymu-

: zamiast środka na przezwyciężenie nie-
ezpieczeństwa zagłady daje tylko taką je-
interpretację, która może okropność
rożącą nam pomniejszyć, osłabić. W osta-
cznej konsekwencji mamy tu wybieg za-
iast zmierzenia się wprost z wrogimi mo-
ami.

Utwór Bartelskiego jest dla naszego neo-
kspresjonizmu niezwykle charakterystyczny
dlatego zasłużył na tak obszerne omó-
ienie. Chodzi tu bowiem nie o pojedyn-
zy utwór, ale o pewną postawę poetycką,
tóra w swoich ostatecznych konsekwen-
jach mogła okazać się w najwyższym sto-
niu niebezpieczna. Wieczność, nieśmiertel-
ość, narodziny, śmierć, miłość, nienawiść,
rzech, cnota... Zapewne, każda epoka po-
ała się z tymi problemami, ale w każdej
onkretyzowały się one inaczej, w innych
ormach postaw jednostkowych, w innych
odzajach relacji międzyludzkich, w innych
kładach mniemań i nastawień uczucio-
ych. Rozwiązać któreś z tych „wiecz-
ych" zagadnień na użytek swojej epoki —
znaczy przetłumaczyć je na jej język,
okazać w konkrecie faktów stwarzanych
rzez jej życie. Grzech, miłość, cnota są
ie tylko „wiecznymi" zagadnieniami, są
ne także faktami socjologicznymi i psy-
nologicznymi. Uchylać się od tego rodza-
ı ich interpretacji, to wymijać sprawę naj-
totniejszą: praktyczną stosowalność idea-
ı, rezygnować z możności przekształca-
ia i bogacenia życia.

Sens ideologiczny i artystyczny neoeks-
resjonistycznego poematu Bartelskiego ka-
e utwór ten włączyć w krąg żywotnej
nas do dziś jeszcze tradycji postmoderni-
ycznej. Absolutny sens życia, absolutny
ens śmierci — oto sprawy, które absorbo-
ały poetę w czasie pisania *Przeciw za-
ładzie*. A przecież poemat ten osnuty jest
a rusztowaniu tematycznym o p o w i e-
c i h i s t o r y c z n e j! Tyle samo w nim
ednak znajdziemy historii, co w *Nietocie*
ıb *Księdzu Fauście* Micińskiego: aluzje,
apomknienia, zewnętrzne akcesoria wiel-
iego dramatu rzeczywistości.

Neoekspresjonizm „szkoły warszawskiej" — to najmocniejszy i najradykalniejszy w ciągu dwudziestolecia i zamykającej je wojny nawrót do modernizmu. Nawrót, który nie ograniczył się do kwestii środków wyrazu artystycznego, ale był — krótkotrwałym zresztą — renesansem modernistycznej koncepcji poety i poezji. Raz jeszcze poezja spróbowała zastąpić religię, filozofię, naukę; raz jeszcze sięgnęła po rolę kapłanki Absolutu i pośredniczki między nim a rodzajem ludzkim.

Nie należy się temu dziwić. Była to obrona inteligenckiego mitu o inteligencji jako strażniczce „najwyższych wartości", jako najcenniejszej i najważniejszej grupie społecznej, mitu, który brutalnie zniweczyła rzeczywistość wojenna, udowadniając, że kultura jest w stosunku do innych dziedzin życia zjawiskiem wtórnym i pochodnym. Inteligenccy poeci spróbowali przełamać rzeczywistość „siłą ducha", przezwyciężyć ją i odmienić magiczną mocą słowa. Kiedy modernizm sprzed 1905 roku reprezentował okres toczonej przez inteligencję walki o „rząd dusz", o prymat społeczny, neoekspresjonizm warszawski wyraził fazę rozpaczliwej samoobrony beznadziejnego zmagania się z rzeczywistością, z prawami historii. Myśl inteligencka cofnęła się do swoich źródeł, do swego heroicznego okresu, by w nim szukać natchnienia w godzinę klęski.

Nie chciałbym, ażeby — czy sam Bartelski, czy ktokolwiek inny potraktował tę pracę jako „zjechanie" utworu młodego poety. Interesował mnie problem, nie utwór. Oczywiście, może być to przykre dla autora, który wymaga od krytyka, by oświetlił omawiane dzieło możliwie najwszechstronniej i najpełniej. Tego niniejsza praca nie daje. Natomiast ujmuje ona utwór, który był pretekstem do jej napisania, w nurcie wielkich i doniosłych spraw decydujących o obliczu najmłodszego pokolenia polskich poetów. Może to usprawiedliwi mnie w ich oczach.

Stefan Lichański

ARKUSZ ŚLĄSKI

WILHELM SZEWCZYK: *Posągi.* Wyd. Instytut Śląski, Katowice, 1945; str. 62. *Wiersze. Arkusz Śląski,* nr 7, 1948.
ALEKSANDER WIDERA: *Wiersze. Arkusz Śląski,* nr 2, 1946.
JAN PIERZCHAŁA: *Wiersze. Arkusz Śląski,* nr 10, 1948.
JANINA ZABIERZEWSKA: *Wiersze. Arkusz Śląski,* nr 9, 1948.
JAN BARANOWICZ: *Wiersze. Arkusz Śląski,* nr 1, 1946.
WŁADYSŁAWA SZKARADKÓWNA: *Wiersze. Arkusz Śląski,* nr 5, 1946.
WOJCIECH ŻUKROWSKI: *Wiersze. Arkusz Śląski,* nr 8, 1948.
ALEKSANDER BAUMGARDTEN: *Wiersze. Arkusz Śląski,* nr 3, 1946.
JÓZEF NACHT-PRUTKOWSKI: *Wiersze. Arkusz Śląski,* nr 11, 1948.
EDMUND OSMAŃCZYK: *Hans Schneider. Arkusz Śląski,* nr 4, 1946.
ZDZISŁAW HIEROWSKI: *Odbudowa kulturalna odzyskanego Śląska. Arkusz Śląski,* nr 6, 1946.

1.

Arkusz Śląski jest wydawnictwem periodycznym. W zamiarze wydawcy, którym jest Oddział Śląski ZZLP, leżało comiesięczne wydawanie zeszytu. Ale realizacja obiecującego zapewnienia: „Następne arkusze ukazywać się będą co miesiąc", kończy się na nr 6 z listopada 1946. (Pierwszy zeszyt wydany został w lipcu 1946). Następne zeszyty (7 i 8) ukazały się dopiero w marcu 1948 i już bez obietnicy dalszych. W maju 1948 wydano zeszyty 9, 10 i 11. Z pierwotnego zatem zamiaru regularności musiano niestety w części zrezygnować. Zapewne bez winy wydawców...

Rolę osiową w programie wydawnictwa spełnia oczywiście twórczość poetycka. Wiersze są gatunkowo różne. Plan wydawniczy nie stosując żadnego podziału pomieszał poetów i debiutanci sąsiadują wskutek tego z Żukrowskim i Szewczykiem, co pozycję wydawnictwa raczej osłabia. Ale debiutantom trzeba umożliwić start. Bo przecież periodyczne wydawnictwo o 15-stronicowych zeszytach obmyślane jest jak gdyby właśnie dla nich.

„Wydawnictwo *Arkusz Śląski* stanowić ma antologię współczesnej poezji śląskiej..." Wydaje się, że wydawcy powinni raczej podkreślać jej związek z nurtem ogólnopolskim. Czy to jakaś inna poezja niż np. warszawska? Czy poeci ze Śląska nie chcą awansować do nazwy poetów polskich?

2

„Poprzez namuł psychicznych nawyków i zawaliska dziejowych konfliktów dotrzeć do cichych uroczysk, gdzie śląskość jest polskością i gdzie wszystko było i jest takie samo jak pod Krakowem, Sieradzem i Łomżą — oto społeczny obowiązek mojej poezji" — pisze Wilhelm Szewczyk. Może właśnie dzięki temu Szewczyk zawarł w wierszach swoich najwięcej Śląska, Śląska przede wszystkim dnia powszedniego, Śląska jako zbiorowiska ludzi. Tematycznie poezja ta poza Śląsk nie wychodzi. Zawarte w niej problemy — to problemy każdego górnika — Niemiec i kopalnia. Nawet liryki osobiste są tylko drogą do gromady ludzkiej. Każde „ja" Szewczyka jest środkiem do „my". Konsekwencja: wyłączenie z poezji uczuć oderwanych od swojej grupy społecznej. Obiektem poetyckim nie jest dla Szewczyka własna dusza — są nim ludzie.

Tak pojęta poezja stała się poezją walki i cierpienia.

Krąż i słowa płucz w ogniu, by darły
powietrze
i obalały wieże jak źdźbła i krzyczały
o dni bez łez, bez wiatru, roślejsze i lepsze...
(Geneza poezji)

Krzyk poezji jest u Szewczyka skargą. Granica poprowadzona do 39 roku przez środek Śląska, praca na kopalni, martyrologia okupacyjna — to dla tej skargi wielka pożywka. Charakterystyczne: więzienie i szubienica — częsty motyw poetycki.

Ale wiersze Szewczyka mimo ciągłej skargi nie są płaczliwe. Poeta ma stałą skłonność do dramatyzacji wiersza, do nasilania go czasownikami. Każde widzenie poetyckie jest widzeniem akcji. Podobnie jak epika w poemacie *Noc* jest stałą odskocznią do lirycznych wzruszeń, tak każde wzruszenie w lirykach zostaje udramatyzowane.

Pociąga to za sobą niebezpieczeństwa formalne. Wiersze Szewczyka są długie, obfite w słowa. Mimo częstej awangardowej postaci metafora nie jest środkiem kondensującym. Szewczyk lubi ukazywać przedmioty z kilku kierunków, obrazować w kilku wersjach. Wiersze są w apercepcji osobliwe; „natrętne" w opisie poetyckim, ale jednocześnie atrakcyjne przez dramatyzację.

W ostatnich wierszach, pisanych już po wyzwoleniu Śląska, widać pewne odchylenia od poprzednio przyjętej postawy. Więcej w nich przeżycia osobistego, nie wyzwo-

onego jednak z dawnego kręgu życia poiętego jako cierpienie. Natomiast wiersze patriotyczne mają akcenty entuzjazmu oparcego przede wszystkim na nowych warunkach pracy.

Związek ze Śląskiem zaznacza się również u dwu dalszych poetów *Arkusza Śląskiego* — Aleksandra Widery i Jana Pierzchały. Obydwaj są debiutantami. Wiersze Widery pochodzą z lat 1939—45. Śląsk nie jest w nich tak wyraźny jak u Szewczyka. W treści zawarte są przeżycia własne poety i mimo ich umiejscowienia w śląskich osadach czy kopalni, wiersze nie są „dźwigane przez milion górników" — jak pisze o swoich Szewczyk. — Podmiotem ich jest poeta, a nie górnik. Przeważa tematyka patriotyczna i martyrologiczna. Pod względem artystycznym utwory Widery charakteryzuje przede wszystkim chaos formalny. Pierwsze wiersze *Arkusza*, zapewne najwcześniejsze, wyróżniają się patosem i nadużywaniem słowa. Treści w nich nie ma wiele. Jej brak osłonięty jest obfitością wzniosłej metaforyki.

Dzienne pielgrzymki moich modlitw
zachodzą w uroczystą przystań

Ów ton sztucznego wzruszenia ustępuje w dalszych wierszach na rzecz prostoty przy jednoczesnym uspołecznieniu tematycznym. Widać próby znalezienia własnego języka, oscylujące między groteską a niespodziankowością awangardową. Sądzę, że dalsza twórczość powinna iść torem bezpośredniości i prostoty językowej, osiągniętej w niektórych ustępach wiersza *Radość*.

Arkusz Jana Pierzchały to zespół dwu różnych typów twórczości. Zeszyt rozpoczyna się epickim poematem *Drzewiorz*, na część drugą składają się osobiste liryki. Poemat *Drzewiorz* utrzymany jest w surowym, dialektyzowanym języku. Mimo swej prostoty język ten potrafi być ekspresywny i subtelny. Warta podkreślenia jest umiejętność odnawiania zautomatyzowanej metafory. Liryki drugiej części to modlitwy i wyznania poety. I tu również osiągnięcia poetyckie leżą w języku. Może tylko metafory mają zbytnią skłonność do symbolizacji dla współczesnego czytelnika niezbyt świeżej i kolidującej z modlitwami, których zasadniczym motywem jest prośba o prostotę i szczerość.

3

Reszta zeszytów *Arkusza Śląskiego* to poezje ze Śląskiem związane luźno, względnie w ogóle związków tych pozbawione. Zresztą autorzy pozostali, poza Baranowiczem i Zabierzewską, osiedlili się na Śląsku dopiero po wojnie, gdy regionalizm śląski utracił odrębność swych problemów i zagadnienia. jego zrównały się z zagadnieniami całych Ziem Odzyskanych.

Tematycznie większość wierszy poświęciła Janina Zabierzewska Śląskowi. Obrazy jednak Katowic, Wałbrzycha, pogranicza Sudetów są w jej utworach pełne konwencjonalizmu i motywów schematycznych. Katowice — więc„ miasto węglowe", więc „ogniste skry", „stalowy młot"; Wałbrzych — więc „wiatr górski", „sennych zegarów z wieży głos", „kopalnie nie śpią" — to wszystko mogłoby się znaleźć w wierszach dopiero po odpowiedniej transformacji poetyckiej. Równie konwencjonalne są wiersze patriotyczne. Mało w nich prawdziwie osobistego przeżycia. Zautomatyzowane slogany, koturnowy ton, „wielkie" słowo, charakteryzują te wiersze. Tu i ówdzie symbole, pisane dużą literą: „Duch Narodu", „nieustający Ruch" jeszcze bardziej zacierają rzeczywistość utworów. Przy tym wszystkim nie można odmówić Zabierzewskiej umiejętności konstrukcyjnych.

Wrażliwością poetycką odznacza się natomiast zeszyt Jana Baranowicza. W przeciwieństwie do patriotycznych wzlotów Zabierzewskiej, Baranowicz jest lirykiem „wsi spokojnej". Zdzisław Hierowski sugeruje we wstępie „chłopskość" tej poezji. Wydaje się, że wrażliwość Baranowicza jest po prostu nastawiona na pierwiastki spokojne, na kontemplację, na elementy statyczne. Uroda miasta nie odpowiada jego estetycznym doznaniom. Stanowisko to potwierdza fakt, że Baranowicz ukazuje wieś tylko od tej właśnie strony — przeżycia przyrody.

Co mi tam wielkość! Sława co mi!
i defilada chybkich tanków! —
Daj tylko w zmierzchu miesiąc stromy
cichym spojrzeniem witać z. ganku.

Poszukiwania formalne Baranowicza idą w dwóch kierunkach: rymowanego zgłoskowca i wiersza wolnego o typie awangardowym: Pełna prostoty wrażliwość poety dochodzi do głosu tylko w pierwszej formie.

Podobnie szczerą wrażliwość daje się odczuć w zbiorku trzeciej debiutantki *Arkusza* — Władysławy Szkaradkówny. Mimo błahości tematów, którymi w kilku wypadkach są zamyślenia dziewczęce, łatwego wpadania w nastrojowość i smutki, zawarła w nich autorka trochę osobistego uczucia.

Kontrastem dla tej poezji są wiersze Wojciecha Żukrowskiego. Środowisko i motywy wojenne stwarzają atmosferę ostrości i silniejszych akcentów dramatycznych. Uderza

w nich niezwykła bezpośredniość wrażenia. Żukrowski trafia w jakieś intersubiektywne, naturalne odczucia rzeczywistości; walka jest u niego twarda, pożegnanie smutne — obrazy są wyraźne i sugestywne.

Skrzypi napięta uprząż, tabory w łopocie [płacht,
baterie w chlupot kopyt wdeptują cienie [brzóz.
Deszcz na lufach zostawił blaski chłodne...

Każdy obraz, każde przeżycie zostaje w poincie zabarwione opanowaną refleksją liryczną, co zwiększa naturalność wrażenia i czyni wiersze żywymi i odczutymi. Takie samo sugestywne uczucie, podane mimo a może właśnie przez opanowanie słowne, zawarł autor w wierszach refleksyjnych.

Sugestywność wiersza zwiększona jest przez nadanie funkcji poetyckiej słowom rymowanym; reprezentują one znaczeniowo i fonetycznie sens i ekspresję składni, wydobytą tym silniej, że przy pomocy nacisku rytmicznego.

Wiersze Żukrowskiego są doskonałym i jedynym obrazem wojny wrześniowej, widzianej oczami jej uczestnika — żołnierza. A poza niektórymi, zamieszczonymi w *Antologii walki* i obecnie w *Arkuszu Śląskim* utworami — są właściwie niedostępne. Domagamy się reedycji całego tomiku *Rdza*, wydanego konspiracyjnie. Poezja Żukrowskiego znajdzie na pewno równie wielu czytelników, co jego proza.

Łączność z tematyką wojenną mają wiersze Aleksandra Baumgardtena. Wojna i żołnierz nie są jednak podane w tak sugestywnym kształcie. Obrazy Żukrowskiego były chwytane „na gorąco", Baumgardten odwołuje się raczej do pojęć intelektualnych, jego metafora zawiera skojarzenia apelujące bardziej do rozumu niż do uczucia. Jego *Pejzaż* to formistyczna konstrukcja ułożona w myśl racjonalnych przepisów. Z nacisku na stronę formalną wynikła doskonała kompozycja epickiego fragmentu *Przed bitwą*. Intelektualna metafora nie brzmi tu obco i pozwala zachować realistyczny dystans narratora.

Jednym z najsłabszych zeszytów *Arkusza* jest zeszyt Józefa Nacht-Prutkowskiego. Konwencjonalny w tematyce, Prutkowski nie umie przekroczyć swoją poezją granic widzianego świata. *Listopad, grudzień* — to obrazy miejskie zamknięte w sztucznie poetyzowane słowa. Wiersze patriotyczne — to zespoły potocznych zdań powiązanych rymami. Święty Józef rozmawiający z Marią o rekordach wyścigu pracy jest wręcz groteskowy.

4

Wreszcie dwa ostatnie zeszyty *Arkusza*. Zeszyt Osmańczyka zawiera dialog dramatyczny między żołnierzami armii niemieckiej na wschodzie — Polakiem, Serbem Łużyckim i Niemcem. Dialog ten napisany został jako słuchowisko radiowe i jest doń dostosowany formalnie. Więc długa ekspozycja z dokładnym przedstawieniem osób działających, brak dramatyzacji sytuacyjnej. Napisany jest podniosłą prozą, co ułatwia autorowi obracanie się w kręgu pojęć moralnych — ale z drugiej strony rozwadnia dramatyczność i czasem urazi przesadną symbolizacją.

Omówienie artykułu publicystycznego Zdzisława Hierowskiego nie leży już w kompetencji recenzenta literackiego. Zaznaczę tylko, że pierwotny pomysł *Arkusza Śląskiego*: dać obraz Śląska literackiego zmieniony później na antologię poezji „śląskiej" — był szczęśliwszy. Wydawnictwo byłoby bardziej atrakcyjne i operując większym wyborem materiału — lepsze pod względem artystycznym.

Włodzimierz Maciąg

NOWY DOKTOR FAUST

W roku 1947 ukazało się w Sztokholmie, nakładem *Berman-Fischer Verlag*, więc w niemieckim wydawnictwie emigracyjnym, ostatnie dzieło Tomasza Manna, sporych rozmiarów opowieść pod tytułem *Doktor Faustus*. Książka ta — wraz z ogłoszonymi poprzednio również za granicą essayami o Niemczech i Niemcach — stanowi jak gdyby epitafium, które wielki pisarz niemiecki złożył na grobie swej ojczyzny.

W symbolicznym paralelizmie przeplatają się i biegną obok siebie w tej książce dwie historie: „historia żywota Adriana Lewerkuehna, niemieckiego kompozytora, opowiedziana przez przyjaciela" — tak brzmi podtytuł — oraz historia Niemiec w ostatniej epoce ich państwowego samoistnego bytu. Przyjaciel Adriana Lewerkuehna — dr fil. Serenus Zeitblom — którego pisarz czyni narratorem dziejów Lewerkuehna — zaczyna pisać swoje dzieło w r. 1943, na przedprożu klęski, kończy je w r. 1945, więc już po katastrofie Niemiec. Współczesne wypadki dziejowe wciąga w tok biografii, budując z nich drugą niejako warstwę powieści.

Symbolika powieści, jak powiedziałem, obejmuje dwuwarstwową jej całość. We wspaniale, z genialnym ostrowidztwem i precyzją obrysowanej fikcyjnej postaci muzyka Lewerkuehna, w jego duchowym wzroście i rozwoju aż do najwyższych szczytów twórczości — i potem, w posępnym i tragicznym upadku w otchłań obłędu — odtworzył wielki pisarz niemiecki los swojej ojczyzny, od której odszedł i odwrócił się na resztę swoich dni, zostawszy obywatelem innego państwa. Zwątpił bowiem o duchowym odrodzeniu własnej ojczyzny — nie znalazł w niej odzewu na swe apele z Ameryki w czasie wojny. Książka jego poświęcona Niemcom jest gorzkim i mądrym bilansem całokształtu ich dziejów. Ale ogromna miłość i współczucie bijące z kart tej książki, najtajniejsza wiedza i najsubtelniejsza czujność, z jakimi pisarz wdraża się w żywot Adriana, stara się go na wskroś przeniknąć i zrozumieć — to miłość i współczucie syna dla zgubionej ojczyzny. Każde słowo, każde zdanie dotyczące kompozytora dotyczy zarazem Niemiec, każde jest chęcią odmierzania sprawiedliwości, jakże straszliwie trudnej wobec krzyku faktów, zmierza do obnażenia i wyjawienia ukrytej głęboko istoty duchowej Niemiec i przyczyny ich upadku.

Przyczynę tę upatruje Mann w mroku, który padł na ducha i umysł narodu, w dalszym zaś planie w duchowości niemieckiej, na dnie której — jego zdaniem — tai się i taiło zawsze coś nieokreślonego i stłumionego, podległego mocy zła. W istocie jakieś tony demoniczne, głuche i niewyzwolone wibrują i dźwięczą poprzez całą historię życia Adriana Lewerkuehna. I te głuche tony, jakby przywalone głazami, ta mistyczna niemal pieczęć tajemnicy, położona na wszystkich prawie poczynaniach, na całej świadomości bohatera, jest (według Manna) symbolem duszy niemieckiej, dwoistej i rozdartej między pięknem utajonym w muzyce, którą ten naród zawsze wielbił, lecz zarazem skrępowanej i ujarzmionej, z mrocznym osadem mętów na dnie serc, z czadem wyższości i zarozumiałości w mózgach. Choćbyśmy nawet nie zostali uprzedzeni we wstępie przez autora, przeczuwamy od pierwszej chwili nieszczęście pisane Adrianowi.

Młody Adrian Lewerkuehn, niezwykle zdolny i pełen talentów, studiuje naprzód teologię, potem rzuca ją i poświęca się muzyce, zostaje kompozytorem, niezależnie od tego kończąc studia filozoficzne. Jako muzyk osiąga rezultaty nieprzeciętne, daje szereg dzieł najwyższej klasy, choć nie zawsze uznanych przez świat, w epoce zaś ostatniej, hitlerowskiej, zupełnie potępionych.

Ale Adrian zawarł w młodości pakt z szatanem, podobnie jak jego poprzednik, średniowieczny doktór Faust (stąd tytuł książki). Zawarł pakt, oddał się diabłu, aby zo-

stać wyniesionym ponad innych, aby mocą swego geniuszu ujarzmić świat i podporządkować go sobie, wreszcie aby zdobyć wiedzę dostępną tylko dla wtajemniczonych. Dlatego musi upaść, musi runąć z wyżyn na dno potępienia i zagłady.

Nie trzeba sobie jednak wyobrażać, że owo związanie z diabłem odbyło się w sposób równie romantyczno-operowy, z zaklinaniem, przyzywaniem, magicznym kołem itd., jak u prawdziwego Fausta i jak to przedstawia Goethe. Jeżeli wgłębić się dobrze w istotę opętania Adriana, jeśli śledzić do końca myśl pisarza, zawiedzie nas ona do zgoła nieromantycznych początków późniejszej demencji, mimo romantycznego sztafażu i okoliczności, w jakich się wszystko odbyło: zawiedzie nas do choroby wenerycznej, zaszczepionej jednorazowym stosunkiem z prostytutką, która przedstawiona jest w książce jako wysłannica diabła, jako ta, która Adriana urzekła od pierwszej chwili, gdy się z nią zetknął (sprawy te potraktowane są zresztą z niezwykłą subtelnością i pełne są niedomówień).

Wirusy choroby utorowały sobie w organizmie Adriana drogę do centrów mózgowych i tam się usadowiły, dwóch zaś leczących go doktorów uprzątnął diabeł na czas, jednego uśmiercając, drugiego pakując do więzienia, aby do końca przeprowadzić swój zamysł. Choroba wywołująca w pewnych fazach objawy bardzo przykre, jak ciężkie migreny, mdłości i wymioty, jest zarazem — pisarz daje nam to wyraźnie do zrozumienia — przyczyną sprawczą genialnych wizyj twórczych Adriana. Co więcej, te dwie sprawy, więc sprawa patologiczna i genialność chorego, splatają się z sobą, pozostają w stosunku ścisłej zależności, jeden stan przygotowuje i dźwiga w sobie drugi.

Zbędne jest chyba w tym miejscu stwierdzenie, że to zaprzedanie się szatanowi jest, podobnie jak w *Fauście*, jedynie plastycznym przedstawieniem rozszczepienia jaźni, przy czym Mann stosuje w diagnozie choroby Adriana teorie Lombrosa, Kretschmera i in. uczonych o czystym związku geniusza z obłędem.

Zwycięża choroba. Zwycięża zło. Ostateczny upadek przychodzi w formie ataku paralitycznego w chwili, gdy kompozytor, skupiwszy dokoła siebie grono przyjaciół i znajomych, po szalonej, obłąkanej spowiedzi całego życia pragnie odegrać ostatnie swoje dzieło, kantatę bólu i cierpienia, olbrzymie *De Profundis*, zatytułowane *Skarga doktora Fausta*. Po tym ataku mrok obłędu spowija już na zawsze umysł Adriana.

Jak już powiedziałam, każda faza życia Adriana, każda niemal jego czynność i myśl ma swój odpowiednik w jakiejś fazie dziejów narodu niemieckiego; toteż subtelna symbolika wiedzie bardzo daleko. Widoczna ona jest w dziwnym ciążeniu Adriana do wszystkiego co mroczne, nieokreślone, żywiołowe, do końca niepojęte, w jego odpychającym, zimnym stosunku do otoczenia, nawet do ludzi bliskich, od których czuje się wyższy, w jego miłości do stron rodzinnych, do swych początków. I tak w latach męskich, w dojrzałych latach twórczości osiada on na stałe aż do wybuchu choroby w Pfeifferingu, w starej stylowej gospodzie Schweigestillów (nazwisko również symboliczne). Wybiera to miejsce dlatego, że ten dwór przypomina mu, może nieświadomie, może w snach, dwór rodzicielski. Czyż nie jest to powrót narodu niemieckiego do jego średniowiecznych początków, czy nie jest to — w innym kształcie — idea i mit rasy germańskiej, czerpiącej siły żywotne ze źródeł dziejów?

Symbolizm postaci kompozytora, która równocześnie uosabia Niemcy, nie jest jednak tego rodzaju, aby w jakikolwiek sposób obciążał tę postać, zniekształcał jej indywidualne rysy lub naginał ją sztucznie do historiozoficznych przesłanek. Tomasz Mann jest na to zbyt wielkim i zbyt świadomym twórcą i artystą. Lewerkuehn jest postacią skończenie samoistną i żywą, ujętą w karby rzeczowej i wiernej opowieści o jego wyłącznie losach, ukazaną na tle innych ludzi, w wirze spraw i zdarzeń, w walce ze swym własnym przeznaczeniem. Żyje on dzięki swej najwewnętrzniejszej prawdzie, bez względu na to, że ta prawda zawiera prawdę drugą.

Coś podobnego, jeśli idzie o symbol, widzieliśmy w powieści Camusa *La peste*, gdzie zarazę — odtworzoną pod każdym kątem widzenia prawdziwie — niewidoczny znak równania podstawiał w miejsce wojny i okupacji. Po prostu tu i tam sprawa jako całość została przerzucona w inną sferę, umieszczona na innej płaszczyźnie. U Camusa klęska wojny i okupacji zamienia się również w klęskę, tylko innego rodzaju, w klęskę dżumy, wymagającą całkiem innych realiów opisu. Ale podmiot doznań pozostaje zbiorowy: jest nim miasto. Inaczej u Tomasza Manna. Ten wielki humanista z przełomu dwóch epok w człowieku i jego duszy upatruje jedyny plac boju, jedyną arenę zmagań dobra ze złem. Indywiduum, człowiek, jest u niego soczewką skupiającą historię narodu, nurt psychiki niemieckiej toczy się tutaj w łożysku jednej egzystencji,

falowanie tej psychiki, jej wznoszenie się i załamanie, dotarcie do krawędzi boskości niemal i osunięcie się po stromych pochyłościach aż do piekła zawarte są tutaj w bolesnym, skondensowanym wyrazie w życiu nieprzeciętnej jednostki.

Trudno jest otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywiera wspaniała proza Manna. Jej ciężar gatunkowy, jej precyzyjność w służbie tego, co chce wyrazić, jej pojemność intelektualna są czymś wyjątkowym. Jest to proza gęsta i dostała, bez jednego niepotrzebnego słowa, w każdym zdaniu spęczniała treścią. Tę prozę wysokogatunkową znamy już z *Zaczarowanej góry* i *Historii Jakubowych*. Tutaj koncentrat dany jest w jeszcze wyższym nasileniu. Artyzm i myślowy ładunek tej prozy dają czytelnikom pełną satysfakcję. Z treści myślowych w niej zawartych można by wyodrębnić całe traktaty o filozofii, teologii, życiu, religii, a przede wszystkim o muzyce. Muzyczność, żywioł muzyki widziany przez pryzmat uduchowienia, jak wszystko inne w tej książce, ma nam tłumaczyć — w myśl zamierzeń twórcy — pewne duchowe pierwiastki, składniki i przejawy życia narodu niemieckiego. Przy tym roztrząsania i glossy muzykologiczne są tym ciekawsze, że pisarz przeprowadza rozbiór nie tylko istniejących dzieł muzycznych, ale także fikcyjnych „opusów" kompozytora Lęwerkuehna, który nigdy w rzeczywistości nie istniał.

Niejednokrotnie w czasie lektury nasuwa się porównanie ze słynną powieścią Romain Rollanda *Jan Krzysztof*: *Doktor Faust* jest jak gdyby jej intelektualnym odpowiednikiem. I tu, i tam tematem jest życie kompozytora niemieckiego. Uderza przy tym, że dwaj wybitni i tak różni twórcy, wielki francuski humanista i wielki niemiecki intelektualista, interpretują dzieje duszy niemieckiej poprzez postacie kompozytorów, wyrażając niejako duchowość niemiecką poprzez kategorie muzyki.

Stosunek Manna do muzyki, sposób oddania za pomocą słów tej bezsłownej sztuki świadczy nie tylko o jego wszechstronnej erudycji w tej mierze, o zupełnej swobodzie poruszania się po magicznym obszarze wibrujących tonów i kształtów, jakie ewokują tony; widzi w niej więcej: jakieś wszechogarniające medium porozumiewawcze, substrat, z którego biorą początek i wywodzą się praprzyczyny wszystkich niemal zjawisk ducha.

A jednak mimo filozoficznej głębi, mimo genialnych błysków, jakimi rozświetla demoniczne mroki, ostatnie wielkie dzieło Tomasza Manna pozostawia wrażenie niedosytu i niedomówienia. Mann opowiada o swym bohaterze z miłością ogromną, tak wielką, że sam ugina się niemal pod jej ciężarem. Czytelnik wyczuwa ten żar, ten święty ogień miłości, ale twórcy nie udaje się nas nią przekonać, poddać nas jej. Gdybyśmy nie wiedzieli, że idzie w tej powieści-symbolu o wyłożenie dziejów Niemiec, o ich wzrost i upadek, o ich wejście na szczyty i runięcie w dół, sympatia nasza dla indywidualnych losów Adriana byłaby zaiste wielka i współbrzmiąca. Ale my wiemy, jakie przesłanki kierowały sercem i umysłem biografa...

Nie, w każdym razie u nas w Polsce, kraju najokrutniej przez naród Adriana Lewerkuehna doświadczonym i pohańbionym, tego zrozumienia Mann nie znajdzie. Raczej napotka na odpór i niechęć czytelnika. Bo im więcej, im mądrzej i wnikliwiej będzie mówił o duchowości Niemca Adriana, tym jaskrawiej staną nam przed oczyma brutalne hordy starszych i młodych Niemców, rozkochanych w muzyce, Niemców z wszystkich środowisk, Niemców mądrych i głupich, inteligentnych i prostaków, którzy dali się ponieść nie mistycznemu diabłu, nie intelektualnym demonom, ale zarazie faszystowskiej dumy nacjonalistycznej, do tego stopnia dali się ponieść, aż jej wygląd stał się demoniczny.

Dzieje ostatnich lat narodu niemieckiego, dzieje ich świadomego wrastania w ideologię faszyzmu i imperializmu, wybranie cynicznego okrucieństwa jako kierowniczego wektoru historii, świadczą najdobitniej o tym, że największy i najbardziej samotny pisarz Niemiec, zmuszony uciec od win swego narodu, nie ma racji. Nie tak wyglądały, nie tak kształtowały się dzieje grabieżczego plemienia, szczepu, narodu, które zawiodły go aż do ostatecznej zagłady. Nie w ten sposób, poprzez duchowe głębiny, powinna wyglądać interpretacja ich wielkości, sławy i upadku. Zamroczenie promiennej, świetlanej umysłowości Adriana, jego pakt z diabłem, który przybywa po jego duszę — to przerzucenie w metafizykę całej historii narodu, jego polityczno-gospodarczych celów i dążności pewnych jego warstw do panowania nad światem — jest jak gdyby tylko odroczeniem sądu nad nim, lub niechęcią ferowania wyroku. I chociaż pojmujemy ból, żal i cierpienie pisarza, usprawiedliwiające przesłanki książki nie przekonywują polskiego czytelnika.

Wanda Kragen

POWIEŚĆ O ZAPOMNIANYM REWOLUCJONIŚCIE

HOWARD FAST: *Obywatel Tom Paine.* Przełożył Jan Staren. Sp. Wyd. „Wiedza", Warszawa, 1948; str. 304.

Howard Fast jest stosunkowo młodym pisarzem, rówieśnikiem Alberta Camusa i Jana Drdy. Urodził się w momencie przełomowym, podczas pierwszej światowej wojny, w roku 1914. Przyszedł na świat w największym mieście Stanów Zjednoczonych, w jednym z największych miast świata — w Nowym Jorku. Miał ciężkie i niewesołe dzieciństwo — młodość, którą musiał sobie wyrąbywać w dżungli wielkiego miasta.

Pouczająca i charakterystyczna jest lista jego pierwszych zajęć zarobkowych. Howard Fast był po kolei: ekspedientem w sklepie, pracownikiem w pralni, rzeźnikiem, krawcem, „ekspresem" roznoszącym paczki i listy, robotnikiem budującym tamy. Poznał więc życie z różnych stron, zgłębił walkę o byt wszechstronnie, dokładnie i ściśle, jak bohaterowie jego opowieści: Tomasz Paine i Peter Altgeld.

Ale już w r. 1933, a więc mając lat zaledwie 19, ogłasza Fast pierwszą książkę *Two Valleys,* a w roku następnym publikuje *Strange Yesterday.* Od r. 1936 poświęca się całkowicie pracy pisarskiej. Wydaje w r. 1937 *Place in the City,* w r. 1939 *Urodzonych w wolności,* w r. 1941 *Ostatnią granicę,* w r. 1942 *Niezwyciężonych,* w r. 1943 *Obywatela Tomasza Paine,* w r. 1946 *Amerykanina.* Trzy książki Fasta zostały dotychczas przełożone na język francuski *(Obywatel Tomasz Paine* zaraz po wyzwoleniu w r. 1944). Na język polski, do tej pory, dwie: *Obywatel Tomasz Paine* i *Amerykanin.*

Niemal wszystkie dzieła Fasta — to powieści historyczne (z wyjątkiem ostatniego utworu *Clarcton,* ukazującego bardzo świeże wydarzenia — z grudnia 1945 r.). Wszystkie niemal są zaczerpnięte z dziejów własnej ojczyzny autora, historii amerykańskich przeobrażeń, zmagań i starć. W *Obywatelu Tomaszu Paine* nie tylko postać główna jest historyczna, ale i większość innych bohaterów; w tekst opowieści włączył autor obszerne cytaty z pism Paine'a, a także z jego listów i wspomnień. W *Drodze do wolności* ukazuje pisarz walkę o wyzwolenie Murzynów w drugiej połowie ubiegłego stulecia.

Jeśli jednak Howard Fast sięga po tematy historyczne, to nie jest beznamiętnym badaczem dziejów, rekonstruktorem wielkich wizji przeszłości na wzór Anatola France w *Les dieux ont soif* czy Flauberta w *Salambo.* Autor *Obywatela Tomasza Paine* chce przede wszystkim naprawiać krzywdy i niesprawiedliwości. Oburza się na fałszowanie przez współczesnych mistyfikatorów z Hollywoodu pamięci wielkiego wodza ruchu zwalczającego niewolnictwo, Johna Brown (1800—1859). Brown został uwięziony i powieszony, Hollywood próbuje zeń zrobić mordercę. Upomina się też Fast o sprawę anarchistów powieszonych 11. XI. 1887 pod zarzutem rzucenia bomby.

Krzywdy doznał również inny wielki obywatel amerykański, Tomasz Paine. Kto o nim słyszał, kto stawia mu pomniki? Encyklopedie poświęcają Paine'owi zaledwie kilka wierszy — a jednak przez swą działalność propagandową i publicystyczną, przez swą bezkompromisowość i odwagę, przyczynił się on w dużej mierze do zwycięstwa Rewolucji amerykańskiej, a zarazem do pogłębienia ruchu, do uświadomienia demokratycznej ideologii i wytknięcia — po raz pierwszy — celów społecznych.

Książka Fasta *Citizen Tom Paine* jest więc próbą oddania sprawiedliwości autorowi sławnych niegdyś broszur. Fast pokazuje socjologiczne, a zarazem psychologiczne źródła tego ruchu, którego Paine był pierwszym chorążym. Przejmujące są pierwsze karty opowieści, streszczające ogrom cierpień i upokorzeń Paine'a, jego nędzę, ciągłe próby znalezienia sobie właściwego zawodu, rodzący się bunt, nienawiść, żądzę czynu, nagłą decyzję emigrowania z Anglii do „nowego świata", do Ameryki. Zanim jeszcze zrodzi się tutaj ruch niepodległościowy, który wciągnie Tomasza Paine i uczyni go jednym ze swych przywódców, pogłębia się w duszy bohatera potrzeba walki o sprawiedliwość. Szczytowym punktem stanu, w którym Paine zmaga się między bezsilnością a nadzieją, jest realistycznie i z dużą siłą nakreślona scena licytacji czarnych niewolnic.

Nie trzeba jednak myśleć, że Howard Fast idealizuje swego bohatera, że ukrywa jego wady. Dziecko osiemnastowiecznego Londynu, gdzie — według słów Fasta — nawet małe dziewczynki upijały się dżynem, jest Paine nałogowym alkoholikiem. Jego myśl wyprzedza czasem otoczenie, jego wola wytycza drogi przyszłym generacjom — ale koncepcje Paine'a są zbyt uczuciowe i mgliste, utopijne i nieprecyzyjne. Pod koniec życia ciągnie się już nieprzer-

wane pasmo klęsk. Paine wraca do Anglii, łudząc się nadzieją, że i tam roznieci iskry amerykańskiej wolnościowej rewolucji; jest jeszcze na to za wcześnie, lud brytyjski nie chce posłuchać tego apostoła. We Francji przywódcy Wielkiej Rewolucji witają go z entuzjazmem i dają mu natychmiast mandat poselski. Ale, związany z ruchem Girondy, rewolucjonista amerykański—z trudem wypowiadając się po francusku — zostaje odosobniony, odsunięty, wykpiony. Wreszcie dostaje się do więzienia, podejrzany o tendencje wsteczne. Ameryka, która mu tyle zawdzięcza, nie chce interweniować w jego sprawie, wypiera się wielkiego swego obywatela. Wraca do niej wreszcie, ale tylko po to, aby umrzeć w zapomnieniu, w atmosferze wrogości i niechęci.

Fast nie krępuje się granicami gatunków literackich. Jego książka jest czymś pośrednim między powieścią, reportażem historycznym, biografią powieściową. Gdy zamykamy jej karty, jesteśmy pewni, że nie zapomnimy Tomasza Paine, jego cierpień i rozczarowań, jego potknięć i jego zwycięstw.

Wojciech Natanson

KSIĄŻKA O ŚCIEGIENNYM

MARIAN TYROWICZ: *Sprawa ks. Piotra Ściegiennego*. Spółdz. Wyd. „Książka" (Biblioteka Historyczna), Warszawa, 1948; str. 203 i 2 nl.

1

W jasnym, narracyjnym, ale źródłowym i opatrzonym bogatymi przypisami wykładzie przedstawia Tyrowicz, wybitny znawca polskich ruchów rewolucyjnych XIX wieku, postać ks. Piotra Ściegiennego. Włączywszy jego działalność w łańcuch walk polskich o podłożu narodowo-społecznym wywodzi „sprawę" Ściegiennego od rewolucji listopadowej, ilustruje przebieg wszystkich ruchów wolnościowych i szeroko omawia spisek księdza Piotra, będący tematem książki.

Gorący demokrata Ściegienny, który z zadziwiającą trzeźwością oceniał rzeczywistość polityczno-społeczną Polski, jest jednak postacią skrojoną na miarę spiskowców romantycznych, począwszy od buntowniczej „Bulli", poprzez bratanie się z romantykami (jak Dzwonkowski), aż po iście romantyczną „katastrofę w puszczy jodłowej", która jednakże — na szczęście — nie zatamowała potężnej już wtedy fali rewolucyjnej we wszystkich zaborach Polski. Śledztwo, zesłanie na Sybir, powrót do kraju — to normalne akcesoria towarzyszące romantycznym porywom buntu.

Tyrowicz daje nie tylko materiał historyczny dotyczący sprawy Ściegiennego. W II części książki dostarcza żywego słowa bohatera: ogłasza — niedrukowane dotychczas — fragmenty jego pism.

2

Myśli księdza-demokraty układają się w system, na którego dnie tkwi uparta idea pacyfizmu. Tylko w normalnych stosunkach pokojowych widzi Ściegienny możliwość podniesienia dobrobytu warstw upośledzonych społecznie i gospodarczo.

Jego twórczość pisarską scharakteryzował Tyrowicz w ramach swej rozprawy. Wypisy z publicystyki postępowego księdza nastręczają parę uwag specjalnych: pozwalają włączyć jej autora do prądów kulturalnych, wśród których żył i działał.

3

Zasadnicza koncepcja ustrojowo-społeczna ks. Ściegiennego jest romantyczna: marzenie o Królestwie Bożym pokoju i sprawiedliwości na ziemi. Te ramy romantyczno-teokratyczne (uwzględniające nawet ustrój klerykalny) mieszczą jednak treść racjonalistyczno-rewolucyjną. Oto ks. Ściegienny, marzący o zniesieniu wojen, potępia wszystkie czynniki oficjalne popierające wojnę. Odpowiedzialnością najcięższą obarcza kler, błogosławiący rzezi w imię źle pojętych nakazów bożych.

Ideałem ziemskim ks. Ściegiennego (jakby zindywidualizowane echo Saint-Simona) jest człowiek-Ludzkość, bez cech samolubstwa i barbarzyństwa.

Myśliciel atakuje pogląd o nienaruszalności istniejącego niesprawiedliwego porządku, jako ustanowionego przez Boga. Księżom, broniącym tego porządku, zarzuca tchórzostwo dyktowane przez strach o utratę wpływów i majątków:

„Nie od dziś to poczynają się nieszczęścia trapiące trzódkę Chrystusową, nie od dziś kapłani chrześcijańscy przestali być dobrymi pasterzami, a stali się najemnikami... Dzisiejsi pasterze postępują ścieżką już przez uciekających na widok wilka najemników głęboko wyrobioną, wydeptaną

i ubitą. Z tej to głębokiej ścieżki, jakby z wąwozu, widzą tylko szarą ziemię, którą pogardzają, i wspaniałe gwiaździste sklepienie niebem zwane, które uważają za mieszkanie Boga, Aniołów i Świętych, do których dążą.

Trzódka zaś Chrystusowa za wąwozem narzeka, płacze, jęczy w nędzy i zaniedbaniu".

Ściegienny krytykuje dotychczasowy system wychowawczy w Polsce, który służył warstwie uprzywilejowanej: szlachcie. Wytyka skutki tego wychowania: pychę stanową, fanatyzm religijny, płytką pobożność ograniczoną do form religijnych.

Oświecenie człowieka nowoczesnego winno — zdaniem księdza — łączyć kształcenie umysłu z kształceniem uczuć.

Rewolucyjność przekonań Ściegiennego ogarnia również sferę rządów. Autor idąc torem filozofii racjonalistycznej zwalcza przekonanie o pochodzeniu władzy od Boga i konsekwencje tego poglądu: rozmyślne utrzymywanie ludu w ciemnocie, zbrodnie w imię wiary popełniane, system wojskowy w służbie nieuczciwych rządów.

Pisma z ostatnich lat życia, kiedy zesłaniec sybirski powrócił do kraju, noszą piętno nowej, „pozytywistycznej" epoki polskiego życia. Nie rezygnując z idei pacyfizmu marzy wtedy ks. Ściegienny, ażeby pieniędzy przeznaczonych na potrzeby wojenne użyć na cele pozytywne:

„Gdyby choć połowę tej ogromnej sumy, wydawanej dziennie na utrzymanie niewolnictwa, na niszczenie pracy ludzkiej, na zabijanie ludzi itd., wydawano na naukę i oświatę, na maszyny i narzędzia rolnicze, rzemieślnicze i fabryczne itp., jakże piękne owoce wydawałaby oświata! Jakżeby się polepszył dobrobyt krajowy! Ludzie by z głodu i zimna nie umierali".

4

Po odbytym we Wrocławiu Światowym Kongresie Intelektualistów, poświęconym sprawie pokoju, ze wzruszeniem czytamy u Ściegiennego uwagi dotyczące roli umysłów światłych w dziele pokoju światowego. Pomimo odległości lat mógłby się kongres dzisiejszy podpisać pod słowami natchnionego księdza, który jasno widział, gdzie tkwi źródło najgroźniejszego niebezpieczeństwa:

„Mamy między sobą Kraszewskich, Tarnowskich, Kantaków, Elsnerów i tylu innych uczonych i wymownych mężów, mają ich i inne narody, którzy by mogli w tej materii obszerne napisać dzieło, tak potrzebne i pożądane. Od Niemców takiego dzieła spodziewać się nie podobna; wojnę bowiem, wydziedziczanie, wyludnianie obcych dla nich plemion, szczególniej plemienia słowiańskiego, uważają za najskuteczniejsze środki dopięcia zamierzonego celu, tj. wyniszczenia Słowian — w podróży na wschód".

5

Teorie społeczno-polityczno-gospodarczo-wychowawcze Ściegiennego są jak gdyby produktem czy wypadkową prądów, które się ścierały w czasach jego młodości i wieku męskiego: racjonalizmu z humanitaryzmem demokratycznym, romantyzmu z kultem uczucia i pozytywizmu. W księdzu Ściegiennym zespoliły się niejako: krytyczny intelekt Krasickiego, Mickiewiczowska miłość człowieka, i pozytywistów polskich marzenia o dźwignięciu chłopa i proletariusza.

6

Jasno i przejrzyście napisana książka Tyrowicza zaznajamia czytelnika z szlachetnym rewolucjonistą w sutannie, bojownikiem o prawo do życia warstw w Polsce upośledzonych. Świetnie zestawiony wybór jego pism, po raz pierwszy ogłoszonych drukiem, powiększa dorobek polskiej myśli demokratycznej.

Janina Garbaczowska

WYKAZ TREŚCI

Str.

LTURA I LITERATURA W OBLICZU ZJEDNOCZENIA PARTII ROBOTNICZYCH 5
ŃSTWOWE NAGRODY ARTYSTYCZNE 14
BLO NERUDA: Niech się zbudzi Drwal 17
MASZ MANN: Doktor Faust (fragmenty) 34
DEUSZ RÓŻEWICZ: Elegia prowincjonalna 45
RIAN JACHIMOWICZ: Jerozolima, Górnicy, Ojcu 50
RIA DĄBROWSKA: A teraz wypijmy... 52

RAWY I TROSKI: DWA ZJAZDY
ZIMIERZ PIWARSKI: VII Zjazd Historyków Polskich we Wrocławiu . . . 81
NDRZEJ WASILEWSKI: III Naukowy Zjazd Związku Kół Polonistycznych . . 88

RAWOZDANIA
VA KORZENIEWSKA: Twórczość Poli Gojawiczyńskiej 93
ANISŁAW CZERNIK: Sylwetka Broniewskiego 99
„ „ Pamiętnik miłości 104
RZY KWIATKOWSKI: Między rewolucją a literaturą 109
EFAN LICHAŃSKI: Historia, metafizyka i magia 113
LODZIMIERZ MACIĄG: Arkusz Śląski 118

OTY
ANDA KRAGEN: Nowy Doktor Faust 121
OJCIECH NATANSON: Powieść o zapomnianym rewolucjoniście 124
NINA GARBACZOWSKA: Książka o Ściegiennym 125

Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik", Warszawa—Łódź—Kraków
Redaktor naczelny: Kazimierz Wyka
Sekretarz odpowiedzialny: Jan Alfred Szczepański
Adres redakcji: Kraków, Basztowa 15, m. 4. Administracji: Wielopole 1
Cena zeszytu 115 zł + 5 zł (cegiełka na „Dom Słowa Polskiego")
Prenumerata kwartalna 300 zł
Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

Pozostałe w ograniczonej ilości

KOMPLETY MIESIĘCZNIKA »TWÓRCZOŚĆ«

za rok 1945, 1946 i 1947

mogą nabywać

BIBLIOTEKI
ŚWIETLICE
CZYTELNICY

Komplet za rok 1945 składa się z 5 zeszytów, łącznie stron 932, cena 140 zł, poprzednio 200 zł.

Komplet za rok 1946 składa się z 11 zeszytów (jeden numer podwójny), łącznie stron 2112, cena 490 zł, poprzednio 700 zł.

Komplet za rok 1947 składa się z 11 zeszytów (jeden numer podwójny), łącznie stron 1565, cena 800 zł, poprzednio 1440 zł.

Zamówienia należy kierować na adres Prenumeraty Wydawnictw „Czytelnika", Kraków, Wielopole 1, wpłacając jednocześnie należność na konto P. K. O. IV 1632.

037-4608